

TERRY PRATCHETT

Dysk

Spotkałem kiedyś sztygara, miał on kawałek węgla, wewnątrz którego znajdował się złoty suwerek z 1909 roku. Widziałem skamielinę amonitu rozdeptaną czyimś butem. W piwnicy Muzeum Historii Naturalnej mają pokój, który zawsze jest starannie zamknięty. Są tam różne ciekawostki, jak tyranozaur z zegarkiem na rękę albo czaszka neandertalczyka z trzema złotymi plombami.

I co pan na to?

doktor Carl Untermond

The Overcrowded Eden

Naturalnie dzień był nieprzyzwoicie śliczny - zupełnie jak z reklamówki Kompanii, a ponieważ chwilowo okna gabinetu wychodziły na porośniętą palmami lagunę, widok z nich też był prześliczny: na błękitne fale załamujące się o zewnętrzną rafę i białą plażę pełną pokruszonych koralowców i innych muszli.

Tyle że żadna reklamówka nie pokazałaby upiornego kadłuba warstwiarki. To był akurat mniejszy model, przeznaczony dla wysp i atoli do piętnastu kilometrów, zamocowany na pontonach. Gdy Kin jej się przyglądała, wypłynęła kolejny metr plaży. Swoją drogą ciekawe, kto był operatorem, bo plaża miała genialny kształt. Ten, kto potrafił położyć ją w ten sposób, i to od razu z muszlami, zasługiwał na lepsze zajęcie. Chyba że był to jeden z tych milczkowatych maniaków, dobrych jedynie w robieniu wysp. Czasami się tacy trafiali - nie nadawał się jeden z drugim do niczego, ale jeśli miał możliwość wejść na budowę zaraz po wulkanologach, to skomplikowane archipelagi robił jak marzenie.

- Joel? - wywołała inżyniera rejonu. - Kto jest na BCF3?

- Dzińdybry, Kin. - Nad biurkiem pojawiła się opalona twarz. - Czekaj no, sprawdzę... aha! Dobry jest, nie?

- Jest.

- To Hendry. Obiekt pliku raportów na twoim biurku. Wiesz, ten, co wsadził skamieniałego dino w...

- Czytałam.

Joel bez trudu rozpoznał jej ton i westchnął wymownie.

- Nicol Plante, jego mikserka, też musiała brać w tym udział - wyjaśnił. - Przetawiałem ich na wyspy, bo tu, przy koralach, są mniejsze możliwości, żeby...

- Wiem. - Kin się zamyśliła. - Przyślij go. Ją też. Zawsze jak się zbliżamy do końca, ludzie zaczynają się wygłupiać.

- To się nazywa młodość. Wszyscy przez to przechodziliśmy, pamiętasz? Ja zrobiłem parę butów w pokładzie węgla. Przyznaję, że mało pomysłów, ale na nic lepszego nie wpadłem.

- Chcesz powiedzieć, że bym się go nie czepiała? - upewniła się.

Niepisaną zasadą było, że każdy może raz spróbować czegoś nieortodoksyjnego. Po to były sprawdzacze. Jak dotąd znajdowali wszystkie efekty takich pomysłów, a gdyby nawet jakiś przeoczyli, można było spokojnie polegać na przyszłych paleontologach, że zatuszują wszystko, co im nie będzie pasowało do teorii.

Kłopot w tym, że zawsze mógł się zdarzyć wyjątek od reguły...

- Jest dobry - powtórzył Joel. - Niedługo będzie doskonały. Tylko nie urwij mu jaj, dobrze?

Kin nie skomentowała prośby. Parę minut później ryk za oknem ucichł, a po chwili jeden z autosekretarzy pojawił się w drzwiach, prowadząc... krępego blondyna o skórze koloru gotowanego raka i chudą, łysą panienkę ledwie że pełnoletnią. Oboje stanęli, osypując na dywan koralowy pył i przyglądając się siedzącej za biurkiem Kin z mieszaniną strachu i wyzwania.

- Siadajcie - zagaiła. - Chcecie coś do picia? Wyglądacie na odwodnionych... myślałam, że kabiny

mają klimatyzację...

Parka spojrzała po sobie.

- Mają - przyznało dziewczę. - Ale Frane lubi czuć, co robi.

- Jego wola - mruknęła Kin. - Lodówka to to okrągłe, co wisi właśnie za wami. Częstujcie się.

Oboje podskoczyli, gdy lodówka delikatnie trąciła ich w plecy, wyjęli z niej jakieś soki i usiedli, uśmiechając się nerwowo.

Nie ulegało wątpliwości, że bali się Kin, co ją dziwnie peszyło, choć było zrozumiałe. Oboje pochodzili z kolonii, i to tak świeżych, że ledwie skały zdążyły tam okrzepnąć, podczas gdy ona pochodziła z Ziemi. I to nie z Nowej, Całej, Starej, Rzeczywistej czy Najlepszej Ziemi, ale po prostu z Ziemi, czyli z kolebki ludzkości, jak to skromnie zaznaczały podręczniki do historii. A na dodatek miała na czole podwójny znak stulecia, czyli coś, o czym jedynie słyszeli, zanim zostali pracownikami John Company. Poza tym była ich szefem. I mogła ich wylać w każdej chwili.

Lodówka dostojnie poszybowała do swej alkowy, zataczając po drodze zgrabny łuk wokół zupełnie pustego kawałka pokoju przy drzwiach. Kin przyjrzała się jej podejrzliwie i uznała, że trzeba będzie wezwać mechanika.

Oboje siedli ostrożnie w antygravitacyjnych fotelach, jakich nie posiadała większość kolonii. Kin przyjrzała się parze surowo i włączyła zapis.

- Wiecie, dlaczego tu jesteście - oświadczyła. - Czytaliście przepisy, jeśli macie choć szczyptę zdrowego rozsądku, ale mam obowiązek przypomnieć wam, że możecie albo zgodzić się z moją decyzją, jako przedstawiciela firmy na sektor, albo zdecydować się na oficjalne przesłuchanie przed komisją w siedzibie Kompanii. Co wybieracie?

- Panią - odparło dziewczę.

- On umie mówić? - zainteresowała się Kin.

- Wolimy być sądzeni przez panią - zabasował chłopak.

- To nie jest sąd, a ja nie wydaję wyroków. - Kin potrząsnęła głową. - Jeśli nie zgodzicie się z moją decyzją, zawsze możecie odejść z firmy. Naturalnie, jeśli wcześniej was nie zwolnię.

Prawdę mówiąc, było to wyjście czysto teoretyczne - na każde wolne miejsce czekała długa kolejka kandydatów; nikt dobrowolnie nie rezygnował z zatrudnienia w Kompanii.

- Dobrze. Wasza decyzja została zarejestrowana. Oboje obsługiwaliście warstwiarkę BYN674 juliusa bieżącego roku standardowego na kontynencie Y? Otrzymaliście dokładny plan i rysunki tego, co macie wykonać?

- Się zgadza - przyznał Hendry.

Kin nacisnęła przycisk i jedna ze ścian zmieniła się w ekran, na którym ukazała się szara skała. Wznosiła się tam wysoka na kilometr ściana warstw, przypominająca kanapkę pana Boga. Odłączono od niej warstwiarkę, toteż jeśli nie siądzie za jej sterami naprawdę dobry operator, geolodzy tej planety znajdą niewytłumaczalny uskok. Obraz znieruchomiał mniej więcej w połowie wysokości zbocza i zaczął się powiększać, ukazując fragment stopionej ściany, do której przymocowano platformę. Stojący na niej robotnicy w żółtych kaskach odsunęli się, poza jednym, który trzymał przy Eksponacie A całówkę i

uśmiechał się, mimo prób zachowania powagi.

- Plezjozaur - odezwała się Kin. - W niewłaściwej warstwie, ale to akurat najmniejszy problem.

Kamera ukazała na wpół odkryty szkielet, ogniskując się na prostokacie nad jego łbem. Gdy obraz się wyostriżył, widać było, że dinozaur trzyma plakat z napisem.

- „Skończcie z próbami nuklearnymi” - przeczytała Kin, starając się nie okazać podziwu: zaprogramowanie tego dowcipu musiało zająć parę tygodni, i to ciężkiej pracy, w wolnym czasie.

- Jak się dowiedzieliście? - spytała niespodziewanie dziewczyna.

Odpowiedź była prosta: w każdą warstwiarkę wbudowany był czujnik, na taką właśnie okoliczność, to jednak był oficjalny sekret firmy. W przeciwnym razie z dziesięciokilometrowego wylotu mogły wyjść takie cuda, że dinozaur pacyfista to przy nich drobiazg. Co gorsza, ciekawostki w stylu mamuta z protezą słuchową pozostałyby w skałach dopóty, dopóki nie odnalazłby ich jakiś radosny naukowiec. Prędzej czy później każdy operator warstwiarki próbował czegoś takiego, bo każdy, mający odrobinę talentu czuł się z początku jak król, a zabicie klina przyszłym paleontologom stawało się pokusą nie do opanowania. Czasami Kompania ich wyrzucała, a czasami promowała.

- Bo jestem wiedźmą - poinformowała ją zwięźle Kin. - Czyli, jak rozumiem, przyznajecie się?

- Nooo - przytaknął Hendry. - Aaa... a mogę prosić o złagodzenie kary?

Zanim Kin zdążyła się odezwać, zaskoczona zasobem jego słownictwa, wyjął z kieszeni zaczytaną książkę. Przekartkował ją, aż znalazł to, czego szukał, i odchrząknął.

- To... to napisał jeden z autorytetów w dziedzinie inżynierii planetarnej... Mogę przeczytać?

- Proszę uprzejmie.

- No więc....! „...na koniec planeta nie jest światem. Planeta to skalista kula, świat to czterowymiarowe чудо. Na świecie muszą być tajemnicze góry, bezdenne jeziora pełne prehistorycznych potworów czy dziwne ślady na śniegu albo ruiny w puszczy, albo dzwony pod powierzchnią morza, echo w dolinach i miasta ze złota. Tak jak jądro planety jest niezbędne do jej istnienia, tak bez takich tajemnic nie wykształci się w człowieku ciekawość”.

Zapadła cisza.

- Mister Hendry, czy ja tam może napisałam coś o pacyfistycznych dinozaurach? - spytała ostrożnie Kin.

- Nie, ale..

- Zajmujemy się budową planet, nie terraformingiem już istniejących: to mogą robić roboty. Budujemy miejsca, w których ludzka wyobraźnia musi znaleźć stały punkt zaczepienia, i nie będziemy tego psuli fałszywymi skamielinami. Proszę pamiętać o spindlach. Założmy, że miejscowi koloniści okazaliby się do nich podobni, wówczas wasz dino doprowadziłby je do obłądu, jeśli nie zabił. Trzy miesiące zawieszenia w obowiązkach służbowych. Pani także, Miss Plante, i nie chcę wiedzieć, dlaczego była pani uprzejma pomagać temu półgłówkowi. Możecie odejść. - Kin wyłączyła zapis i dodała: - A wy dokąd? To była część oficjalna. Teraz możemy porozmawiać spokojnie.

Hendry nie był taki tępy, jakiego grał - w jego oczach pojawił się błysk nadziei, toteż Kin od razu wykonała na nim egzekucję:

- Trzy miesiące przymusowych wakacji was nie miną, żeby nie było żadnych wątpliwości - uświadomiła obojgu. - Taki jest oficjalny werdykt i nawet gdybym chciała, nic na to nie poradzę.

- Do tego czasu skończylibyśmy pracę. - Hendry był szczerze oburzony.

- Inni ją skończą. I niech pan wreszcie przestanie się bać. Każdy w końcu ulega takiej pokusie. Spytajcie Joela Chenge'a o buty w węglu, to wam się humor poprawi. Jak widać, nie zrujnowały mu kariery.

- A co pani zrobiła? - spytał niespodziewanie.

- Co proszę?

- Powiedziała pani, że każdy zrobił coś takiego, jak myśmy próbowali. - Chłopak spojrzał na nią spod łba. - To co pani zrobiła?

- Zbudowałam łańcuch górski w kształcie swoich inicjałów.

- O rany!

- Musieli jeszcze raz kłaść pół kontynentu. Prawie mnie wylali.

- A teraz jest pani Secexec i...

- Też możesz do tego dojść. Jeszcze parę lat i pozwolą ci zrobić samodzielnie jakąś asteroidę dla milionera. Pozwolisz, że dam ci dwie rady: nie spieprz jej i nigdy, pod żadnym pozorem nie cytuj nikomu jego własnych słów w swojej obronie. Ja, ma się rozumieć, jestem wcieleniem dobroci i zrozumienia, ale znam takich, którzy na początek kazaliby ci zjeść tę książkę, kartka po kartce. Dobra, teraz możecie już iść. To rzeczywiście będzie pracowity dzień.

Oboje prawie wybiegli z gabinetu, zostawiając koralowy ślad, który przecięły zamykające się za nimi drzwi. Kin spoglądała na nie przez chwilę, uśmiechnęła się i wróciła do pracy, co tym razem oznaczało sprawdzenie ogólnych wymogów, jakie powinien spełniać archipelag TY.

A przy okazji zrobiła rachunek sumienia.

Kin Arad - wiek dwieście dziesięć lat, uciążliwy niczym wieczysty łupież. W jej wypadku wcale nie taki uciążliwy, choć ludzie nigdy nie byli przewidziani do tak długiego istnienia. W tym skutecznie pomagała chirurgia pamięciowa. Na czole miała złoty dysk, przysługujący wielowiekowemu. Budził szacunek, a jej oszczędzał zakłopotania - nie każda kobieta bywa zachwycona, gdy zaczynają uwodzić ktoś w wieku jej prawnuczka do siódmej potęgi. Z drugiej strony nie wszystkie kobiety nosiły dysk, choćby z przeciwnego powodu... Teraz miała cerę całkowicie czarną, podobnie jak i perukę - z jakichś dziwnych powodów włosy naprawdę rzadko wytrzymywały dłużej niż pierwsze stulecie. Ubierała się w obszerny, czarny kombinezon.

Była starsza niż dwadzieścia dziewięć zbudowanych światów, z których czternaście sama pomogła zbudować. Zamężna siedem razy w rozmaitych okolicznościach i z rozmaitych powodów - raz nawet pod wpływem miłości. Z mężami spotykała się od czasu do czasu, na pamiątkę dawnych chwil.

Z gniazda w ścianie ostrożnie wysunął się odkurzacz i zabrał do oczyszczania dywanu z pokładu piasku. Kin, sama nie wiedząc dlaczego, rozejrzała się powoli, nasłuchując.

Pojawił się mężczyzna. W jednej sekundzie koło szafki było powietrze, w następnej opierał się o nią jakiś mężczyzna. Widząc jej osłupienie, uśmiechnął się lekko i uklonił.

- Kim pan jest, do cholery? - zdumiała się, sięgając po interkom.

Mężczyzna okazał się szybszy - długim susem znalazł się przy biurku i złapał ją za nadgarstek. Uprzejmie i stanowczo. Uśmiechnęła się ponuro i nie wstając, poczęstowała go fachowym lewym prostym, wzmocnionym pierścionkami.

Zanim otarł krew z oczu, spoglądała już nań z góry, znad stunnera.

- Nie rób nic agresywnego - poradziła. - Nawet nie oddychaj nachalnie.

- Wielce nieortodoksyjna kobieta - ocenił, masując podbródek.

Odkurzacze zebrał się na odwagę i szturchnął go w kolano.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Jago Jalo. Ty jesteś Kin Arad? Naturalnie, że...

- Jak się tu dostałeś?

Zamiast odpowiedzi odwrócił się i zniknął. Kin odruchowo pociągnęła za spust.

Okrągły kawałek dywanu zrobił wump.

- Pudło! - poinformował ją głos z drugiego końca pokoju. Wump.

- Przyznaję, że zachowałem się nieco nachalnie, gdybyś jednak odłożyła ten samopał... Wump.

- Możemy oboje na tym skorzystać. Nie chciałabyś wiedzieć, jak być niewidzialną?

Kin zawahała się i niechętnie opuściła broń.

Gość pojawił się ponownie - głowa i tułów stały się widoczne, jakby się odwinęły z niewidzialności, nogi wyskoczyły z niej gwałtownie.

- Sprytne - oceniła. - Jak znikniesz jeszcze raz, ustawię stunner na szerokie pole rażenia i spryskam cały pokój. A poza tym gratulacje. Udało ci się wzbudzić moje zainteresowanie, a to nie jest łatwe.

Mężczyzna usiadł. Kim oceniła go na uczciwą pięćdziesiątkę, ale mógł mieć i sto lat więcej. Nie miał natomiast dwustu - ci, którzy osiągnęli ten wiek, poruszali się ze specyficzną gracją, której mu brakowało. Wyglądał, jakby od lat nie spał - był blady, łysy i miał podkrążone, zaczerwienione oczy. I twarz, którą się natychmiast zapomina. Nawet ubranie miał szare.

- Mogę zapalić? - spytał, sięgając do kieszeni.

- Co?! - Złapała broń. - A zapal sobie, co chcesz. Bylebyś mi gabinetu nie spalił.

Nie spuszczać wzroku ze stunnera, gość wsunął w usta żółty wałeczek i zapalił go. Potem wyjął go z ust i wydmuchnął dym.

Kin uznała, że ma do czynienia z niebezpiecznym maniakiem.

- Mogę ci coś powiedzieć o teleportacji - oświadczył.

- Ja tobie też: jest niemożliwa - odparła zrezygnowana.

Gdyby nie to, że potrafił stawać się niewidzialny, uznałaby go za kolejnego oszusta z gatunku „kup pan cegłę”.

- O lotach w kosmos też tak mówili. Z Goddarda też się wyśmiewali: mówili, że jest głupi.

- To mówiono także o całej masie rzeczywistych durni - przypomniała, pomijając chwilowo kwestię, kim jest ten cały Goddard. - Chcesz mi pokazać teleporter?

- Owszem.

- Ale nie tu.

- Nie tu. Tu jest to - machnął ręką i lewe ramię przestało być widoczne. - Można to nazwać płaszczem niewidkiem.

- A można go zobaczyć?

Jalo skinął głową i wyciągnął ku niej pustą dłoń. Kin dotknęła... czegoś. W dotyku przypominało to zgrzebną, włóknistą materię. Wydawało jej się, że widoczne przez nią jej własne palce są jakby rozmazane.

- Zakrzywia światło - wyjaśnił, wyciągając owo coś z jej palców. - Trzeba uważać, żeby go w szafie nie zadziać, więc ma powierzchnię kontrolną. Widzisz?

Zauważyła jedynie cienką, pomarszczoną linię powyginaną w różne strony i obramowującą nicość.

- Zgrabne - przyznała - ale dlaczego ja? I w ogóle dlaczego?

- Bo jesteś Kin Arad, autorka Ciągłego tworzenia. Bo wiesz wszystko o spindlach, a ja sądzę, że to właśnie ich rękodzielo. Znalazłem to i całą masę innych rzeczy. Interesujących.

Kin przyglądała mu się długą chwilę, nie zmieniając wyrazu twarzy, w końcu powiedziała:

- Mam ochotę na świeże powietrze. Jadłeś już śniadanie?

- Trochę mi się to wszystko poprzestawiało w czasie podróży, ale chyba pora na obiad.

Prywatne laboratorium Kin, przez nią samą pilotowane, okrążyło niski budynek biurowy i skierowało się na północ, ku kontynentowi W. Po drodze starannie ominęli warstwiarkę Hendry'ego, którą nowy operator układał właśnie zewnętrzny pierścień raf. Przy tej okazji mogli zobaczyć wielką czaszę kolektora na dachu maszyny. Jego wnętrze było jedwabiście czarne.

- Dlaczego? - spytał Jalo, gdy wyrównała kurs.

- Bo energia przesyłana jest z kolektorów orbitalnych, zgranych z odbiornikiem w warstwiarce. Gdybyśmy przelecieli przez wiązkę, nie zostałby z nas nawet popiół.

- A co by było, gdyby zgranie się rozjechało i wiązka nie trafiła w kolektor?

- Nie wiem - przyznała po namyśle. - Na pewno nie znaleźlibyśmy śladu po operatorze.

Przelecieli nad archipelagiem i stadem świeżo wypuszczonych ze zbiornikowca delfinów, które próbowały dogonić cień maszyny na falach. Przekłęte Ciągłe tworzenie.

Ale wtedy napisanie tej książki wydawało jej się dobrym pomysłem. Poza tym nudziła się jak rzadko - spróbowała już wszystkiego, co jej wpadło do głowy, zajęła się więc w końcu pisanie książki. To było akurat najłatwiejsze - więcej kłopotów sprawiało nauczenie się, jak się robi papier, i wynajęcie robotów do zbudowania maszyny drukarskiej. W końcu to właśnie była pierwsza od czterystu lat wydrukowana książka. Ale za to gdy była gotowa, stała się Wydarzeniem.

Osobnym wydarzeniem stała się treść. Co prawda nie była niczym odkrywczym, ale w jakiś sposób Kin udało się przedstawić aktualny stan rozwoju geologii, co wywołało sporo kontrowersji. Niedawno dotarły do niej informacje, że książka stała się nawet podstawą kilku kultów religijnych.

Drugą sprawą, która nie dawała Kin spokoju, była niemożność zidentyfikowania akcentu

towarzysza: mówił poprawnie, jak ktoś, kto nauczył się języka w teorii, ale nie miał okazji używać go w praktyce. Jego ubranie z kolei mogło zostać wykonane na przynajmniej tuzinie planet. Nie wyglądał na szaleńca, ale tak to bywa z szaleńcami.

- A więc czytałeś moją książkę - zagaiła, przerywając ciszę.
- A jest ktoś, kto nie czytał?
- Wygląda na to, że nie.
- Przeczytałem ją, lecąc tutaj. Niezła, ale nie oczekuj komplementów: czytałem lepsze.

Z niesmakiem stwierdziła, że się czerwieni.

- Jaki oczytany - mruknęła zgryźliwie.
- Owszem, przeczytałem parę tysięcy książek - stwierdził spokojnie.

Włączyła autopilota i odwróciła się, by go wyraźnie widzieć.

- Przypadkiem wiem, że nie ma nawet kilkuset książek - oznajmiła. - Wszystkie stare biblioteki zostały zniszczone!

- Nie chciałem cię urazić...

- Kto...

- Autor nie musi produkować papieru - przerwał jej, niespodziewanie zmieniając temat. - Dawniej istnieli wydawcy, którzy zajmowali się wszystkim. Autor musiał tylko napisać treść.

- Dawniej?! Ile ty właściwie masz lat?

- Dokładnie to nie wiem - przyznał niechętnie. - Bo kilka razy zmienialiście kalendarz. Wychodzi mi, że około tysiąca stu lat plus minus dziesięć.

- Wtedy nie istniała chirurgia genetyczna - stwierdziła Kin oskarżycielsko. - Nikt nie może być tak stary!

- Ale istniały sondy Terminus - odparł cicho.

Przelecieli nad wulkaniczną wyspą. Z głównego krateru unosiły się obłoczki dymu, najwyraźniej technicy sprawdzali palenisko. Kin spoglądała na wulkan nie widzącymi oczyma i bezgłośnie poruszała wargami.

- Jalo! - powiedziała w końcu. - Tak mi coś znajomo brzmiało! Zaraz... ale sondy Terminus były tak zbudowane, że nie mogły wrócić!

Uśmiechnął się bez śladu rozbawienia.

- Zgadza się. Byłem ochotnikiem, wszyscy zresztą byliśmy. A statki rzeczywiście nie mogły wrócić.

- Wiem, widziałam na filmie. Czyste szaleństwo.

- Tak - przyznał spokojnie - ale trzeba to oceniać na tle tamtych czasów. Wtedy wydawało się, że to ma sens. A mój statek rzeczywiście nie wrócił... ale ja wróciłem.

Ritz znajdował się w nieoficjalnym mieście. Powstało ono wokół pierwszej Liny, która będzie także ostatnią przy ewakuacji ekipy budowlanej. Już zresztą zaczęto jego demontaż - poszczególne segmenty, zaczynając od najmniej potrzebnych, były holowane wzdłuż drutu do czekających na orbicie

transportowców. Za miesiąc znikną ostatnie, wraz z ostatnimi pracownikami firmy. Naturalnie po położeniu ostatniej zasy śnieżnej i wypuszczeniu ostatnich koliberków.

Rozmowę, którą prowadzili w ogrodzie na dachu restauracji, zagłuszał więc huk startujących i lądujących żółtych holowników - Lina zakotwiczona była zaledwie o dwa kilometry stąd, a magazynów do wywieżenia było sporo, toteż dopóki holownik z doczepionym łańcuszkiem budynków nie zniknął w cirrusie, trudno było rozmawiać.

Kin zamówiła framusza, pieczony garb wielbłąda i dodatki. Jalo, gdy już w skupieniu przestudiował menu, z niedowierzaniem zamówił omlet z jaj dodo. Teraz wyglądał, jakby ciężko tego żałował. Kin spoglądała na niego, ale widziała przypominający dzwon kształt sondy z niewielką kulistą kabiną na czubku. Przypomniła sobie też, jak pokrętne argumenty doprowadziły do powstania statków typu Terminus. Rozumowanie wyglądało mniej więcej tak:

Lepiej wysłać w kosmos ludzi niż maszyny, bo w nie znanych sytuacjach człowiek potrafi oceniać i podejmować decyzje, a maszyny głupieją. Do rutynowych, przewidywalnych działań nadają się doskonale. Z drugiej strony, bardziej opłaca się wysłać maszyny, ponieważ nie oddychają i nie muszą wracać: wystarczy, by przesłały zebrane informacje. Człowiek zaś oddycha i to złośliwie przez cały czas. A to jest kosztowne.

Natomiast gdyby wysłać człowieka bez możliwości powrotu, koszty tego, że oddycha, byłyby do przyjęcia.

- To coś w misce to seler? - Jalo przerwał jej rozmyślenia.

- Pędy snagguoota, tylko nie jedz żółtego, bo trujące. Słuchaj, długo mam tu siedzieć i czekać? Gadaj wreszcie o spindlach!

- O spindlach to wiem tyle, ile przeczytałem, a większość z tego ty napisałaś. To niebieskie da się zjeść?

- Znalazłeś artefakt spindli?

Jak dotąd odkryto dziewięć miejsc, w których przebywały, i wrak ich statku. Znalezione w nich między innymi prototyp warstwiarki i drobiazgi dotyczące chirurgii genetycznej. Trudno się więc dziwić, że paleontologia cieszyła się większym wzięciem niż budownictwo.

- Znalazłem ich świat.

- Skąd wiesz, że ich?

Jalo zaryzykował niebieskie, o które pytał, i oświadczył:

- Bo jest płaski.

Po głębszym zastanowieniu Kin musiała przyznać, że jest to możliwe.

Spindle nie były bogami, ale skutecznie mogły ich zastępować. Do chwili pojawienia się oryginałów, ma się rozumieć. Prawdopodobnie pochodziły z planety o niewielkiej sile przyciągania, gdyż zachowane mumie miały trzy metry wzrostu przy wadze dziewięćdziesięciu funtów. Na planetach o przyciąganiu takim jak ziemskie nosiły egzoszkielety, by przy pierwszym kroku nie zmienić się w kupkę skomplikowanego połamanego nieszczęścia, niezdolnego do ruchu. Miały długie trąby, dłonie o dwóch kciukach, pomarańczowo-purpurową skórę i stopy niczym cyrkowi kłowni. Nie miały za to mózgu, a właściwie ich

całe ciało było mózgiem. No i nikt, jak dotąd, nie znalazł u nich żadnego brzucha. Zupełnie nie wyglądały jak bogowie.

Znały podstawową transmutację, ale nie potrafiły podróżować z prędkościami naddźwiękowymi. Być może miały płcie, ale egzobiologom nigdy nie udało się stwierdzić, skąd się biorą małe spindli. Wysyłały wiadomości, modulując częstotliwość wodoru w spektrum najbliższej gwiazdy. Były telepatami i cierpiały na klaustrofobię - nawet nie budowały domów. Ich statki kosmiczne były... niewiarygodne.

Żyły niemal wiecznie i dla rozrywki odwiedzały planety o zredukowanej atmosferze. Wprowadziły do ekosystemu zmutowane algi albo dodawały planecie zbyt duży księżyc czy wymuszały rozwój jakiejś formy życia. Inaczej mówiąc: brały Wenusy i robiły z nich Ziemię. Jeśli przyjęło się do wiadomości, że spindli po prostu nie są ludźmi, to ich postępowanie miało sens. Przynajmniej dla ludzi. No i cały czas miały poważne problemy z przeludnieniem. Poważne, ma się rozumieć, dla spindli.

Pewnego dnia dobrały się do jądra jakiejś planety i znalazły tam coś okropnego. Okropnego, ma się rozumieć, dla spindli. W ciągu następnych dwóch tysięcy lat, w miarę jak rozchodziła się informacja o tym, co znalazły, wymarły z powodu urażonej dumy.

Działo się to czterysta milionów lat temu.

Holownik zjechał po Linie, wyjąc silniczkami hamującymi. Operatorzy odłączali ładunki na wysokości kilku tysięcy mil, wysyłając je dalej jednostopniowymi raketami, dla zmniejszenia obciążenia Liny i zwiększenia szybkości załadunku. Holownik, już znacznie ciszej, skierował się ku rejonowi załadunkowemu, a Kin przyjrzała się Jałowi, podejrzliwie mrużąc oczy.

- Płaski - powtórzyła. - Jak dysk Andersena?

- Może. A co to jest dysk Andersena?

- Nikt tego nigdy nie zrobił, ale gdyby wziąć wszystkie planety systemu i zbić je w dysk o średnicy tego systemu, zostawiając naturalnie dziurę na słońce, i wyłożyć spód neutronium dla uzyskania właściwego przyciągania, to...

- Słodka godzino! Możecie wykorzystywać neutronium?

Kin zaskoczona potrząsnęła głową.

- Jak powiedziałam: nikt nigdy czegoś takiego nie zbudował. Ani nie znalazł. Chyba że ty to właśnie zrobiłeś?

- To musiałyby być strasznie mały układ planetarny, bo ten świat ma ze trzynaście tysięcy mil średnicy.

Popatrzyli na siebie wyczekująco i w końcu Kin zadała od dawna oczekiwane pytanie:

- Gdzie?

- Nigdy go beze mnie nie znajdziesz.

- I sądzisz, że zrobiły go spindli?

- Tam są rzeczy, w które nie uwierzyłyabyś za milion lat.

- Intrygujesz mnie. Ile chcesz?

W odpowiedzi wyciągnął z kieszeni garść banknotów o nominale dziesięciu tysięcy Dni każdy. Pojedynczy banknot był równowartością prawie dwudziestu ośmiu lat przedłużenia życia, jeśliby został

zrealizowany w kasie Kompanii. Pieniądze Kompanii były najmocniejsze we wszechświecie - można było kupić za nie przyszłość. Nie spuszczać wzroku z Kin, Jalo przywołał najbliższego robokelnera i wsunął banknoty do jego spalarki. Kin z najwyższym wysiłkiem opanowała się na widok tego marnotrawstwa, ale nikt nie przekroczył setki, jeśli kierował się odruchami. Ingerując, tylko by się oparzyła.

- Jak... - chrypnęła i odchrząknęła - to się nazywa gest. Naturalnie, fałszywe.

Podał jej banknot matuzalemowy, czyli o najwyższym nominale, ze słowami:

- Dwieście siedemdziesiąt lat w prezencie.

Wzięła złoto-biały arkusik plastyku, zastanawiając się, jakim cudem nie drżą jej dłonie.

Wzór był prosty, ale oprócz niego istniało sto dziewięćdziesiąt dziewięć sposobów na sprawdzenie autentyczności. Poza tym nikt nie podrabiał pieniędzy Kompanii, jako że szeroko rozpropagowano informację, że każdy, kto by spróbował, spędziłby owe sfałszowane lata w specjalnym zakładzie Kompanii w naprawdę pomysłowy, a raczej nieprzyjemny sposób. A raczej sposoby.

- Dawniej nazwano by mnie nieprzyzwoicie bogatym - odezwał się Jalo.

- Albo martwym.

- Zapominasz, że byłem pilotem Terminusa. Nikt z nas nie wierzył tak do końca w nieuchronność śmierci. I jak dotąd jestem żywym dowodem tej wiary. Zapewniani cię, że banknot jest autentyczny, możesz go sprawdzać, na ile chcesz sposobów. To nie ja jestem do kupienia: przybyłem tu, żeby ciebie wynająć. Za trzydzieści dni wracam na... na płaski świat z powodów, które będą oczywiste, jak go zobaczysz. Zamierzam spędzić tam mniej niż rok, a zapłatą będzie wiedza. Odpowiedzi na naprawdę wiele pytań... Banknot możesz zatrzymać, nawet jeśli nie przyjmiesz mojej propozycji. Możesz go sobie oprawić w ramki... albo zatrzymać na starość.

I zniknął jak demon najczystszej rasy. Gdy Kin sięgnęła przez stół, jej dłonie znalazły jedynie powietrze.

Zarządziła sprawdzanie promów, ale nie przydało się naturalnie na nic. Co prawda nawet ktoś niewidzialny nie mógł prześliznąć się koło czujników przy bramkach wejściowych, ale przecież nie musiał. Wystarczyło, że kupił bilet na inne nazwisko i legalnie wszedł wraz z innymi pasażerami. Promy towarowe można było spokojnie wykluczyć, jako że nie miały przedziałów ciśnieniowych.

Wiadomość zjawiła się dwadzieścia pięć dni później wraz z pierwszą falą kolonistów.

Lina główna została wcześniej zwinięta przez satelitę i załadowana na transportowiec, a na całej planecie pozostało zaledwie kilka zespołów kosmetycznych, kończących wyprawki na antypodach. Tropikalna puszcza, rozciągająca się wokół pagórka, na którym stała Kin, pozbawiona była śladów jakiegokolwiek ludzkiej obecności, choć osiem tysięcy mil pod jej stopami ostatnia ekipa związała ostatnią Linę, załadowując ją na ostatni transportowiec, który wyglądał niczym dwunastomilowy szkielet statku kosmicznego z wielkim silnikiem.

Mimo że wyglądało to na zamieszanie, była to planowa ewakuacja. Na samym końcu następowało zatarcie śladów na wyspie. Reklamówka firmy, którą kiedyś oglądała, pokazywała ostatniego z ekipy, wiszącego o parę stóp nad ziemią na Linie i zamiatającego własne ślady na piasku. Nie była to ma się rozumieć prawda, ale też nie było w tym dużo przesady.

Musiała obiektywnie przyznać, że to dobra planeta - lepsza niż Ziemia, chociaż ostatnio wszyscy twierdzili, że na Ziemi się poprawia. Ludność liczyła prawie trzy czwarte miliarda i nie było tam wielu robotów. O wiele lepiej niż w czasach jej dzieciństwa. Co prawda większości wspomnień z tego okresu stopniowo się pozbyła, ale zostawiła sobie kilka. Najdawniejsze wciąż wywoływało niemiłe skojarzenia.

Stała na wzgórzu i spoglądała na mroczniejącą równinę, oświetlaną promieniami zachodzącego słońca i częściowo zamgloną. Przyprowadziła ją matka i obie stały w niewielkim tłumie stanowiącym ludność prawie połowy kontynentu. Żeby lepiej widziała, robot wziął ją na barana. Miał poznaczony spawami korpus i należał do klasy ósmej. Obserwowali taniec do melodii wygrywanej przez skrzypka.

Skrzypek był człowiekiem, tancerze robotami, toteż nie mylili kroku. Tyle rozmaitych zajęć wypełniało czas nielicznym ludziom, że nie mieli głowy do tańców, ale była to tradycja, do której kiedyś, gdy będzie ich więcej, ludzie powrócą; chwilowo podtrzymywały ją roboty, skacząc w takt wygrywanej przez skrzypka melodii.

Właśnie wtedy młoda Kin Arad zdecydowała, że ludzie nie powinni zostać wymarłym gatunkiem. A niewiele do tego brakowało.

Prawdę mówiąc, gdyby nie droidy, tak właśnie by się stało.

Wówczas podjęła decyzję o zatrudnieniu się w Kompanii...

Pierwszy szybowiec transportowy przemknął nad drzewami i osiadł ciężko na trawie. Zwolnił na drzewie, okręcił się ostro i znieruchomiał.

Po paru minutach otworzyły się drzwi przedziału pasażerskiego: wyszedł z nich mężczyzna i wykopyrtnął się jak długi.

Kin spokojnie obserwowała, jak zbiera się do pionu. Z szybowca wysiadło, już bez ekscesów, dwóch następnych mężczyzn i trzy kobiety. I dopiero w tym momencie dostrzegli ją.

A było na co popatrzeć.

Skórę miała srebrną, włosy czarne z neonowymi pasmami. Do tego czerwoną pelerynę z ładunkami elektrostatycznymi, dzięki którym powiewała majestatycznie mimo całkowitego braku wiatru. Uznała, że

kolonistom przybywającym na nową planetę należy się coś efektownego. Pewnie już sobie spisali konstytucję rojącą się od wolności wszelakiej maści, toteż powinni być przywitani dostojnie. Na rzeczywistość będą mieli aż za dużo czasu.

Na trawę opadały kolejne szybowce, uważnie omijając drzewa, a mężczyzna, który pierwszy wysiadł, wspiął się do niej na szczyt wzgórza. Miał pionierską brodę i był blady jak mgła na cmentarzu. Srebrny dysk na jego czole połyskiwał w promieniach wschodzącego słońca. Dotarł do niej ani trochę nie zmęczony, co wskazywało na autokontrolę, typową dla wielowiekowych, i uśmiechał się, ukazując spiłowane na ostro zęby.

- Kin Arad?

- Bjorn Chang?

- Dotarliśmy - oznajmił, jakby nie było widać. - Dziesięć tysięcy... Dobre powietrze zrobiliście, co tak pachnie?

- Puszcza. Grzyby, rozkładające się pumy i purpura z kwiatów ukrytych orchidei.

- Opowiadasz?! Cóż, i tak sami sprawdzimy. Roześmiała się radośnie.

- Przyznaję, że mnie zaskoczyłeś. Spodziewałam się jakiegoś młodzieńca potykającego się o własną szczękę...

- ...z projektem konstytucji w garści- dokończył. -Jakiegoś półgłówka w stylu szefa kolonistów z Landsheer. Słyszałaś o Landsheer?

- Widziałam film.

- A wiesz, że oni stracili tydzień na kłótnie, jakiego rodzaju rządów chcą? A potem wybudowali kościół. No, a potem już była zima. Byłem na północnym kontynencie zimą. Ostre je robicie.

Kin powoli ruszyła w dół zbocza.

- Nie chcieliśmy, żeby umarli - powiedziała cicho. - Mieli pełną informację o warunkach klimatycznych i przybliżone daty zmian pór roku.

- Ale nie powiedzieliście im, że wszechświat jest niesprawiedliwy. Byli za młodzi, żeby stać się odpowiednio paranoidalni.

- A ty?

- Ja?! Doszedłem do etapu, że podejrzewam samego siebie o chęć zrobienia mi krzywdy. Dlatego oni mnie wynajęli: ponieważ mani sto dziewięćdziesiąt lat i nie zamierzam umierać, będę obserwował pogodę z uporem godnym lepszej sprawy, pływał tylko tam, gdzie płytko, i jadł wyłącznie to, co będzie miało dołączoną kompletną analizę laboratoryjną. Mogę też kucać regularnie na okoliczność nisko latających meteorytów. Mam pięcioletni kontrakt i zamierzam go przeżyć.

Kin uśmiechnęła się - pewność siebie Changa nawet na niej wywarła wrażenie.

Choć z drugiej strony wiedziała, że tylko w teorii jest to proste. Teoretycznie bowiem im kto stawał się starszy, tym był ostrożniejszy i starał się przebywać w pobliżu Kompanii, gdzie mógł wymienić Dni na kurację przedłużającą życie. (Gwarantowany przelicznik: dwadzieścia cztery godziny dodatkowego życia za jeden Dzień.) Jedynie Kompania płaciła w Dniach i jedynie ona potrafiła przedłużać życie. Podręczniki do ekonomii dowodziły, że Kompania z wyżej wymienionych powodów jest właścicielem wszystkiego i

wszystkich.

Ale ekonomiczna teoria głosiła także prawo ubywających powrotów. Chodziło o to, że w wieku dwudziestu lat nikt nie ryzykował, gdyż pracując dla Kompanii, miało się przed sobą wieki życia, toteż szkoda je było marnować wariacką jazdą czy innymi ekscesami. Jak się miało dwieście lat, nikomu na ostrożności już nie zależało. Po trzysetce prawdopodobnie umierało się z nudów, więc żeby tego uniknąć, jeździło się coraz szybciej, wspinało na coraz wyższe góry czy wędrowało przez cie mną stronę Merkurego. Prędzej czy później coś się musiało nie udać. Śmierć była skutecznym i jedynym sposobem na nudę.

Dlatego właśnie Chang zdecydował się przewodzić niedoświadczonym kolonistom - nie miał do stracenia nic poza nie kończącym się życiem.

- Nie budujemy rozrywkowych światów - przypomniała mu. - Ten też będziecie musieli podbić.

Nad ich głowami przeleciał kolejny szybowiec, niknąc za drzewami.

- Właśnie poleciały zapasy, koce i cała reszta - poinformował ją radośnie Chang. - Kazałem chłopakom z kontroli lotów wylądować o jakieś dziesięć mil stąd. Dzień jest akurat w sam raz na spacer. Zobaczmy, która z moich owieczek lezie, nie patrząc. Tu, zdaje się, są jadowite pająki?

- Są. Co będziesz robił, gdy skończysz ten pięcioletni kontrakt?

- Nie wiem. Może zostanę tu Patriarchą... Chociaż wątpię. Wtedy tu już będzie zbyt cywilizowanie, żeby było przyjemnie.

- Zbyt cywilizowanie? Nie od razu Rem zbudowano, jakbyś zapomniał.

- Bo nie nadzorowałem tej budowy.

Koloniści obserwowali ją w milczeniu. Na planecie nie było chirurgii genetycznej, placówki Kompanii czy dostępnej długowieczności, a mimo to wszyscy byli ochotnikami. Nawet co dziesiąty nie dożyje setki. Ale będą mieli dzieci i w efekcie geny przetrwają, a warunki tej planety same już załatwią kwestię doboru. Inne słońce i księżyc też dołożą swoje i za tysiąc lat mieszkańcy nadal będą ludźmi, ale trochę innymi. Tak jak przewiduje Plan.

- Tu się pożegnamy - powiedziała, sięgając do torby przy pasie. - Oto gwarancja na pięć tysięcy lat i akt własności.

Chang wsunął dokumenty za koszulę.

- Myśleliście już, jak ją nazwać? - zainteresowała się Kin.

- W głosowaniu wygrało Kingdom.

- Ładne. Proste i wymowne. Może kiedyś tu wrócę zobaczyć, jak wam leci.

Ostatni szybowiec był motorowy i wielokrotnego użytku, w przeciwieństwie do jednorazówek z ekologicznie czystych surowców, jakimi przywożono pionierów. W otwartych drzwiach czekał robot z logo Kompanii na piersiach, pilnując statku.

- Kiedy ostatni raz poddałeś się przedłużeniu? - spytał niespodziewanie Chang.

- Osiem lat temu, a o co chodzi?

Chang przysunął się bliżej, by inni nie mogli go usłyszeć.

- Kompania ma kłopoty. Może nasze Dni są policzone.

- Kłopoty?

Autopilot zarejestrował, że Kin wsiadła, odczekał przepisowe trzy sekundy i zamknął drzwi. Przez duże tylne okno widziała spokojnie obserwującego ją Changa, który podszedł do samego szybowca i wyjął z niego megafon. Włączyły się silniki strumieniowe, gdy dotarli na odpowiednią wysokość, a tłum stał się wprawdzie smugą, potem kropką, w końcu zgubił się w dżungli. Kin siadła prosto i zastanowiła się: Kompania była właścicielem sześćdziesięciu procent nieskończoności; to jakie kłopoty?!

Wyprzedzili słońce i wylądowali na niewielkiej, piaszczystej wysepce otoczonej fosforyzującym morzem. W blasku księżyca wyglądała na idealnie białą. Była tu zakotwiczona ostatnia Lina, a na piasku czekała niewielka kapsuła, o którą opierał się mężczyzna.

- Joel!
- Cześć, Kin - uśmiechnął się jak neandertalczyk.
- Myślałam, że zostałeś szefem sektora na Cifradorze.
- Rozmyśliłem się. Wsiadaj. Robot!
- Massa?
- Przyczep szybowiec i jedziemy.
- Już robić, Massa!
- I przestań gadać jak niewolnik, bo ci głos odłączę!

Wspięli się do niewielkiej kabiny, siadając po obu stronach szybu, w którym poruszała się Lina. Joel Cheng westchnął i uruchomił napęd. Lekko szarpnęło i ruszyli w górę.

- Jestem tu obserwatorem - wyjaśnił.
- A co ci się stało? - Kin miała wrażenie, że z wszechświata właśnie odpadło dno.
- A nic mi się nie stało. Tak między nami to ten pomysł całkiem mi się podoba. A tobie?
- Jakoś nie mogę sobie... - Kin przerwała nagle.

Doskonale bowiem sobie wyobraziła go zahibernowanego na pokładzie satelity krążącego po najwyższej orbicie wokół planety i nigdy się nie zbliżającego. Automaty utrzymywały jego ciało w gotowości do wybudzenia się i obserwowały powierzchnię planety, by zrobić to we właściwym momencie. Czyli gdy zauważą użycie energii atomowej i loty kosmiczne. Najlepiej zimną reakcją i lot pozasystemowy.

Niektóre planety na pierwszym miejscu stawiały loty kosmiczne, mając nadzieję na szybsze rozpoznanie i dopuszczenie do międzygwiazdnej społeczności, ale na dłuższą metę to się nikomu nie udało. Nawet wewnątrzsystemowe loty stanowiły szczyt piramidy opierającej się na takich podstawach, jak na przykład nowoczesne rolnictwo. Nikt nie może regularnie latać na Księżyc, nie jedząc wprawdzie do syta.

Joel wybrał na konsolce menu i powierzchnia zmieniła się w zastawiony stół. Widząc jej zaskoczoną minę, uśmiechnął się szeroko. Joel w ogóle często się uśmiechał, głównie dlatego, żeby ludzie przestali się go bać. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wybiły u niego paleolityczne geny i wyglądał raczej przerażająco. Za to gdy się uśmiechnął, wszystko jaśniało - tak musiało wyglądać spotkanie Człowieka z Rozumem.

We dwójkę mieli ponad czterysta lat i nie musieli dużo mówić, by się dobrze zrozumieć.

- Znamo wygląda... - oceniła, przyglądając się posiłkowi. - To było sto trzydzieści lat temu, jak byliśmy małżeństwem... na Tynewaldzie. Tam panowała ta szalona religia... Ikar Powstały! Przepraszam... a ty nawet pamiętałeś, co jedliśmy. To naprawdę romantyczne.

- Prawdę mówiąc, musiałem sprawdzić - przyznał, nalewając wino. - Tylko nie zapisałem kolejności: byłaś moją piątą żoną?

- Trzecią. Ty byłeś moim piątym mężem. Wybuchnęli śmiechem.

- To były trzy szczęśliwe lata, Kin.

- Dwa.

- Niech będzie dwa. Pamiętasz na Plershoorr jak...

- Nie zagaduj mnie. Dlaczego zostałeś obserwatorem?

Temperatura spadła na łeb na szyję. Za oknami King-dom z krajobrazu zmieniła się w dysk, oświetlony promieniami słonecznymi na równiku.

- Bo na samym przedłużaniu nie pożyję tak długo jak obserwator. Bo miło jest popatrzeć, jak się rozwija nowy świat, i jestem ciekaw, co niesie przyszłość. To tak jak odwiedzać nowy wszechświat...

- Może byś przestał pieprzyć? - zaproponowała uprzejmie. - Znam cię, zapomniałeś? Nigdy nie zauważyłam, żebyś się nudził. Jeśli dobrze pamiętam, dwa lata uczyłeś się, jak zrobić drewniane koło. Mówiłeś, że nie spocznesz, dopóki się wszystkiego nie nauczysz. Ostatnio, zdaje się, chciałeś się nauczyć odlewać miedź i zamierzałeś napisać kompletną monografię o pornografii robotów. Jeszcze jej nie napisałeś.

- Dobra. Chowam się, bo jestem tchórzem. Wystarczy? Tu się niedługo zaczną dziać różne rzeczy i zdecydowałem, że najlepiej będzie przeczekać je w lodówce.

- Jakie rzeczy?

- Kłopoty.

- Kłó... Chang mówił to samo.

- Rozmawiałem z nim wczoraj, gdy byli na orbicie. Też chce przeczekać burzę.

- O czym ty do diabła mówisz?!

- Kompania dokładnie sprawdziła banknot, który im wysłałeś po wizycie tego Jala.

- Fałszywy?

- To by wszystko wyjaśniało. On w pewien sposób jest autentyczny, tyle że nie jest naszej produkcji. Numery i kody nie są właściwe, bo jeszcze nie zostały wykorzystane, ale gdyby nie to, jest jak najbardziej prawdziwy. A to znaczy, że istnieje sposób podrabiania, nie, raczej duplikowania pieniędzy Kompanii. Pomyśl, jakie mogą być następstwa, Kin.

Pomyślała i wnioski nie były wesołe.

Banknoty były tak zabezpieczone, że niemożliwością było je sfalszować - każde fałszerstwo musiało być powieleniem. A jednodniowego banknotu nie dało się powielić nawet warstwiarką, ponieważ Kompania była właścicielem wszystkich maszyn tego typu, a jedno z zabezpieczeń banknotu uruchamiało program niszczący całą wielokilometrową maszynę. Nikt nie mógł duplikować tych pieniędzy. Ale gdyby potrafił to zrobić...

Wielowiekowi ucierpieliby na tym pierwsi. Jeśli pieniądze Kompanii przestałyby być wiarygodne - gdyby na przykład na rynku znalazło się ich dziesięć czy dwadzieścia razy więcej, Kompania przestałaby istnieć, gdyż podstawą jej majątku była wiarygodność - najtwardsza waluta.

Chirurgia genetyczna powstrzymywała proces umierania i bez przedłużania, które kupowały Dni, można było żyć, ale człowiek się starzał. W efekcie miało się do czynienia z nieśmiertelnymi sklerotykami. Toteż nic dziwnego, że każdy z nich kombinował, jak mógł - Joel złapał taką formę nieśmiertelności, jaką potrafił znaleźć, Chang zaszył się tam, gdzie krach będzie najmniej odczuwalny. Mniej rozsądni prawdopodobnie robili równie sensowne rzeczy jak przechadzka w próżni bez skafandra.

A takich jak ona musiało już być miliony. Co prawda narzekali, że wszystko już jedli i życie staje się coraz bardziej bezbarwne, ale nikt z nich nie zamieniłby się z ludźmi, którzy woleli mieć dzieci zamiast długowieczności. Życie wciąż było słodkie, a śmierć pozostawała zagadką. Jak zwykle tym, czego człowiek najbardziej się obawiał, była starość.

- Szukali go? - spytała.

- Wszędzie. Wiadomo tylko, że był na Ziemi, bo wszystkie dane o programie Terminus zostały skasowane z archiwum Muzeum Kosmicznego.

- Więc nic o nim nie wiemy?

- Nic. Dlatego radzę ci znaleźć jakąś dziurę i prze-

czekać. Kompania przynajmniej w jednej sprawie miała rację: te planety długo wytrzymają.

- Jeden człowiek nie może spowodować upadku cywilizacji!

- Tak? A gdzie tak jest napisane? - Joel rozluźnił się. - Ten płaszcz... rzeczywiście jest niewidzialny?

- Jeśli spoglądasz na niego w określony sposób, to, co jest za nim, wygląda na rozmyte, ale nie zauważysz tego, jeśli nie wiesz, na co zwrócić uwagę.

- Użyteczny drobiazg w szpiegostwie, szkoda że nikt się w to od dawna nie bawi. Wątpię, abyśmy mogli coś takiego zrobić. Potrzebna byłaby naprawdę wysoko rozwinięta technika, wówczas niewidzialność nie na wiele się przydaje, bo można cię wykryć na sto różnych sposobów.

- Też się nad tym zastanawiałam - przyznała Kin.

- No i teleportacja... wszystkie teorie twierdzą zgodnie, że to niemożliwe. Podwójny efekt Wasbille'a daje ją prawie dokładnie, tak samo jak prawie można zbudować perpetuum mobile.

Satelita, z którego spuszczone Linę, stał się już jasną gwiazdą.

- Chciałbym go spotkać - westchnął Joel. - Czytałem o sondach Terminus, jak byłem gówniarzem. A kiedy byłem na Nowej Ziemi, odwiedziłem farmę Ripa Van LeVine'a. To on wylądował na tej planecie i znalazł...

- Wiem, co znalazł - przerwała mu Kin. Mimo jej tonu kontynuował beztrząsco:

- Kilka lat temu oglądałem nagrania T-4 i T-6, które nadal leżą. Ta fundacja z Nowej Ziemi co dziesięć lat wysyła statki, używając migotliwego przyspieszenia...

- Wiem, jak to się robi - przerwała mu ponownie.

- ...Statek zyskiwał przyspieszenie, nurkując w słońce Nowej Ziemi, potem skakał z powrotem parę milionów lat, ponownie nurkował, skakał itd., aż wyskakiwał kilkaset lat świetlnych o parę mil od którejś z

sond. Terminus 4 nie zaczął zwalniać na półmetku, a Terminus wskutek awarii prymitywnego komputera leciał ku gwiazdzie, której w ogóle nie ma. Gdyby sprawy pozostawiono zwykłemu biegowi, piloci przestaliby się rozkładać parę wieków temu, jako że hibernacja w chwili ich startu była na naprawdę prymitywnym poziomie. Ale maszyny wymieniano po kawałku, dodając rozmaite unowocześnienia w miarę rozwoju techniki.

Było to upiornie drogie, trudne i pracochłonne. Znacznie wygodniej byłoby ewakuować pilotów i zapewnić im życie w luksusie, ale Rip Van LeVine, który po tysiącletniej podróży wylądował na planecie skolonizowanej trzysta lat wcześniej, dzięki nowemu rodzajowi napędu (zwanego Gdzieniebądźem) dorobił się znacznego majątku, nim popełnił samobójstwo. Założył fundację mającą na celu zrobienie wszystkiego co możliwe dla ostatnich dwóch pilotów - oprócz obudzenia ich - i wynajął wystarczająco dobrych prawników, by tego dopilnowali.

- Pierwsze, o czym Kompania pomyślała, to obudzić pilota T-4 i spytać o Jala: trenowali wszyscy razem, to musi go znać. O mało nie wywołało to powstania na Nowej Ziemi, tak że propozycja upadła.

- A tobie jak się ten pomysł podoba?

- W ogóle, a bo co?

- Bo mnie też nie.

Kin pozostała na satelicie, dopóki Joel nie skończył ostatnich przygotowań i nie przerwał łańcucha molekularnego Liny. Kingdom naprawdę zostało pozostawione samo sobie.

Odleciała, nim zaczął się przygotowywać do hibernacji.

Jej statek przycumowany był do satelity, a teoretycznie rzecz biorąc, była na urlopie, dopóki nie dołączyła do reszty ekipy na Trenchert, gdzie oczyszczono już atmosferę i wzmocniono jądro. Od miesięcy planowała wstąpić po drodze do Momremonn-Spitz, by obejrzeć nowe wykopalisko spindli, gdzie - jak głosi plotka - znaleziono kolejną, sprawną warstwiarkę. Teraz już nie wydawało jej się to istotne.

Zamknęła za sobą wewnętrzne drzwi śluzy i usłyszała:

- Witamy panią na pokładzie, łóżko zaścielone, paliwa pełne baki. Przygotować kąpiel?

- Uhm.

- Kurs mamy obliczony. Mamy odliczać?

- Podarujemy sobie część oficjalną - zdecydowała Kin. - Przygotuj kąpiel.

O tym, że są w drodze, świadczyło jedynie lekkie zafalowanie wody.

- Zgrabnie ci poszło - pochwaliła, gdyż wpojono jej uprzejmość dla maszyn.

- Dziękuję. Pięć godzin i trzy minuty do flickoveru. Kin starannie namydliła ramię i po chwili odezwała się:

- Statek?

- Tak, proszę pani?

- Gdzie my właściwie lecimy?! Bo nie przypominani sobie, żebym ci wydawała jakieś polecenia.

- Lecimy na Kung, zgodnie z pani poleceniem, łaskawie wydanym trzysta trzydzieści osiem godzin

temu.

Kin powstała niczym dobrze namydlona Wenus Anadyomene z piany morskiej, choć znacznie szybciej, i biegiem dopadła fotela pilota, znacząc bąbelkami ślad przez pół statku.

- Powtórz no to polecenie - powiedziała dziwnie cicho, gotowa natychmiast uruchomić połączenie ze stacją.

Joel jeszcze do końca się nie zamroził, bo trwało to ładnych parę godzin, a gdyby nawet, to można go było bez trudu odmrozić. A tylko stacja miała wystarczająco silny nadajnik, by połączyć się z siedzibą Kompanii. Cała sprawa śmierdziała robotą Jaga.

Na ekranie wyświetliło się krótkie i jasne polecenie, poprzedzone kodem statku, a zakończone jej własnym. Nadano je z powierzchni planety, gdy trwały tam jeszcze prace wykończeniowe i działało kilkanaście nadajników. Na końcu widniało zdanie:

„Płaski świat. Jesteś ciekawską osobką, Kin Arad. Jeśli mnie oszukasz, wiecznie będziesz się zastanawiać, czego się nie dowiedziałaś”.

Opuściła dłoń, nie wywołując stacji. Nie można zbudować płaskiego świata. Podobnie jak nie można wrócić, pilotując sondę Ter-minus.

I podrobić banknotu Kompanii.

- Statek?

- Tak?

- Lecimy na Kung. I otwórz połączenie do mojego gabinetu.

- Zrobione, proszę pani.

To co robiła było złe. Prawdopodobnie było też głupie. I prawie na pewno skończy się wylaniem z pracy.

Ale nie miała ochoty wiecznie zastanawiać się, czego nie zobaczyła.

Czas wypełniło jej przypomnienie sobie podstawowego kungijskiego i odświeżenie informacji o samej planecie. Wyszło na to, że dorobili się Liny, ale nikomu jakoś nie przyszło do głowy zakazać lądowań na samej planecie. Na Kung zresztą niewiele rzeczy było zabronionych. Morderstwa też nie były. Była to obecnie jedyna planeta w znanej przestrzeni, gdzie statki mogły lądować, używając pokładowych silników. Zresztą czy to było ważne?

Mieszkańcy planety potrzebowali twardej waluty, a ponieważ Kung w zasadzie nie produkował niczego, co ludzie mogliby wykorzystać (nie licząc szerokiej gamy chorób zbliżonych do zapalenia płuc), robili co w ich mocy, by przyciągnąć turystów. Było bowiem naprawdę dużo rzeczy, które chcieli mieć...

Kin była już na powierzchni Kung i najbardziej zapa miętała deszcz. Kungijski posiadał czterdzieści dwa różne określenia deszczu, ale i tak żadne nie oddawało potopu lejącego się z nieba przez pięćdziesiąt pięć minut każdej godziny. Planeta miała niewielką grawitację. Nie było na niej gór, bo choć sporo ich wyrosło, latające w powietrzu oceany wody niesione wiatrem skutecznie je zniwelowały. Żałosne resztki najczęściej zmieniły się w wyspy. Zalewane niesamowicie silnymi przyływami powodowanymi przez

przerośnięty księżyc. Całości dopełniało nie dające zbyt wiele ciepła słońce i roślinność: albo grzybowata, pospiesznie owocująca podczas odpływu, albo pozbawiona złudzeń podwodna.

To, że w takich warunkach pojawiali się turyści, było kolejną niezgłębioną zagadką wszechświata. A pojawiali się, mimo że cały czas musieli nosić kamizelki ratunkowe na okoliczność przyływów. Rybacy, miłośnicy mgieł, mykofile i opętani wanderjachrem studenci biologii. Co się tyczyło samych kungów...

Wyłączyła czytnik i siadła wygodniej.

Następnie przeprowadziła ze sobą następującą rozmowę:

„Powinnaś zawiadomić Kompanię. Jest jeszcze na to czas”.

„Wiesz, co się stanie: on może jest wariat, ale idiota na pewno nie i będzie się czegoś takiego spodziewał. Poza tym Kung nie jest światem ludzi i Kompania ma tu niewiele do powiedzenia. Wyślijnie się, odleci i tyle go będziesz widziała”.

„Masz obowiązki: nie możesz pozwolić, żeby ktoś tak niebezpieczny latał samopas tylko dlatego, że chcesz zaspokoić własną ciekawość”.

„A dlaczego nie?”

Kin Arad była wbrew pozorom całkiem majątną osobą - Kompania płaciła w Dniach, ale ponieważ w dzień pracy można było zarobić więcej niż jeden Dzień, nadwyżkę czasu można było zamieniać na tradycyjne waluty. Chwilowo na jej koncie znajdowało się trzysta sześćdziesiąt osiem lat, pięć tygodni i dwa dni oraz sto osiemdziesiąt tysięcy kredytów - a kredyt to kredyt.

Poza tym kredyty miały oparcie w Dniach, gdyż najrzadszych nawet pierwiastków było od dawna pod dostatkiem. Ponieważ podstawą działania każdej warstwiarki, podobnie zresztą jak garkotłuka, był transponder, mogły one wytworzyć wszystko, toteż jedynie długowieczność była wymieniać na pieniądze. Kin mogła kupić sobie życie, czego nie byli w stanie zrobić Salomon, Hughes czy Cloritty. A więc była bogata.

Z rozmyślań wyrwał ją bipek alarmu. Na ekranie dziobowym widać było słońce Kingdom niczym czarny, otoczony płomieniami dysk, gdyż czujniki od dawna były pod wrażeniem jego jasności. Kin już wcześniej wyłączyła komputerowi pokładowemu moduł głosowy, gdyż najbardziej w lotach kosmicznych nie lubiła odliczania przed skokiem w Gdzieniebądź. Przypominało to odliczanie do egzekucji. Jeśli komputer miał rację - a nie słyszała, by kiedykolwiek było inaczej - statek skakał, gdy tylko osiągnął odpowiednią szybkość i znajdował się tam, gdzie powinien. Jeśli... (parę sekund nieważkości i przelotna agonia desperacji. Z braku lepszego określenia nazywano to kacem duszy. Wychodziło na to, że coś w ludzkim umyśle odmawiało podróżowania z prędkością większą [jak eksperymentalnie sprawdzono] niż 0,7 roku świetlnego na sekundę. Toteż każdy, nawet najkrótszy skok przez Gdzieniebądź powodował okres czarnej melancholii)...

...na ekranie dziobowym pojawił się czerwony karzeł -słońce planety Kung. Teoria głosiła, że jest mały. To kłamstwo. Z odległości czterech milionów mil był olbrzym. Kung widoczny był jako czarny dysk na jego tle, jako że poruszał się niemal w górnych warstwach atmosfery czerwonego karła.

Kin uśmiechnęła się.

Powierzchnię planety cały czas spowijała warstwa chmur, a jej mieszkańcy i tak byli szaleni. Jaką zwariowaną religię zdołaliby wymyślić, gdyby zobaczyli niebo?!

Trzy godziny później przycumowała do górnej stacji Linii Kung.

Satelita przyozdobiony był w typowym stylu kungijskim - dominowały barwy szaro-brązowo-purpurowa z dodatkiem zawałowej czerwieni. Żadnych władz imigracyjnych nie było - mieszkańcy Kung serdecznie witali przestępców i przemytników. Jedni i drudzy byli bogaci.

Stacja łącząca monomolekularną Linę z powierzchnią planety jest oknem na galaktykę każdego cywilizowanego świata. Powinno się na niej roić od robotów, szpiegów, dziesięciookich obcych, handlarzy dziwów i tajemnych proszków, po których ludzie szaleli i rozmawiali z Bogiem. Wystarczyło tu dostać mocniejszego kopa i uciekało się przyciąganiu. Krótka rzecz ujmując, był to przedsięwzięcie do gwiazd.

Przynajmniej w teorii.

Tu była praktyka, a Kung nie było najlepszym miejscem do handlu. Kungowie skaczący po korytarzach byli rzeczywiście barwni, ale wyglądali normalnie. Co prawda samobieżny odkurzaczy w jednym z korytarzy obsługiwał mackowaty ehft, ale jeśli był on szpiegiem Federacji Galaktycznej, to był też mistrzem przebrania.

Zgodnie z rozkładem lotów wywieszonym w korytarzu następny prom na powierzchnię odlatywał za godzinę. Po chwili poszukiwań Kin znalazła bar z oknem wychodzącym na terminal promów. Nazywał się „Pod Rozbitym Bębniem”.

- Dlaczego? - spytała kunga za barem.

- Bo się nie da na nim grać - odparł, spoglądając na nią ze znudzeniem oczami wielkości spodków.

- Pani sobie winszuje?

- Myślałam, że nie macie poczucia humoru.

- Bo nie mamy. Z Ziemi?

- Z Ziemi.

- Której? Mam stryja-brata na Prawdziwej Zie...

- Z oryginalnej - przerwała mu ostro. Barman przyjrzał się jej uważnie, sięgnął pod kontuar i wyjął kasetę wyglądającą nieprzyjemnie znajomo.

- Tak mi się wydawało, że twarz znajoma - oznajmił tryumfalnie. - Ledwie zobaczyłem, tak mi się wydawało... to naturalnie parszywe holo, ale mimo wszystko... mogłaby ją pani zadedykować, Miss Arad?

- Uśmiechnął się upiornie.

Odpowiedziała, szczerząc się jak najwdzięczniej, i wyjęła kasetę z przekładem swojej książki z jego mokrej czteropalczastej dłoni.

- Naturalnie, jak rozumiem to dla twojego siostrzeńca Sama - mruknęła złośliwie. Kung spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie mam siostrzeńca Sama. Ale chciałem ją dedykować synowi-bratu Brtkłtcowi. Skąd pani wiedziała?

- Magia - westchnęła Kin.

Po dedykacji wzięła drinka i przeniosła się pod okno, próbując nie słyszeć barmana z dużym ożywieniem gadającego z kimś przez interkom. Nagle ktoś stanął koło jej stolika. Obejrzała się i spojrzała w górę. Był to kung.

Człowiek na takiego z zasady spoglądał pod górę, gdyż średnio wysoki osobnik liczył siedem stóp wzrostu, zwieńczonych czerwonym ni to pióropuszem, ni to grzebieniem z czegoś przypominającego włosy. Twarz prawie w całości wypełniały oczy wielkości spodków.

Stojący miał je w dwóch trzecich przymknięte, gdyż barman na cześć Kin włączył pełne oświetlenie lokalu. Niżej znajdowało się szkieletowate ciało z potężnymi mięśniami wyglądającymi jak paciorki na drucie i charakterystyczną wypukłością między ramionami kryjącą trzecie oko. Postać ubrana była w kombinezon - majstersztyk sztuki krawieckiej, jak zresztą każdy ubiór noszony przez kunga i sięgający wyżej pasa. Kungowie bowiem mieli po cztery ręce.

Całość była uśmiechnięta. Sprawiało to upiorne wrażenie, bo uśmiech kunga składał się z

czerwonego półksiężyca i przypominających harfę strun śliny.

- Nazywani się Marco Farfarer - przedstawił się. -I jak ci to pomoże przestać się gapić, to jestem naturalizowaną istotą ludzką. Tylko ci się wydaje, że widzisz kunga: nie pozwól, by mój niezbyt przyjemny wygląd wpływał na twoją świadomość.

- Naturalizowana... - wykrztusiła Kin i opanowała się z wyraźnym trudem. - Przepraszam, to przez drugą parę rąk.

- Przydatna. - Przybysz schylił się i spytał z wyraźnym bagiennym powiewem: - Płaski świat?

Usiadł i oboje przyjrzeni się sobie uważnie, szukając dowodów czy innych poszlak na obliczu drugiego.

- Skąd wiesz? - spytała w końcu Kin.

- Magia. Rozpoznałem cię oczywiście, bo mi się twoja książka podobała. Wiedziałem, że Kin Arad pracuje dla Kompanii, a nie spodziewałem się tutaj cię znaleźć. Nie wyglądasz, jakbyś się tu dobrze czuła. Przypomniałem sobie, że z miesiąc temu byłem na Ehftni i nie mogłem znaleźć statku, żeby stamtąd odlecieć... byłem dopiero trzecim z najlepszych dalekodystansowych pilotów w okolicy... wtedy podszedł do mnie pewien mężczyzna, który...

- Chyba wiem, o kogo chodzi.

- Opowiedział mi co nieco i złożył pewne propozycje. Co tobie zaoferował?

- Między innymi płaszcz-niewidkę.

Kung wytrzeszczył oczy, co było denerwującym przeżyciem dla oglądającego.

- Mnie zaoferował niewielki mieszek ze zwierzęcej skóry, który zrobił między innymi to tu - i wyłożył na blat asortyment walut.

Były wśród nich banknoty stu- i tysiąc dniowe, ceramiczny ehftnicki walec o nominale stu czterdziestu czterech pjumów, gruby plik kredytów, kilkaset tokenów Gwiezdnej Jaskini i karta komputerowa.

- Niektóre natychmiast spieniężyłem w ehftnickim kantorze. Przyjęli je bez wahania, co najlepiej dowodzi ich prawdziwości. Wiesz o tym, jeśli kiedykolwiek robiłaś z nimi jakiegokolwiek interesy. Karta jest najprawdopodobniej kluczem do autobanku, chyba na Ehftni. Były jeszcze ehftnickie dolary, ale potrzebowałem dość gwałtownie gotówki - dodał wyjaśniająco.

Kin trąciła paznokciem walec i obserwowała, jak toczy się po stole.

- I to wszystko wyprodukowała skórzana torba? - spytała cicho.

- Raczej torebka, bo mieściła się w dłoni. Myślałem, że on też jest z Kompanii. Chciał kupić moje usługi.

- Jako pilota?

- Mogę pilotować wszystko, co lata, i to nawet bez taśmy z matrycą. Jestem najlepszy... a ci czego chca?

Do stołu zbliżył się barman, niechętnie ciągnąc za sobą duży, kudłaty dzwon podskakujący na jedynej nodze. Na górze dzwon miał przypiętą skrzyneczkę autotłumacza.

- To Zielony-przechodzący-w-indygo - przedstawił go barman. - Jest ehftem i głównym specjalistą

sanitarnym stacji.

- Miło poznać - odparła Kin.

Ehft wyciągnął skądś przezroczyste pudło i podsunął jej pod nos, czemu towarzyszyło podejrzliwe syknięcie Marca.

- Voila! Regardez! - zawył głośnik autotłumacza. - Ziemski! Myślący! Pytanie!

Siedzący w pudle czarny ptak przyjrzał się kaprawo Kin i wrócił do czyszczenia piór.

- Uległo się wczoraj nie wiadomo skąd - wyjaśnił kung-barman. - Powiedziałem mu, że to zwierzę z Ziemi. Ptak. Tylko że on gada. Sprawdziliśmy w Atlasie istot rozumnych, ale tam był tylko jeden latający i na pewno nie on.

- To wygląda jak przerośnięty kruk. - Kin wzięła pudło i przyjrzała mu się z namysłem. - Rozumiem, w czym problem: chcecie wiedzieć, czy go aresztować, czy zniszczyć. Tak w ogóle to skąd on się tu wziął?

- Puzzle!

- Nie wiemy. Powiedziałem, że się ulągl. Kierowana impulsem otworzyła pudło. Kruk wskoczył na brzeg ścieżki i przyjrzał się jej przychylniej.

- Jest niegroźny - oceniła. - To pewnie czyjaś maskotka.

- Ma... co?

- Mentalny symbiont - warknął Marco. - Ludzie to wariaci.

Ehfb przysunął się niepewnie ku Kin i nieśmiało wyciągnął ku niej mackę z grubym zwojem dziwnie i kunsztownie powiązanego sznurka. Zrezygnowana rozpoznała ehftnicką książkę dotykową.

- Jak mu powiedziałem, kim jesteś, to poszedł aż do swojej kapsuły po twoją książkę - wyjaśnił z zadowoleniem właściciela barman. - Chce żebyś...

Kin już zawiązywała osobisty węzeł na początku zwoju.

- Rozumieć! Nie! Się! - pisał autotłumacz. - Dla! Szczeniak! Należać! Krewny!

- On mówi...

- Zrozumiałam - przerwała mu zniechęcona.

- Jalo! - krzyknął niespodziewanie kruk.

- Zabierz to. - Barman wcisnął pudło w objęcia dwóch ramion Marca. - Może go nakarmić albo zjeść, albo się z nim kochać czy nauczyć go śpiewać. Obojętne, co tam ludzie wyczyniają z makatkami.

- Maskotkami - poprawił go Marco, biorąc klatkę-pudło; wyglądało, że nie ma alternatywy. I oboje poszli w stronę terminalu pionowego.

- Wariat? - zaproponował spoglądający w ślad za nim ehft.

- Ludzie teraz rządzą wszechświatem- stwierdził ponuro kung. - Jeśli to wariactwo, to chciałbym go trochę. Zauważyłeś, jak ludzie chodzą? Jakby wszechświat do nich należał.

Ehft zastanowił się głęboko - porównywanie metody przemieszczania się nie wymagającej macek z własną zawsze strasznie go męczyło.

- Nie! - odparł w końcu.

Na promie było niewielu pasażerów i po chwilowym przeciążeniu przy starcie opuszczał się równo i bez-wstrząsowo wzdłuż Liny.

- Przynajmniej mam tubylca za przewodnika - odezwała się Kin, szczerząc zęby, by pokazać, że to żart: ten kung przynajmniej wiedział, co to takiego dowcip.

- W tej kwestii miałem nadzieję, że to ty mi pomożesz. Nigdy w życiu tam nie byłem. Czasami przylatywałem na stację, ale nigdy nie postawiłem nogi na powierzchni.

- Chcesz mi powiedzieć, że nigdy cię nie korciło, żeby obejrzeć swoją planetę?

- Jaką swoją? Urodziłem się na Ziemi! Marco wyjął z torby kapciuch, z niego fajkę w kolorze starej kości, nabił ją i zapalił, dymiąc co się zowie.

- Co tak śmierdzi? - Kin zmarszczyła nos.

- Tytoń. Konkretnie Cutty Peerless VI. Zaopatruje mnie w tę markę pewien człowiek z Londynu. W Anglii naturalnie.

- Sprawia ci to przyjemność?- upewniła się, przekrzykując klimatyzację, która energicznie zabrała się do dzieła, szumiąc zawzięcie.

Marco wyjął fajkę z ust i obejrzał ją z namysłem.

- Prawdę mówiąc to nie - przyznał - ale jest historycznie zadowalające. Mogę zadać ci pytanie?

- Nie krępuj się.

- Czy czujesz coś do kungów? Seksualnie, mam na myśli?

Kin spojrzała na jego szare oczy, plamistą skórę i ugryzła się w język. Słyszała pewne plotki... i musiała przyznać, że wbrew wyglądowi Marco dosłownie promieniował męskością niczym bolesny wzwód prąca. Kungowie byli bardzo konkretnie spolaryzowani na płci bez psychicznych subtelności, jakie trapiły często ludzi. Słyszała, że dla niektórych ludzkich kobiet męskość kunga była niczym magnes dla opiłka.

- Nie czuję i nie poczuję przez najbliższe tysiąc lat - poinformowała go rzeczowo. - Możesz mnie nazwać staromodną, jeśli ci się podoba.

- Chwała bogu - odsapnął z ulgą. - Mam nadzieję, że cię nie obraziłem?

- Na pewno nie poważnie. A dlaczego... no, spytałeś?

- Nie uwierzyłabyś, jakbym ci opowiedział, co widziałem i przeżyłem z młodymi kobietami cheszącymi się na freffr, ubierającymi się zgodnie z najnowszą kungijską modą i lubiącymi muzykę tlang. Kiedy grałem na pianinie w nocnym klubie, musiałem na noc barykadować okna i drzwi, a i tak dwie młode... Rozumiem naturalnie, że jesteś kosmopolityczną kobietą, ale kiedyś musiałem krzesłem spacyfikować żonę ambasadora Nowej Ziemi, więc sama rozumiesz.

Kruk w przezroczystej klatce ożywił się nieco.

- Co robimy, jak Jalo się z nami skontaktuje? - spytała Kin.

- Jak to co? - Marco omal nie upuścił fajki. - Lecimy na płaski świat, a co niby mamy robić?

Gdy wylądowali, był przypływ, toteż hamulce aerodynamiczne promu szybko przestały dymić. By uniknąć kłopotów z zalaniem lądowiska, płytę i dworzec zbudowano na tratwach unoszących się na

powierzchni. Wokół podobnie zakotwiczonych do wbitych w dno pali znajdowały się inne budowle miejskie, głównie uplecione z sitowia. Pora była wczesna i niewielu mieszkańców wioślowało po ulicach, ale i tak wyglądało to na regaty gollumów.

Po chwili wrócił Marco, ciągnąc niskiego i najwyraźniej przestraszonego kunga.

- On mówi, że został wynajęty jako nasz przewodnik - oświadczył. - Niezbyt dramatyczne, prawda?

Tubylec poprowadził ich ku łodziom przycumowanym do tratwy, ku turystycznemu speedsterowi ludzkiej konstrukcji, którego cztery baloniaste koła całkiem skutecznie robiły za pływaki. Kin zajęła tylne siedzenie. Była przemoczona do suchej nitki. Tutejszy deszcz miał niezwykle wręcz właściwości penetracyjne. Marco siadł za sterami, wpięrowo umieszczając obok siebie przewodnika, i uruchomił silnik. Ruszyli w fontannach wody, zrywając cumę. Marco prowadził jakby od niechcenia, z trzema ramionami nonszalancko przerzuconymi przez oparcie fotela.

Cztery ramiona były rzadkością - przed rewolucją rządząca kungijska arystokracja używała technik mitogenetycznych, by wpływać na rozwijający się zarodek, tworząc w ten sposób kastę wojowników. Cztery ramiona oznaczały wojownika. Kin spróbowała uprzejmości:

- Skąd masz koszule szyte na miarę?

- Tradycja rodzinna- odparł, nie odwracając się. -Zawsze jeden młody przeznaczany był na wojownika, tym razem wyszło na mnie, ale... pamiętasz zerwanie Liny w pięćdziesiątym ósmym?

- Każdy pamięta. Ziemia przez miesiąc była odcięta od reszty Galaktyki - przyznała z niesmakiem.

- Jakims lunatykom udało się wysadzić oba terminale równocześnie.

- Właśnie. Moi rodzice należeli do personelu ambasady w New Stavanger. Zanim założono nową Linę, moja matka zaczęła rodzić.

A kungowie wierzyli, że umysł nowo narodzonego dziecka jest otwarty na przyjęcie najbliższej bezcielesnej duszy...

- Prawdę mówiąc, mojego ojca od samobójstwa powstrzymał attache kulturalny rasy shand, z którym jadł obiad. Miał nadzieję, że będzie przy mnie pierwszy, ale nie zdążył. Więc wystąpili dla mnie o ludzkie papiery, znaleźli dom u starszej pary w Meksyku i opuścili Ziemię. Koniec historii. A dlaczego jesteś łysa?

Kin odruchowo dotknęła peruki.

- Uhm... Wiek. Włosy i lata nie idą w parze.

- Aha. - Marco uważnie obserwował horyzont. - Zawsze uważałem, że takich rzeczy nie należy się wstydzić, a ty?

Przedarli się przez na wpół zatopione rowy i flotyllę wiosek, aż utknęli w jakichś krzakach. Marco zaklął i przełączył napęd na jazdę. Teraz panująca roślinność była bez szans. Kilka opuszczonych ryb pospiesznie podskoczyło za opadającym morzem - na Kung dłużej żyło tylko to, co mogło żyć w wodzie.

Rodzaj roślinności i stopień wzniesienia terenu wskazywały, że znaleźli się w obszarze zalewanym co najwyżej na godzinę w ciągu dwudziestu, a po dalszych wskazówkach przewodnika wyjechali na wiecznie suchy kawał łąki. Ludzie zmieniliby ją natychmiast w pole uprawne i zakultywowali. Kungowie traktowali ją jak pustynię.

Przejechali przez grań.

Przed nimi znajdowała się okrągła dolina, oczywiście z jeziorem pośrodku. W jego centrum kołysał się łagodnie statek kosmiczny wyglądający niczym ciastko z dziurą w środku.

- To Neutrino General Motors, przeznaczony do lądowań i startów planetarnych, wyposażony w krawędziowy motor fuzyjny, hamulec spindli, trzydzieści cztery kabiny i dodatkowe gadżety do wyboru - ocenił Marco, zapalając fajkę. - Latałem kiedyś takim, wewnętrzne systemy nie są najlepsze. Został opracowany,

by sprostać zapotrzebowaniu, które nigdy się nie pojawiło.

- Ma jakieś uzbrojenie? - spytała słabo Kin.

- Jalo! - wrzasnął kruk.

- Wolałbym nie znaleźć się przy dyszy jego silnika - stwierdził Marco.

Przewodnik z prerażeniem przyglądał się jego fajce.

- Poza tym ma bardzo obszerną ładownię: można tam zmieścić dużo dziwnych rzeczy - dodał. - Możesz sobie wybrać.

Ledwie wysiedli, podchodząc do otwartej śluzy, przewodnik ile mocy w silniku zawrócił i odjechał.

- Wygląda na to, że wydostać się stąd można, jedynie odlatując - oceniła Kin. - Ciekawe, co go tak przeraziło?

- Ja - poinformował ją rzeczowo Marco, poruszając się bezszelestnie.

Nagle syknął i zamarł w wyjściowej pozycji bojowej.

Korytarzem ku śluzie zbliżała się postać, której widok uruchomił Kin pamięć gatunkową. Ta zaś nakazywała odszukać wysokie drzewo i wspiąć się na nie. Natychmiast. Albo jeszcze szybciej. To, co zbliżało się w ich stronę, organicznie przystosowane było do rwania pazurami i szarpania kłami. Kin spacyfikowała spóźnioną pamięć gatunkową i wyszczerzyła się uprzejmie.

Shand ledwie mógł się wyprostować w korytarzu, nie dotykając niewielkimi uszkami sufitu, co oznaczało, że korytarz ma trzy metry wysokości. Zwyczajem swej rasy stał jednak na ugiętych kolanach i nieco przygarbiony, jak zawsze gdy znajdował się w artefaktach innych ras, zupełnie jakby się bał, że przez przypadek kogoś zje.

On, a raczej ona była równie szeroka jak wysoka, co także było typowe, oraz miała potężne ręce zakończone zrogowaciałymi kostkami na dłoniach, mogącymi w razie konieczności spełniać funkcję drugiej pary nóg. Całość wyglądała niczym inteligentny niedźwiedź o lornetkowym spojrzeniu, wysoko sklepionej czaszce i paru morsach wśród przodków. Shandy miały bowiem imponującą parę kłów pierwotnie używanych do odrywania mięczaków z dna zamarzających oceanów. Teraz były bezużytecznym przeżytkiem, więc rzeźbiono je we wzory oznaczające pozycję społeczną zajmowaną przez danego osobnika. Trąba zaś...

- Skończyłaś się patseć? - wysepleniła z naganą przybyła.

W rzeźbach na kłach było coś dziwnie znajomego. Na wszelki wypadek Kin wsadziła sobie dwa palce w kąciaki ust dla podobnego efektu akustycznego i powiedziała uprzejmie po shandyjsku:

- Jestem Krewna-Sucha-Prawie-Do-Cna, a kung to Mały-wariat-dojdzie-daleko. Witani cię jak

najtłuszczej, przedstawicielko Dolnej Conwexi Rejonu Delti Moraine, o ile się bardzo nie mylę.

- Gratuluję ci opanowania mowy. Moje imię ma pięćdziesiąt sześć sylab, ale możesz mi mówić Silver. Też się wybieracie na płaski świat? Ten kung jest niebezpieczny? Bo wygląda na nerwowego.

- Myślę, że to dlatego, że nie rozumie shandyjskiego, chociaż oni wszyscy są nerwowi. Pewnie przez te nagłe pływy. Tak w ogóle uważa się za człowieka, ale nie naciskaj go w tej sprawie.

- O czym gadacie? - spytał podejrzliwie Marco.

Nim dotarli na pokład obserwacyjny prowadzeni przez Silver, osiągnęli kompromis: Silver rozumiała wspólny, ale nie mówiła nim z uwagi na kły, toteż Kin i Marco rozmawiali w tym języku, natomiast Kin tłumaczyła mu jej wypowiedzi z shandyjskiego. Przy okazji i pewnym wysiłku translatorskim wyszło, że Silver jest socjologiem, historykiem porównawczym, lingwistą i pasterzem.

- Wszystko razem? - zdziwił się kung.

- Kiedyś znałam jednego shanda, który był dźwigowym, biochemikiem i łowcą wydr - uświadomiła go Kin.

- Dotarłam tu wczoraj - wyjaśniła Silver. - Pracowałam nad przediquatycznym, kiedy ten człowiek...

- Znamy go - przerwała jej Kin. - Co ci zaoferował?

- Nie rozumiem.

- Przynęta. Żeby lecieć z nim do płaskiego świata?

- A, rozumiem. Nic. A powinien? Po przetłumaczeniu Marco spojrzał na nią dziwnie, parsknął i ruszył na zwiedzanie ładowni.

- Twoje nazwisko brzmi znajomo - zauważyła Silver.

- Napisałam książkę Ciągłe tworzenie.

- Doprawdy? - Silver uśmiechnęła się uprzejmie.

Marco zniknął, więc przespacerowały się po części mieszkalnej. Z każdym krokiem Kin robiło się mniej przyjemnie - to naprawdę był dziwny statek. Po pierwsze, został przerobiony: zostawiono cztery kabiny mieszkalne, resztę zajmował olbrzymi zbiornik paliwa. Po drugie, statek został zaprojektowany jako zabawka bogatego idioty, bo tylko ktoś taki (albo szpieg) używał statku mogącego samodzielnie startować i lądować na planetach, a w dodatku latać w kosmosie.

No bo tak: każda użyteczna planeta miała Linę, a żeby dostać się na górną stację innej Liny, potrzebne było hermetyczne pudło z silnikami wysokości i matryca Gdzieniebądzia. Istniała co prawda grupa wyspecjalizowanych handlarzy i biur turystycznych posiadająca statki przystosowane do lotów wewnątrz układowych. Istniały też jednostki mogące latać w razie konieczności na trasie powierzchnia-orbita i z powrotem. Ale nikt nie potrzebował statku mogącego robić to wszystko.

A ten mógł. I to zaczynało Kin podniecać. Liny i matryce podzieliły przestrzeń na przerwy między identycznie zaprojektowanymi stacjami, z których droga prowadziła tylko w dół. Ten statek był zdecydowanie inny.

Był też wyposażony w największy model garkotłuka, jaki w życiu widziała. Mógł on wytworzyć wszystko: od thermidora z homara do trocin. Był w stanie produkować nawet proteiny, przyswajane przez shandy.

Izba chorych nie przyniosłaby wstydu sporemu miastu, a lodówka była tak zaopatrzona, że Kin opadła szczęką. Silver nie bardzo rozumiała dlaczego.

- Mięso, ryby, liście, nic nadzwyczajnego: zwyczajne ludzkie jedzenie.

Kin wskazała garkotłuka mruczącego do siebie zalotnie.

- Słyszałaś, żeby to kiedykolwiek się zepsuło? - spytała.

- Gdyby się psuły, ludzie nigdy nie wpuściliby nas do kosmosu - odparła rzeczowo Silver.

- To po co marnować miejsce i paliwo na przewożenie tego śmiecia? Że o lodówce nie wspomnę. Gdyby był nerwowy, zabrałby jedzenie dla ciebie... ano tak! zapomniałam, że on jest stary.

- Stary?

- Stary na tyle, by nie ufać maszynom i mieć wymagania co do produkowanego przez nie jedzenia.

Zawartość tej lodówki musiała kosztować majątek.

- Wyjaśnij, proszę, co rozumiesz przez „stary” - uparła się Silver.

Gdy Kin skończyła wyjaśniać, zdała sobie sprawę, że tamta przygląda się jej - łagodnie mówiąc - dziwnie.

- Wy, ludzie, musicie mieć fioła na punkcie kosmosu - oceniła.

Do pomieszczenia bezszelestnie wszedł Marco, trzęsąc się z wściekłości.

- Co to jest za statek? - spytał bez wstępów. - W ładowni jest dość broni, żeby przestrzelić na wylot planetę!

- Ręcznej pewnie też nie brakuje - mruknęła Kin. Zaczęła bardzo szybko myśleć.

- Nie brakuje. Jak zgadłaś?

- Nie zgadywałam, powinnam tylko się tego znacznie wcześniej domyślić. Silver, znalazłaś jakąś wiadomość od Jala, jak tu przybyłaś?

- Kung-przewodnik mówił, że mamy czekać. Dlaczego?

- Marco, tu gdzieś muszą być kombinezony kosmiczne. Gdy się w nie ubierzemy, zdołasz uruchomić procedurę awaryjnej ewakuacji?

- Na planecie? Statek imploduje. Muszę wystartować i wznieść się powyżej...

- To automatyczny Clipe kalibru .0003. Jak skoczycie na mnie równocześnie, może wszystkich nie trafię, ale nie wiecie, od kogo zacznę - głos należał do Jala.

Sam Jalo stał w drzwiach, trzymając w dłoni pistolet z nonszalancją wskazującą na wprawę w użyciu. Kin przypomniała sobie, co może zrobić strumień igieł z takiej broni, i zdecydowała się pozostać naprawdę nieruchomo. Zerknęła na Silver. Ta nie patrzyła na Jalo, tylko na kunga.

Marco stał na ugiętych nogach. Ręce trzymał lekko zgięte z dala od ciała niczym dawni rewolwerowcy i syczał cicho.

- Powiedz temu czemuś, że jak zaatakuje, będę strzelał! - ostrzegł Jalo. - Powiedz mu!

- Wiesz, że cię rozumie - odparła chłodno Kin.

- Tu zaraz będzie pobjawisko - dodała Silver po shandyjsku. - Nikt nie grozi kungowi bezkarnie.

- Marco prawnie jest człowiekiem - odparła Kin we wspólnym.

- To mnie właśnie zmyliło - warknął Jalo. - Kazałem tej agencji komputerowej na Prawdziwej Ziemi

wybrać trzy osoby spełniające określone warunki. Podali mi was, tylko, durnie, nawet się nie zająknęli, że dwie z tych trzech osób nie są ludźmi.

- Ale musieli podać planety, na których się urodziliśmy - zauważyła Kin.

- Co z tego? Żaba urodził się na Ziemi, a niedźwiedź na statku orbitującym wokół Shand. Czy nikt tu nie zwraca uwagi na rasę? Podurnieliście do reszty?! Prawnie człowiek! Też idiotyzm. Nie ruszać się.

- Tak się zastanawiałam, gdzie jesteś... powinnam poszukać fragmentu niewyraźnego korytarza... złodzieju.

- Przykre, ale prawdziwe - uśmiechnął się krzywo. - Postępuję zupełnie jak twoja Kompania używająca kradzionych maszyn i techniki, jak na przykład Liny.

- Nieprawda - obruszyła się Kin. - Kompania administruje nimi dla wspólnego dobra. - Doskonale. Profity tej podróży przeznaczymy dla mojego ogólnego dobra.

Znałem LeVine'a i resztę, trenowaliśmy razem. Coś mi się należy od przyszłych pokoleń i mam zamiar sobie to wypłacić.

Coś małego i czarnego pojawiło się zza zakrętu korytarza za jego plecami. Kin przypomniała sobie, że Marco - jako zdeklarowany człowiek - zabrał się do osławiania kruka. Właśnie zbliżała się pora karmienia.

- Potrzebuję pomocy - dodał Jalo.

- Masz mieszek-falszerza, mało ci?

- Z tym, co na nas czeka, możemy stworzyć własną Kompanię. - Jalo wyjął z kieszeni taśmę nawigacyjną. - Wszystko jest tutaj!

- Folałapym mofić pes pistoletu- wyartykułowała z trudem Silver. - To niemiłe.

Kruk podfrunął, wylądował Jałowi na ramieniu i wrzasnął przeraźliwie prosto do jego ucha...

...strumień igieł wbił się w sufit z cichym świstem...

...a Marco poruszył się tak szybko, że pozostali zauważyli to, gdy siedział okrakiem na powalonym Jalu, trzymając w jednej dłoni pistolet, a trzy pozostałe w gotowości do rozwalenia mu czaszki...

...nagle mrugnął, rozejrzał się i pochylił nad Jąłem.

- Nie żyje - stwierdził zdumiony. - A nawet mu nie przyłożyłem.

Kin ukłękła przy leżącym.

- Umarł, zanim go dopadłeś - pocieszyła kunga.

Widziała, jak natychmiast po wrzasku kruka twarz Jala zrobiła się trupioblada. Upadł, zanim Marco znalazł się przy nim.

Jalo był wystarczająco świeżym nieboszczykiem, by warto było go zapakować do pokładowego medyka, który naturalnie natychmiast rozjarzył się wszystkimi czerwonymi lampkami. Kin sprawdziła diagnozę: popękane naczynia, naderwane organy, uszkodzenie mózgu... kiedy dotrą na jakąś ludzką planetę, czeka go co najmniej sześć miesięcy zbiornika rezurekcyjnego.

- Zawał? - zasugerowała Silver.

- I to solidny - dodała Kin. - Szczęściarz. Zapadła cisza. Kin odwróciła się i stwierdziła, że Silver przygląda jej się, nic nie rozumiejąc.

- Możemy to naprawić - wyjaśniła. - Za to gdyby Marco dorwał go żywego, nie byłoby co włożyć do zbiornika. On mu groził.

- Kungowie są paranoidalni - zgodziła się Silver. - Ale ten zachowuje się także jak człowiek.

- Widziałś, jak się poruszał? To pozycja bojowa, choć mógł sobie z tego nie zdawać sprawy. On nie zna znaczenia słowa „strach”. Tak jak każdy kung.

- Aha. - Silver najwyraźniej z czegoś się ucieszyła. - Pół człowiek, pół kung. Ja wiem, co to jest strach, i teraz jestem po prostu przerażona.

- Wiem. Widzę.

(Przerwało jej kilka sekund zawrotu głowy i wieczność desperacji.)

Gdy wróciła jej zdolność widzenia, zauważyła, że statek spowija mgła pełna lodowców. Tak to przynajmniej wyglądało przez okno. Oraz że właśnie przestał wyć alarm. I że gdzieś zniknęło przyciąganie. Silver, nieprzytomna, unosiła się w pobliżu tego, co dotąd było sufitem.

Zreasumujmy... statek unosił się w jeziorze, a teraz unosił się w przestrzeni otoczony przez zamrożone powietrze i spory kawałek jeziora. Na Kung musiała być niezła burza po tym, jak kilka hektarów sześciennych powietrza i wody zniknęło otoczone polem wytworzonym podczas skoku w Gdzieniebądź.

Ponieważ jej wrodzony geniusz czuł się nieco stłamszony w nieważkości, popłynęła, nieco się przy tym objając, do sterowni. Tam zastała Marca pochylonego nad główną konsolą niczym gigantyczny pająk i nawrzeszczała mu do ucha.

Jedynym skutkiem było to, że odwrócił ją ku ekranowi zajmującemu całą ścianę.

To, co tam zobaczyła, skutecznie odebrało jej mowę.

Po chwili odszukała Silver zajętą opatrywaniem rany ciętej na głowie i klnąc zawzięcie w kilku językach, ściągnęła ją, żeby też sobie popatrzyła.

Gdy film się skończył, puścili go jeszcze raz.

- Wsadziłem jego taśmę do komputera nawigacyjnego - wyjaśnił Mar co. - Film też tam był.

- Puść go jeszcze raz, chcę sprawdzić parę szczegółów - odezwała się Kin.

- Jakość obrazu jest wyjątkowo dobra - ocenił Marco.

- Musi być: miał być transmitowany przez kilkadziesiąt parseków...

- Fszpłaszam - odezwała się niespodziewanie Silver i zabrała się do odkręcania sobie kłów.

Kin przyglądała się temu na poły z przerażeniem, na poły z fascynacją - widziała co prawda shandy bez kłów, ale były to albo dzieci, albo kryminaliści. Silver ułożyła kły w skórzanym pudełku i oświadczyła:

- Żeby być dobrym lingwistą, trzeba być przygotowanym na poświęcenia. - Jej wspólny miał idealny akcent. - Jednak zanim podjęłam decyzję, długo się zastanawiałam. Ale nie o to mi chodzi. Marco Farfarer, czy uważasz mnie za osobnika nerwowego albo łatwo poddającego się nastrojom?

- Nie. A dlaczego?

- Bo chciałam ci powiedzieć, że jak jeszcze raz zrobisz podobny numer, to cię zabiję.

- A i tak uważałam, że jest to niemożliwe - dodała Kin z pospieszną dyplomacją. Marco przyjrzał się im uważnie.

- To nie jest niemożliwe, tylko ryzykowne i nielegalne - wyjaśnił starannie. - Jak się źle wystartuje, to można skończyć w jądrze najbliższej gwiazdy. Jeśli natomiast chodzi o twoje... oświadczenie, Silver, to przyjąłem je do wiadomości.

Oboje poważnie skinęli głowami, więc Kin postanowiła przejąć inicjatywę.

- Załatwione - oceniła promiennie. - Teraz film.

Po kolejnym pokazie nie ulegało wątpliwości, że albo film jest prawdziwy, albo Jalo był mistrzem od efektów specjalnych.

Mógł pokazywać rejony polarne Nowej Ziemi albo dowolny obszar Serendipity. Na pewno nie był to Njal czy Milkgaard, bo na tych planetach nie ma ptaków, a jedno z długich ujęć pokazywało ich klucze ze sporej odległości. Dopiero gdy Silver dała maksymalne powiększenie, okazało się, że to nie ptaki: końskie łby, czarne łuski i skórzaste skrzydła jako całość nigdy nie istniały, ale Kin знаła ich nazwę z ziemskich legend - smoki. Leciały sobie nad morskim brzegiem i jeśli fale są tam normalnej wielkości, to wychodziło, że każdy liczy sobie z kilometr długości.

Poza tym były dalekie panoramy czegoś, co wyglądało jak miasta, i kilka zachodów słońca, w tym jeden z powietrza. No i kilkanaście widoków rozgwieżdżonego nieba.

- Wróćmy do tego powietrznego zachodu słońca - zaproponowała Kin. - Co tu się nie zgadza...?

- Horyzont - oznajmił Marco.

Rzeczywiście był dziwnie spłaszczony. Ale coś jeszcze nie pasowało w tym obrazie...

- Gdyby nie, to mógłby to być dowolny ludzki świat - oceniła Silver.

- Zabawne - dodała Kin. - Jalo mówił o płaskiej Ziemi, a nie o płaskim świecie...

- To akurat mnie nie zaskakuje: ludzie byli jedyną rasą hołubiącą prymitywną koncepcję płaskiego świata - Marco przewinął film do widoków gwiazd. - Jak mi nie wierzysz, możesz sprawdzić. Kungowie wierzyli, że żyją we wnętrzu kuli, a shandy miały dwa słońca, które od początku uczyły je podstaw kosmologii.

Kin sprawdziła to potem w pokładowej bibliotece i okazało się, że Marco ma rację. Ale dowodziło to jedynie, że ludzie byli głupawi i nader egocentryczni. Obcy wiedzieli o tym od dawna.

- Dokładnie jak to wygląda, będziemy mogli ocenić, gdy tam dolecimy - dodał Marco.

- Stop! Co masz na myśli, mówiąc: kiedy dolecimy? - ocknęła się Kin.

- To, że już jesteśmy w drodze. Ten jęk przed chwilą to było załadowanie matrycy.

- A dokładnie gdzie jesteśmy teraz?
- Pół miliona kilometrów od powierzchni Kung.
- Zawracaj! Ja nigdzie nie lecę! Wysiadam! - oświadczyła Kin.
- A co konkretnie planujesz?

Kin musiała przyznać, że pytanie ją zaskoczyło.

- Och... powinniśmy go zawieźć do kliniki - powiedziała w końcu. - Możemy poczekać i... no... - Urwała, bo nawet w jej uszach zabrzmiało to głupio.

- Mamy kurs, statek i czas - podsumował Marco. - W sarkofagu nic mu nie będzie. Jeśli nie polecimy, zaraz będziemy się musieli tłumaczyć, a Kompania i tak będzie miała do ciebie pretensje, że nie zgłosiłaś się do nich natychmiast.

Kin spojrzała na Silver, ale ta tylko skinęła głową i dodała:

- Nie chciałabym stracić takiej okazji.
- Posłuchajcie! Ten lot z Jąłem wydawał się dobrym pomysłem, ale teraz nie mamy pojęcia, na co się porywamy. Po prostu próbuję być inteligentnie ostrożna, to wszystko.
- I to by było na tyle, jeśli chodzi o słynną małą ciekawość - ocenił Marco, spoglądając wymownie na Silver. - Żeby nie wdawać się w detale typu...

- Poszaleliście! Oboje!

Marco wzruszył ramionami, co przy podwójnym ich zestawie wyglądało szczególnie malowniczo, i odwinął się z fotela pilota, czyli - mówiąc mniej poetycznie - wstał.

- Dobra. Jak się upierasz, to odwieź nas z powrotem.

Kin opadła na fotel i opuściła ekran na wygodną dla siebie wysokość, po czym rozejrzała się po półkolistej tablicy rozdzielczej. Kilka wskaźników wyglądało znajomo - prawie rozpoznała kontrolki klimatyzacji i temperatury. Reszta była jednym wielkim bezsensem - zawsze latała inteligentniejszymi statkami.

- Nie umiem go pilotować! - oświadczyła. - I dobrze o tym wiesz!
- Miło, że ty też o tym wiesz. - Marco spojrzał na zegarek. - Może byście się tak zdrzemnęły?

Kin leżała i myślała, bo sen jakoś się nie zjawiał. Głównie o stereotypach i o obcych. Kungowie byli paranoidalni, żądni krwi i przesądni. Shandy spokojne, żądne krwi i okazjonalnie ludożercze. A według obu tych ras ludzie byli żądni krwi, dumni i lubili niepotrzebne ryzyko. Wszyscy uważali, że ehfty były zabawne, a nikt nie miał pojęcia, co ehfty sądziły o pozostałych.

Prawda - raz się zdarzyło, że czterech kungów dostało się na pokład ludzkiego statku i nim ostatniego zabito, zdołali utłuc trzydziestu pięciu członków załogi.

Fakt, że przy jakichś dyplomatyczno-oficjalnych okazjach shandy z wielką pompą zjadały ludzi. I co z tego? Nie można tego ocenić, dopóki nie potrafi się myśleć tak jak obcy. A nikt nie umie myśleć jak przedstawiciel innej inteligentnej rasy. Wszyscy sądzą, że to przedstawiciele tej samej, tylko przebrani, bo inaczej współzycie byłoby niemożliwe. Każdy ma co prawda świadomość, że inne rasy wykształciły się na

innych planetach i muszą być inne, ale jest to świadomość bardziej teoretycznej natury... Nagle siadła, nasłuchując... statek pomrukiwał do siebie i był to jedyny słyszalny dźwięk. To, co nie dawało jej spokoju, właśnie przebiło się do świadomości. Musiała to sprawdzić, nie tracąc nawet czasu na ubieranie się...

Dziesięć minut później weszła do sterowni, w której Marco wciąż stał na stanowisku.

- Marco?

Odruchowo podskoczył, odepchnął ekran i odwrócił się wykrzywiony w uśmiechu.

- Wszystko przebiega zgodnie z planem. Co tam masz? Plastykową abstrakcję?

- To klatka kruka. Jest z bioplastyku, który topi się w temperaturze powyżej tysiąca stopni.

Znalazłam ją w śluzie - odparła, podając mu bezkształtną masę.

Marco obrócił ją w dłoniach i wzruszył ramionami.

- Te ptaki są inteligentne?

- Może są, ale na pewno nie mają palników pod ogonami.

Przez chwilę oboje w milczeniu przyglądali się stopionej klatce.

- Jalo mógł to zrobić... - zaproponował niepewnie Marco. - Nie mógł. Był tak jak my zaskoczony widokiem ptaka.

- Powiedziałabym, że nawet bardziej. Nie lubię takich tajemnic. Widziałeś ostatnio kruka?

- Od śmierci Jala nie. - Marco przechylił się i włączył alarm.

Na całym statku zawyły syreny i rozzwoniły się dzwonki - po czterdziestu sekundach do sterowni wpadła Silver, jeszcze przysypana śniegiem wypełniającym jej jamę sypialną. Wyhamowała, widząc, że oboje jej się przyglądają, i warknęła pytająco:

- To ma być jakiś ludzki żart?

Czym prędzej powiedzieli jej, o co chodzi.

- Rzeczywiście dziwne - zgodziła się Silver. - Powinniśmy chyba przeszukać statek...

Marco westchnął i wygłosił dłuższą przemowę na temat małych schowków, jakie znajdują się na każdym statku kosmicznym, oraz podał malownicze szczegóły, co może nastąpić, gdy coś małego, pierzastego i zdeterminowanego dostanie się do przewodu wentylacyjnego albo zapłącze w kable.

- No dobra - podsumowała Kin. - To co robimy?

- Wy wracacie do swoich kabin, sprawdzacie je dokładnie i uszczelniacie drzwi. Ja wypuszcze powietrze z reszty statku, tworząc podciśnienie. Standardowa procedura deratyzacyjna.

- Zabijesz go - zauważyła rzeczowo Kin.

- No to co?

Czekając na zakończenie całej procedury, Marco przelotnie zastanowił się, skąd się w ogóle wziął ten cały kruk, ale potem skoncentrował się na czymś znacznie istotniejszym. Mianowicie na tym, czy któraś ze współtowarzyszek podróży zauważyła, że gwizdnął martwemu Jałowi magiczny mieszek. Tak na

wszelki wypadek...

Silver po przeszukaniach (z zerowym zresztą wynikiem) swej kabiny, zresztą zupełnie zamarzniętej, poświęciła się rozważaniom, czy którekolwiek z pozostałych zauważyło, jak zabiera mieszek ze schowka Marca i wkłada do własnego. Żeby potem móc go w spokoju zbadać...

Kin po przetrząśnięciu kabiny położyła się wygodnie, obserwując pulsujące, czerwone światło nad drzwiami, oznaczające, że na korytarzu nie ma powietrza, i czując przelotną sympatię dla kruka. A potem skupiła się na rozważeniu, czy ktoś dostrzegł, że zabrała mieszek z kryjówki Silver i wyrzuciła do zsypu podczas skoku w Gdzieniebądź. Teraz mieszek, o ile jeszcze istniał, leciał sobie prosto do krańca wszechświata napędzany ciągłym strumieniem banknotów.

W czterech miejscach w kadłubie rozmieszczone były śluzy powietrzne zamontowane zgodnie z przepisami bezpieczeństwa, by podczas nagłej dekompresji członkowie załogi mieli większe szansę ratunku, niż gdyby mieli do dyspozycji tylko kombinezony kosmiczne. Pomysł sprawdził się już wielokrotnie.

Nad każdą zajętą śluzą powinno błyskać duże, czerwone światło, by ekipa ratunkowa nie musiała tracić czasu na sprawdzanie. Teraz jedno błyskało, tyle że nikt nie zwracał na nie uwagi.

Wewnątrz był kruk kurczowo trzymający się obulap drążka przy wlocie powietrza i myślący o przetrwaniu.

W jakiejś nudnej chwili, w które obfitują wszelkie podróże, Silver zażyczyła sobie w pokładowej bibliotece egzemplarza książki Kin Arad. Okazało się, że egzemplarza nie ma, jest natomiast streszczenie z „Przeglądu Literackiego Dziesięciu Światów” poprzedzone stu sześćdziesięcioma linijkami tekstu dotyczącego udziału autorki w ponownym odkryciu zasad produkcji papieru. Streszczenie zaczynało się następująco: „Głównym osiągnięciem autorki jest zebranie kilkunastu odkryć archeologicznych, paleontologicznych i astronomicznych w jedną spójną teorię. Teraz łatwo powiedzieć, że teoria ta była od dawna oczywista. Właśnie ta oczywistość powodowała całkowite jej ukrycie. Jedynie konstruktor planet przyzwyczajony do syntetycznego myślenia i będący jednostką wybitnie odczytaną mógł ją odkryć”.

A teoria była taka:

Były sobie spindle. Telepaci tak telepatyczni, że na jednej planecie nie mogło ich przebywać więcej niż tysiąc równocześnie, bo wywoływały mentalny hałas nie do wytrzymania. Pozostawiły po sobie biblioteki i urządzenia, dzięki którym wiadomo, że były w stanie przekształcać planety, dostosowując je do własnych potrzeb. Wiadomo też, że potrzebowały dużo przestrzeni do życia i myślenia i że były dumne. Ich

dumę szlag trafił, gdy na planecie Bery pod półmilionową warstwą granitu odkryły pozostałości warstwiarki wheelerów. Okazało się, że wbrew temu, o czym były głęboko przekonane, wcale nie były pierwszymi panami Stworzenia - wheelerzy wyprzedzili ich o jakieś pół miliarda lat. Szok był taki, że spindli przestały się rozmnażać.

Większość tego, co jest znane, zawdzięcza się wrakowi statku spindli, który został przechwycony w ziemskim systemie słonecznym. Był on jakby latającą biblioteką, dzięki czemu niewiele ucierpiało po wielokrotnym trafieniu przez meteoryty. Miał sto mil średnicy i załogę złożoną z trzech spindli. Większość powierzchni tworzyła pusta przestrzeń niezbędna do myślenia i życia członków załogi. A inne rasy uważają, że mają problemy z przeludnieniem...

Wheelerzy wyglądali jak krzemowe półkule wyposażone w trzy naturalne koła. Przynajmniej nic więcej nie ocalało, lecz pod granitem dało się znaleźć pozostałości ich miast, toteż powoli poznano ich cywilizację. Mieli zapisy dotyczące jeszcze wcześniejszej rasy zwanej paleotechami. Mieli oni tworzyć gwiazdy Typu II razem z układami planetarnymi. Jedną z ich specjalności było wywoływanie supernowych, by stworzyć ciężkie pierwiastki. Dlaczego? A dlaczego nie? Paleotechów nie było łatwo zrozumieć (Kin Arad udzieliła całkiem zadowalającej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tworzyli gwiazdy: „Bo mogli”).

Pewnego razu statek, który wypadł z Gdzieniebądzia w wyniku uszkodzeń, odnalazł martwego paleotecha w mało znanym rejonie Galaktyki. Martwego według obecnie przyjętych zasad (Kin Arad zauważyła słusznie, że mogli żyć według innej skali czasowej i to, co nam wydaje się martwym truchłem, w realiach czasu metagalaktycznego może być całkiem żwawym organizmem). W każdym razie był to cienkościenny walec liczący pół miliona mil.

Legendy wheelerów mówią o gładkim, wypolerowanym świecie zawierającym zapis całej historii paleotechów wraz z legendami dotyczącymi poprzedzającej ich rasy chtonów, budujących ponoć gwiazdy z materii kosmicznej, oraz jeszcze wcześniejszych RIME, którzy wytwarzali wodór jako efekt przemiany materii...

Wniosek:

Rasy powstają i zmieniają wszechświat, dostosowując go do swych potrzeb, po czym wymierają. Pojawiają się inne rasy, które także zmieniają zastany wszechświat według własnego gustu i również wymierają. Itd., itp., c.dn. I tak od samego początku, gdy była nicość. Proces ciągłego tworzenia jest tym, dzięki czemu istnieje wszechświat, nigdy bowiem nie było czegoś takiego jak naturalny wszechświat.

(Kin Arad nie wytrzymała kiedyś podczas dyskusji, gdy jeden z mówców krytykował rasę spindli, ponieważ manipulowały one planetami i ich stanem. Odparła, że gdyby tego nie robiły, to Ziemia wciąż byłaby mieszkanką płynnych skał i ciężkich chmur. Oprócz tego, że umożliwiły powstanie na niej życia i zaopatrzyły w solidny księżyc, to jeszcze dały ludziom przeszłość. To dzięki ich programowaniu warstwiarki położyły liczącą kilkaset metrów grubości warstwę zawierającą skamieliny istot, które nigdy nie istniały, jak ichtiozaury, trylobity czy kreda. Może nie czuły się normalnie bez takiej warstwy, podobnie jak gdy w promieniu pięćdziesięciu mil był inny przedstawiciel ich rasy, a może miały takie poczucie humoru. Prywatnie Kin uważała, że była to dla nich forma sztuki. Tym ciekawsza, że nie przewidziana do oglądania przez nikogo.)

Przedłużającą się podróż Kin wykorzystała na zwiedzenie ładowni. I była pod wrażeniem. Gdyby Marco skierował się na planetę kierowaną przez chwiejny rząd, broni było dość na zwycięską wojnę domową, poczynając od kompletnego systemu raketowego, kończąc na jakimś ręcznym samopale strzelającym zaostrzonymi drewnianymi kulami.

Statek - nie złożyło im się dotąd nazwać go w żaden sposób - wyszedł z Gdzieniebądzia. Po chwili Marco odprężył się i przestał zwisać nad kontrolkami: nie przywitała ich żadna salwa.

W ogóle nic ich nie przywitało. W pobliżu nie było nawet gwiazdy.

- Jesteśmy nadal na granicy poznanej przestrzeni - ocenił Marco. - Ten błękitny olbrzym to Dagda Secundus. Jesteśmy od niego o jakieś pół roku świetlnego.

- Ciekawe, po co tu się zjawiliśmy - zastanowiła się Kin. - Gwiazda tego typu nie powinna w ogóle mieć planet, a co dopiero takich przyjemnych i słonecznych.

- Komputer szuka - mruknął ponuro Marco. - Igła i siano. Znajdziemy może jakąś zamrożoną skałę ruszającą się po orbicie z oszałamiającą prędkością dwudziestu węzłów.

- A tymczasem można by coś zjeść - zaproponowała Silver.

Każde z nich zaprogramowało garkotłuka na to, na co miało ochotę, i z gotowymi daniami wrócili do sterowni.

- Poczekamy z godzinę - zaproponowała Kin. - Chociaż nie wiem po co... ten obszar został już zbadany, wątpię, żeby zwiad kosmiczny przeoczył coś tak oczywistego jak planeta.

- Wątpię, żeby dokładnie szukali - dodała Silver.

Na chwilę znowu wszystko stanęło dęba, gdy komputer przestawił statek o kilka milionów mil, by zmierzyć paralaksę.

- Dotarliśmy tu zgodnie z taśmą Jala - odezwał się Marco. - Nie chciałbym...

Przerwał mu brzęczyk komputera i skoczył ku przyrządom.

Przy maksymalnym powiększeniu na ekranie było widać małą, niewyraźną półkulę.

Wszyscy przyjrzeni się jej z lekkim zaskoczeniem.

- Planeta - oceniła Kin.

- Raczej jasno oświetlona, jak na odległość od słońca - dodał Marco. - Pokryta lodem czy co? Silver odchrząknęła przepaszającą.

- Nie jestem astronomem, ale coś tu jest nie tak.

- Nie lód? To może Helium IV - zaproponował Marco.

- Nie zrozumiałeś mnie. Oświetlona półkula powinna być skierowana w stronę gwiazdy, prawda?

Teraz wszyscy przyjrzeni się planecie z nowym zainteresowaniem.

- Jasny szlag, ona ma rację! - wykrzyknął Marco. - To pół miliarda mil, powinienem dotrzeć tam jednym skokiem...

Przez moment jego cztery dłonie unosiły się nad pulpitem.

I opadły.

Spadało na nich niebo.

W końcu Marco, jak zahipnotyzowany, przekreślił statek i pod nimi rozpostarła się płaska Ziemia niczym talerz pełen kontynentów. Albo moneta rzucona przez niezdecydowanego boga.

Znajdowali się może z dwadzieścia tysięcy mil nad jej powierzchnią, lecąc nieco po skosie, mieli więc przed oczyma doskonale widoczną mapę czarnych lądów i srebrzystych mórz momentami przesłoniętych przez oświetlone blaskiem księżyca chmury. Z jednej strony dysku, na jego skraju, znajdowała się czapa polarna...

Kin zauważyła księżyc dopiero po chwili, gdyż nie było żadnego źródła tego blasku. No i były też gwiazdy - konkretnie między powierzchnią planety, a statkiem.

Ował prawie przezroczystej kuli pograżony był w cieniu. Marco objaśnił wyniki pomiarów.

- Dysk znajduje się wewnątrz przezroczystej kuli o średnicy szesnastu tysięcy mil, na której zewnętrznej powierzchni są umocowane gwiazdy.

Jedna strona krawędzi dysku nagle pojaśniała zielonym ogniem, który otoczył po chwili całość, tak że wyglądała jak dziura w przestrzeni otoczona zielonymi płomieniami. Potem pojawił się tam jaśniejszy punkt i weszło słońce.

Jedno z urządzeń oświadczyło, że jest to zewnętrzny reaktor fuzyjny.

A wyglądał jak słońce.

Zielony kolor wziął się stąd, że Ziemię na dysku otaczał ocean spadający poza krawędź w liczącym trzydzieści pięć tysięcy mil wodospadzie. Słońce prześwitujące przez otaczający powierzchnię wodospad - nic dziwnego, że Jalo sfiksował.

Na świt pierwsza zareagowała Silver: zachichotała.

- Nazwał to płaską Ziemią, prawda? - spytała.

Kin przyjrzała się dokładniej - prawda, nie było Nowego Świata, ale Europa z częścią Azji i Afryki były jak najbardziej na miejscu. To faktycznie wyglądało jak Ziemia. I było płaskie.

Marco umieścił statek na szybkiej orbicie i przez trzy godziny nikt nie opuścił sterowni. Nawet Silver zrezygnowała z pory karmienia, zaspokajając ciekawość. Obserwowali wodospad przy maksymalnym powiększeniu. Woda spadała około pięćset mil, nim zmieniała się w parę, ale sam dysk miał tylko pięć mil grubości - od spodu był czarny niczym przestrzeń i całkowicie płaski.

- Ludzie wierzyli, że świat jest płaski i oparty na grzbietach czterech słoni - odezwała się niespodziewanie Silver.

- Tak? - zdziwiła się uprzejmie Kin. - A na czym stoją słonie?

- Na olbrzymim żółwiu płynącym przez przestrzeń. Kin spróbowała przetrwać ten pomysł, ale nie bardzo jej się to udało.

- Głupie. Czym on niby miałby oddychać?

- A skąd ja mam wiedzieć?! To mit twojej rasy, nie mojej.

- Bardziej mnie interesuje, jakim cudem ta woda cały czas leje się poza krawędź, a wciąż jest jej pod dostatkiem.

- Pewnie w parze ukryty jest molekularny przetak -oznajmił Marco, nie unosząc głowy znad ekranów. - Wodociągi to pestka...

- Molekularne co? - zdziwiła się Kin.

- Przetak... no, sito! Ważniejsze jest co innego: gdzie są mieszkańcy? To przecież sztuczny twór.

- Nikt nie próbował nawiązać z nami łączności?

- A jak ci się wydaje po mojej reakcji?

- Zakładam, że nie próbował. Może to i dobrze, biorąc pod uwagę ten arsenał w ładowni.

- Cały czas biorę go pod uwagę i za każdym razem mam wrażenie, że ktoś zdolny do zbudowania czegoś takiego nie przejmowałby się nim, nawet gdyby ładownia była trzy razy większa.

- Może mieszkańcy nie żyją - zasugerowała Silver. Kin i Marco spojrzeli po sobie tępawo.

- Nieprawdopodobne - ocenił Marco. - Bardziej możliwe, że przeszli już etap ohydnej fizycznej egzystencji i choćby w tej chwili zajmują się czymś tak sympatycznym jak pieprzenie niezgłębionego.

- To któregoś dnia czeka ich szok- skomentowała Kin. - Ta paranoja wymaga niezłej energii, żeby działać. Orbita słońca jest niewłaściwa, morza tylko cudem jeszcze nie są puste. Po co im własne gwiazdy, skoro wokół jest masa prawdziwych...

- To ostatnie akurat jest logiczne - przerwał jej Marco. - Wygląda na to, że ta kula jest przezroczysta jedynie z zewnątrz. Dla nich nie jest przezroczysta, tylko nie pytaj mnie dlaczego.

- Ładujemy? - zainteresowała się Silver.

- Jak? - spytała Kin.

- Bez problemu - skrzywił się Marco. - W przezroczystej kuli jest dziura o średnicy osiemdziesięciu metrów. Przelecieliśmy nad nią ostatnim razem.

- Co?!

- Byłaś zajęta oglądaniem wodospadu, a nie wydało mi się to aż tak ważne, żeby ci przerywać. Najwyraźniej mieszkańcy są na etapie podróży kosmicznych.

Dwadzieścia minut później statek znieruchomiał nad dziurą.

Miała nieco eliptyczny kształt i stopione brzegi - zupełnie jak przy ostrożnym użyciu pokładowego napędu fuzyjnego albo lasera geologicznego. Kin co prawda nie wiedziała, czy sondy Terminus były wyposażone w lasery geologiczne, ale wydawało się to wysoce prawdopodobne.

- Znajdujemy się wysoko nad atmosferą - oznajmił Marco i dodał: - mam nadzieję, że użytkownicy nie wściekli się za dziurę w niebie.

- Możemy zaproponować im odszkodowanie - podsunęła Silver.

Kin prawie potraktowała to jako żart, zastanawiając się, dlaczego ktoś zamknął się w ten sposób przed wszechświatem. Jeśli nie byli kompletnymi paranoikami, takie postępowanie nie miało sensu. A gdyby nimi nie byli z początku, to stali się tacy na pewno.

- Nie! - oświadczyła nagle. - Szaleńcy nie zdołaliby zbudować czegoś takiego.

- Wygląda jak Ziemia, a Ziemianie są szaleni - zauważyła Silver. - Przypuszczam, że ludzie nie bawili się w sekretne budowanie światów?

- Nie... - zaczęła Kin stanowczo i zauważyła, w jaki sposób pozostała dwójka jej się przygląda. - ...nie wiem. Przyznaję, że wygląda, jakby się bawili.

- W rzeczy samej - przytaknął Marco.

- Właśnie - zgodziła się Silver.

- Teraz nie oddychać i nie miotać się! - polecił Marco. - Powinniśmy się precyzować, ale prawie na styk.

Przelecieli, a raczej wpadli przez dziurę, mając ledwie metry przestrzeni między kadłubem a brzegami otworu, przy wtórze wycia wszystkich możliwych czujników zbliżeniowych. Czujniki wciąż były, gdy Kin zauważyła na ekranie pędzący ku nim obiekt.

Obiekt uderzył w ładownię, dziurawiąc kadłub i wywracając niebo do góry nogami. Drzwi awaryjne zatrzasnęły się z łoskotem, a sterownia z szarpnięciem oddzieliła się od reszty kadłuba, stając się samodzielnym statkiem, a raczej kapsułą ratunkową wyposażoną we własny napęd i żyroskopy.

Zniszczenia, jakim uległ statek, były niczym w porównaniu z tym, co spotkało napastnika - przestał on bowiem istnieć.

Błękitnozielone odłamki rozprysnęły się po niebie, a gdy Kin zebrała się z podłogi, ekrany migotały niczym wielobarwny pył.

Wewnętrzne drzwi śluzy awaryjnej otworzyły się i wpadł przez nie Marco, zdejmując hełm skafandra, co zajmowało mu dwie ręce. W trzeciej ścisnął karabin laserowy, a w czwartej ostrożnie trzymał długi, szklany odłamek.

- Tylko mi nie mów, że ktoś rzucił w nas butelką - powitała go Kin.

- Butelką może nie, za to nader celnie - warknął. - Reszta statku to wrak: nie mamy napędu, a zawartość ładowni lata sobie spokojnie wokół wraku. Działają systemy awaryjne i prawdopodobnie udałoby mi się zamontować jakiś napęd podświetlony.

- A więc nie wszystko stracone - oceniła Silver.
 - Tyle że powrót do domu potrwałoby ze dwa tysiące lat. Nawet ten karabin jest głównie wart, bo Jalo trzymał zasilacze w osobnym pudle, tak jak je zapakował jakiś głupek w fabryce.
 - A więc lądujemy na dysku - podsumowała Kin.
 - Właśnie się zastanawiałem, która z was wpadnie na to pierwsza. Tylko będzie to podróż w jedną stronę. Nie wystartujemy tym pudłem.
 - Co właściwie nas trafiło? - zacięła się Silver. - Wydawało mi się, że widziałam kulę jakiejś dziesięciometrowej średnicy...
 - Obawiam się, że wiem, co to było - wymamrotała cicho Kin.
 - Całkiem skuteczna broń - ocenił Marco. - Co prawda nie bardzo rozumiem, dlaczego uległa całkowitemu zniszczeniu, ale skutecznie załatwiła sprawny statek kosmiczny. Zanim wylądujemy, chciałbym oblecieć to jeszcze raz. Na wszelki wypadek.
- Silver chrząknęła cicho i znacząco.
- A co będziemy jedli? - spytała uprzejmie.

Kilka godzin ciężkiej harówki zajęło im wydostanie garkotłuka z leniwie obracającego się wraku. Ponieważ Kin się uparła, przy okazji wyciągnęli też sarkofag z Jąłem i podłączyli do awaryjnego zasilania. Garkotłuk miał własne źródło energii, zgodnie z przepisami zresztą. Powód był prosty - nikt nie chciałby spędzać swych ostatnich dni w ciemnym wraku, po którym kręci się głodny shand.

Nowa orbita prowadziła w pobliżu księżyca, który już nie świecił i z powierzchni był najwyraźniej niewidoczny. Kiedy znaleźli się bliżej, zobaczyli, że jedna jego półkula jest czarna.

- Fazy - domyśliła się Kin. - Jak się nim pokręci, to można uzyskać różne fazy księżyca.
- A kto kręci? - zainteresował się Marco.
- Pojęcia nie mam! Ten, kto chciał, żeby to wyglądało jak Ziemia. I nie patrzcie tak na mnie: przysięgam, że tego nie zbudowali ludzie.

Wygłosiła dłuższy wykład na temat różnych astronomicznych sztuczności, jak pierścienne światy, dyski, sfery Dysona czy tunele słoneczne, kończąc następującą uwagą:

- One nie działają. A raczej działają krótko, bo są zbyt wrażliwe na uszkodzenia i wymagają ciągłej opieki technicznej. Zbyt wiele może się w nich zepsuć. Kompania buduje planety, bo są trwałe i nie wymagają napraw. A wcale nie są tanie. I jestem też pewna, że nie zbudowały go spindle. Dla nich planety były ważne: musiały czuć mocny grunt pod nogami i otwartą przestrzeń nad głową. Gdyby miały żyć w takich warunkach, błyskawicznie by powariowały. A na dodatek one wymarły co najmniej czterysta milionów lat temu, a to nie miało prawa wytrzymać połowy tego czasu. Tam, wewnątrz, musi być kupa maszyn, żeby to wszystko działało, a maszyny się zużywają.

- Na dole są miasta, i to we właściwych miejscach - zauważył Marco i zmienił temat. - Dobra, Kin, bo ci w końcu język w piętę ucieknie. Co w nas trafiło?

- Ta dziura była na ekliptyce? - spytała zamiast odpowiedzi.

Marco zajął się na kilka sekund komputerem.

- Była - oznajmił. - Ale słońce znajdowało się dużo poniżej nas.
- Mieliśmy autentycznego pecha: trafiła w nas planeta.
- Też tak myślałam - przytaknęła ponuro Silver -tylko wołałam się nie odzywać, żebyście mnie nie uznali za głupią.

- Planeta? - zdumiał się Marco. - Planeta wylądowała na statku?
- Wiem, że przeważnie jest na odwrót, ale chyba zaczynam rozumieć zasady działania tego układu.
- Kin spoważniała. - Jest fałszywe niebo, więc muszą też być fałszywe planety. Ich orbity to dopiero musi być coś! Jeśli naprawdę to z powierzchni ma wyglądać tak jak z Ziemi, to muszą chwilami latać zygzakami.

- Myliłem się - przyznał niespodziewanie Marco. - Powinniśmy wracać, gdy była możliwość, mając do dyspozycji sarkofag i czuwając na zmiany. Dwa tysiące lat to wcale nie tak długo. Nie wiem, która firma poleciła mnie Jałowi, ale powinni mu oddać pieniądze: nie nadaję się do tej roboty.

- Nie łam się, widoki są naprawdę ładne - pocieszyła go Kin.
Przelecieli pod dyskiem, ponownie mając okazję obejrzeć zielonkawe słońce prześwitujące przez wodospad.

A potem znowu coś w nich rąbnęło.

Tym razem to nie była planeta.

Był to statek, którego większość pozostała na resztkach rufowej anteny. Zauważyli to dopiero, gdy Marco wytłumił wariacki korkociąg, w jaki wpadli po trafieniu.

Tym razem na kadłub wyszła Kin w kombinezonie.

- Marco? - spytała niepewnie po przyjrzeniu się zamarzniętemu wrakowi.

- Słyszę cię głośno i wyraźnie.

- Mieliśmy antenę.

- Domyśliłem się już. Poza tym tracimy powietrze. Widzisz przeciek?

- Tu wszędzie jest pełno mgły, ale spróbuję poszukać.

Usłyszeli tupot ciężkich butów po kadłubie, a potem nastąpiła naprawdę długa cisza. I to pomimo gorączkowych wrzasków Marca do mikrofonu. Gdy Kin odezwała się wreszcie, mówiła dziwnie wolno.

- To był statek... nie, złe słowo... łódź, to była żaglowa, łódź do pływania po wodzie.

Odruchowo spojrzała w górę, na ogólnoplanetarny wodospad...

Maszt był złamany, większość poszycia wyrwana, ale pozostało dość trzymających się kupy szczątków powiązanych linami, by można było dostrzec, że w łodzi ktoś był. A raczej jego pozostałości.

- Marco?

- Słucham?

- Łódź miała pasażera.

- Humanoid?

- Najpierw spadł w przepaść, potem znalazł się w próżni, a na koniec zderzył się z nami, to uważasz, że jak wygląda? To, co widzę, wygląda jak efekt wybuchu granatu w kostnicy - warknęła Kin ponuro, pomimo iż nie był to pierwszy zabity, jakiego w życiu widziała.

Prawdę mówiąc, widziała ich sporo, ale wciąż nie mogła się przyzwyczaić. Wielowiekowi często

wybierali gwałtowną śmierć: a to skok bez spadochronu, a to spacer przed właśnie otwartym wybiegiem sklonowanych słoń, a to nurkowanie w konwerter warstwiarki... no, przy tym ostatnim pomysle zostawał jedynie dziwny wzorek na akurat kładzonej warstwie geologicznej.

Przykłęknęła i przyjrzała się temu, co pozostało: zamrożona szmata, ale z dobrego materiału o porządnym splocie. A w niej... abstrakcja organicznej natury.

Silver przeanalizowała potem próbki i ogłosiła, że pasażer łodzi był na tyle człowiekiem, że mógł Kin mówić per „ciociu”. Kin nie była tym zaskoczona - prawdę mówiąc, byłaby zaskoczona innym wynikiem analizy, sama nie wiedziała dlaczego. Zimno jej się tylko robiło na myśl, że wypłynął on poza krawędź własnego świata...

Wszyscy wiedzieli, że świat ten jest płaski. Że zawsze był płaski. A mimo to zawsze musiał się znaleźć ktoś, kto wyśmiewał stare prawdy, bo wiedział lepiej i był na tyle głupi, że próbował to udowodnić. Piramidalnie się mylił.

Z ponurych rozmyślań Kin wyrwał spór, jaki wybuchł, o kombinezony próżniowe. Skafandrow było pięć, z czego dwa wielkości Silver, a jeden z pozostałych był niesprawny, przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

- Musimy wziąć garkotłuka - uparła się Silver. - Wy może znajdziecie coś jadalnego, mnie to otruje na pewno.

- To lepiej ją zaprogramować, żeby przygotowała worek suchych racji - zaproponował Marco. - Wygodnie nosić, a kombinezon się przyda.

- Worek koncentratów nie potrafi analizować jedzenia i produkować odzieży. Jeśli nie będziemy mieli wyjścia, to urządzenie zapewni nam minimum niezbędne do przeżycia - sprzeciwiła się Silver.

- Wydaje mi się, że ona ma rację - dodała Kin.

- To nam zablokuje i zużyje zapas energii całego kombinezonu!

- No to co? Lepszy nie strzelający karabin laserowy?! - parsknęła Silver.

Przez chwilę spoglądali na siebie z Markiem wymownie, a raczej wściekle, toteż Kin czym prędzej dodała:

- Bierzemy garkotłuka, dla Silver głód to poważna sprawa.

Marco wzruszył ramionami i zabrał z szafki narzędzia.

Udało im się upchać urządzenie w największy kombinezon i poutykać wokół termokoce, a potem Marco zajął się fotelem pilota. Po rozebraniu go i wybebeszeniu stał się szczęśliwym posiadaczem pasa metalu o tnącym brzegu i plastikowej rękojeści, czyli - miecza domowej produkcji. Kin, obserwując go z gotowym rękodziełem, zastanawiała się, czy jest to efekt ludzkiego ducha walki, czy głupiej brawury kunga.

Marco zauważył jej wzrok i wyjaśnił:

- To nie po to, żeby inni mnie się bali, tylko żebym ja się przestał bać. Jesteśmy gotowi?

- Tak.

Marco zaprogramował autopilota na dziesięciominutowy postój o kilkaset mil od wodospadu, wszyscy naciągnęli kombinezony i ruszyli w przestrzeń. Zapasowy kombinezon Silver ciągnęła na monomolekularnej Linie. Kin obejrzała się, gdy statek odleciał, po czym zwróciła się ponownie ku powierzchni i olbrzymiej ścianie wody. Z morza w pobliżu krawędzi wystawało kilka niewielkich wysepek oświetlonych promieniami zachodzącego słońca, ale nigdzie nie było widać światła małego choćby miasta...

Nikt nie widział, jak ze statku tuż przed odlotem wypadł piąty, jak najbardziej sprawny kombinezon i nadał się natychmiast niczym balon.

Siedzący w hełmie kruk przyjrzał się uważnie kontrolkom - kombinezony sterowane były językiem i podbródkiem, a pomyślane tak, by mogły przemierzyć cały system słoneczny i wylądować na planecie. Kruk po namyśle dziobnął ostrożnie w jeden z guzików. Skafander ruszył do przodu. Kruk poobserwował go chwilę uważnie i spróbował innego guzika...

Świt był wilgotny i niemrawy - pomimo termokoca Kin obudziła się mokra.

Noc była długa, a wysepka, na której się znajdowali, była w pobliżu krawędzi i nie wystarczyłaby do utrzymania jednego nie pływającego drapieżnika. Marco całkiem słusznie zauważył, że na dysku może być mnóstwo pływających drapieżników, więc trzymał wartę. Kung w razie potrzeby mógł nie spać kilka tygodni.

Kin po długiej walce wewnętrznej zdecydowała nie wspominać mu o stunnerze ukrytym w kieszeni skafandra. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka niespodzianka może się przydać...

Marco przysnął, gdy weszło już słońce, i leżał pod kapiącym krzewem niczym pozbawione szkieletu i bezładnie rzucone na kupę ciało. Poprzez rzednącą mgłę Kin dostrzegła Silver siedzącą na samotnym skalnym szczycie po stronie wodospadu i z braku lepszego zajęcia wdrapała się tam, i siadła obok na wygrzonym przez słońce kamieniu.

Widok był zaskakujący - skała wznosiła się pośród lasu podejrzanie przypominającego jesionowo-klonowy. Za nim słońce odbijało się w srebrzystozielonym morzu, dalej była krawędź nieco przykryta mgłą, ale spienione wody widać było wyraźnie. A dalej...

Silver zdołała złapać ją w ostatnim momencie.

Gdy Kin odzyskała równowagę, ostrożnie odsunęła się od skraju, by nie siedzieć nad samą przepaścią.

- Jak ty tu możesz spokojnie siedzieć? - spytała z niedowierzaniem.

- A czego mam się bać? Na statku, kiedy od wieczności dzielił cię ledwie metr kadłuba, też byłaś spokojna.

- To co innego. Tu za plecami nic nie ma. Silver niespodziewanie zaczęła węszyć.

- Łód - oznajmiła. - Czuję łód. Mogę ci coś powiedzieć o promieniach słonecznych?

Kin odruchowo spojrzała na słońce, mrużąc oczy-wyglądało właściwie i świeciło właściwie, choć pamięć podpowiadała jej, że jest wielkości asteroidy.

- Proszę uprzejmie. Zobaczymy, czego nie wiem.

- Zauważyłam pole lodowe przy krawędzi i to mnie zastanowiło. W pobliżu są bowiem wyspy pełne roślin. Przy niewielkiej odległości między równikiem a obrzeżami dysku te ostatnie na północy i południu powinny być zamrożone, a rejon równika spalony na popiół. Dlaczego tak się nie stało?

Kin potarła w zamyśleniu podbródek - Silver mówiła o jednym z podstawowych i uniwersalnych praw matematycznych, według którego jeśli słońce jest oddalone osiem tysięcy mil od równika w południe, to znajduje się także o jedenaście tysięcy mil od miejsc, które z braku lepszego określenia można nazwać biegunami. Co prawda nie można twierdzić, że słońce porusza się po orbicie - poruszało się niczym zdalnie sterowany pojazd, ale to akurat w niczym nie zmieniało anomalii temperaturowej. Jeśliby zastosować odpowiedniki ziemskich stref, to bieguny były oddalone od słońca jak Wotan, równik zaś znajdował się tam gdzie Wenus.

- Soczewkowate pole siłowe? - powiedziała niepewnie. - Mogę uwierzyć prawie we wszystko... przecież słońce regularnie musi mieć zmienianą trasę przelotu.

- Dlaczego?

- Żeby były pory roku.

- A... pory. Tak, ludzie wymagają pór roku.

- Silver...

- Taak... to dobre powietrze. - Silver znowu zaczęła węszyć.

- Przestań kręcić. Jesteś przekonana, że to my zbudowaliśmy to wszystko.

- Prawda. Dyskutowaliśmy o tym z kungiem i doszliśmy do tego właśnie wniosku.

- To może sobie coś wyjaśnimy, dobrze?! Ludzie może są szaleni, ale nie głupi, a ten dysk jako przykład planety jest równie sensowny co gumowy klucz. Żeby funkcjonować, potrzebuje ciągle dużych ilości energii. A poza tym nikt mający szczyptę zdrowego rozsądku nie powierzałby przyszłości mieszkańców sztuczemu słończku i fałszywym gwiazdom. Dlaczego nie umieścili dysku na orbicie normalnej gwiazdy? Możliwości mieli, a zamiast tego zbudowali takie kalectwo w samym środku galaktycznej pustki. Ten świat odpowiada wyobrażeniom ograniczonego średniowiecznego mnicha. To nie ludzie.

- Ten na łodzi był człowiekiem.

Kin myślała o tym długo i intensywnie i coś przyszło jej do głowy w czasie snu, ale i tak zawahała się przed odpowiedzią.

- Nie wiem... mogli porwać grupę ludzi w epoce prehistorycznej. Albo gdzieś zdarzyła się równoległa ewolucja...

Zła była na własną ignorancję, a jeszcze bardziej na Silver za dyplomatyczne przemilczenie dziur w jej argumentacji. Gdyby teraz ktoś zaproponował jej powrót na Ziemię, oplułaby go. Teraz miała zbyt wiele pytań bez odpowiedzi i to było najważniejsze.

- Jalo mówił coś o teleportacji - postanowiła zmienić temat. - Ciekawe, czy w ten właśnie sposób

dostarczają wodę z powrotem do oceanu.

Marco wdrapał się do nich, trzęsąc się z entuzjazmu -był to zupełnie inny Marco niż cyniczny i humorzasty pilot statku kosmicznego.

- Musimy zacząć planować - oznajmił.

- Ty już zaplanowałeś - poprawiła go Kin.

- Najważniejsze jest skontaktowanie się z władcami dysku. - Marco zignorował jej sarkazm albo też go nie zauważył.

- Zmieniłeś zdanie? - Głos Silver dobiegł gdzieś z góry: okazało się, że stoi wyprostowana i zawzięcie węży.

- Podsumowałem fakty, choć nie było to przyjemne. Statku nie damy rady naprawić. Oni muszą mieć takie możliwości albo dysponować statkiem, który będziemy mogli wynająć. Jalo jakoś wrócił, nie? Chyba że chcecie tu dożyć swoich dni?

- Wątpię, żeby mieszkańcy dysku mogli nam pomóc - sprzeciwiła się Silver. - Nie wykryliśmy żadnych źródeł energii ani linii przesyłowych. Nikt nam nie przeszkadzał w lądowaniu. To wspiera moją teorię, że cofnęli się do barbarzyństwa.

- Wspiera? - spytała Kin.

- Zbliża się statek - oznajmiła zamiast odpowiedzi Silver. - Po kształcie sądząc, podejrzewałabym wycieczkowy jacht przedstawicieli zaawansowanej cywilizacji.

Oboje pobiegli na szczyt. Marco dzięki serii skoków znalazł się tam pierwszy.

- Gdzie on?

Kin ledwie mogła dostrzec punkcik na oceanie.

- Statek wiosłowy, po dwanaście wiosł na burcie. -Silver lekko zmrużyła oczy. - Ma maszt, ale żagiel jest zwinięty. I śmierdzi. Załoga, ma się rozumieć. Jeśli utrzyma dotychczasowy kurs, minie nas o milę na północ.

- I spadnie? - upewniła się Kin.

- Musieli znaleźć sposób na wodospad. - Marco był pewien swoich słów. - Prąd nie wydaje się zbyt silny...

Kin przypomniała sobie pozostałości po samotnym żeglarzu...

- Wiedzą, że płyną ku wodospadowi, ale nie mają pojęcia, co to jest w rzeczywistości - powiedziała cicho. Silver skinęła potakująco i dodała:

- Śmierdzą, bo się boją. Zmieniają kurs na tę wyspę... na dziobie stoi jeden i patrzy na wodospad. Informacja poderwała Marca na nogi.

- Musimy się przygotować - syknął. - Za mną! - Pognał w dół przy wtórze osypujących się kamyków.

Kin spojrzała wpraw na stojącą niczym pomnik Silver, potem na łódź. Teraz mogła dostrzec załogę wiosłującą jak szaleńcy. Wydawało jej się nawet, że słyszy okrzyki.

- Nie sądzę, żeby im się udało...

- Bo się nie uda - potwierdziła Silver. - Zobacz, jak prąd ich obraca.

- To może być test. Dla nas, nie dla nich... wiesz, dopiero co się zjawiliśmy i...

- Mój nos mówi, że nie - przerwała jej Silver.

Kin się zamyśliła - dyskusja z trzystu pięćdziesięcioma milionami komórek zapachowych nie miała sensu. Wnętrze łodzi widziała już całkiem wyraźnie - niewysoki, brodaty mężczyzna biegał między wiosłarzami, zachęcając ich do większego wysiłku. Jedynym efektem było to, że łódź stała w miejscu.

- Ahem - zasugerowała Silver.

- Jak długa jest ta Lina, na której holowałaś zapasowy kombinezon?

- Standardowa tysiąc pięćset metrów - odparła Silver i dodała: - Można na niej uwiązać planetę.

- Naturalnie istnieje możliwość, że popełniamy właśnie duży błąd - dodała Kin, ruszając w dół stoku ku zagajnikowi.

Silver podążyła jej śladem.

- Brzuch mówi, że nie popełniamy - powiedziała po chwili.

Kin uśmiechnęła się mimo woli - shandy miały całkiem inną lokalizację źródła emocji.

Kin, w samym pasie antygrawitacyjnym zdjętym ze skafandra, poleciała, by ciągnąć Linę za pętlę sporządzoną z innego niż reszta materiału.

- Uważam to za nadzwyczaj głupie - przypomniał jej głos Marca w słuchawce.

- Może - zgodziła się. - Ale pamiętaj, że to ja widziałam resztki rozbitej łodzi.

Przez chwilę w jednym uchu słyszała wiatr, w drugim szum fali nośnej. W końcu Marco polecił:

- Skieruj kamerę na łódź!

Wiosłarze dostrzegli ją - w efekcie większość przestała wiosłować i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w nią, trzymając się kurczowo wiosła.

Łódź miała około dwudziestu pięciu metrów długości i wrzecionowaty kształt. Silver przesadziła - jej budowniczy całkiem nieźle znał się na hydrodynamicie. Zaopatrzona była w maszt umieszczony na śródkręciu, ale żagiel był zwinięty. Przestrzeń między wiosłarzami wypełniały rozmaite pakunki i dzbany.

Kin wycelowała w rudobrodego na dziobie, obniżyła lot i wyhamowała na wysokości jego zaskoczonych twarzy. Zarzuciła pętlę na dziób i wrzasnęła na Silver. Lina wyskoczyła z wody, wyprężyła się jak struna.

- Zmuś ich do wiosłowania! - poleciła rudemu, machając desperacko rękoma. - Wyspa!

Rudy popatrzył na nią, na jej wyciągniętą dłoń wskazującą wyspę, na Linę i skoczył między wiosłarzy, rycząc jak opętany. Jeden z nich podniósł się i zaczął coś mówić, na co rudy złapał jakiś leżący na pokładzie drąg, dzielił go przez łeb i zaciągnął do wiosła.

Kin poderwała się w górę, oceniła sytuację: łódź już zostawiała ślad, niczym motorówka. Zadowolona obniżyła lot i skierowała się ku wyspie. A potem dalej, szukając Silver. Znalazła ją szybko, jako że nic oprócz shanda w skafandrze nie unosiło się w powietrzu. Skafander mógł unieść noszącego przy dziesięciu G, a Silver ważyła spokojnie pięćset funtów. Łącznie dawało to niezłą siłę ciągu, nakierowaną tym razem jedynie na przyciągnięcie łodzi do wyspy.

- Lina dziwnie zaczęła szarpać - poinformowała ją Silver.

Kin spojrzała w dół - przez zagajnik biegła przecinka, najwyraźniej drzewo było zbyt słabe jako kotwica. Teraz Lina zaczepiona była o skałę, która była znacznie wytrzymalsza na przecinanie.

- Wszystko w porządku - zapewniła Silver. - Przecieliśmy po prostu kilka drzew... Już niedaleko... Tak... Stop!... Stop!

Łódź wjechała na plażę i zatrzymała się między drze-

wami przy wtórze pękających drzew. Część wioślarzy wypadła na piasek.

- Wyciągnęliśmy ją na plażę - rzuciła Kin do mikrofonu i skierowała się ku łodzi.

- Jeśli mają resztki wyobraźni, powinni całować ziemię - skomentowała Silver.

- Mam nadzieję, że Marco ma na tyle wyobraźni, żeby się nie pokazywać - mruknęła w odpowiedzi Kin.

- Słyszałem! - chrupnęło w głośniczku. - I chciałbym zdecydowanie odciąć się od tego całego przedsięwzięcia.

Kin obniżyła lot. Przypomniała sobie coś, co kiedyś usłyszała: niezależnie od bełkotu rozmaitych naukowców, nikt nigdy nie nauczył się języka innej cywilizacji, podsłuchując j ej łączność.

Zawsze kończyło się na osobistym kontakcie, na wskazywaniu paluchem i rysowaniu kółek na piasku...

Kółek na piasku?...

Jakich kółek na jakim piasku?!

No dobrze: na wskazywaniu paluchem...

Znacznie później odszukała Silver i Marca siedzących na polanie w lesku. Silver siedziała w pobliżu garkotłuka i pałaszowała jakąś szaroczerwoną breję z plastikowej miski. Marco leżał na brzuchu i przez liście obserwował obozowisko na plaży - płonęło tam ognisko, na którym żeglarze coś pitrasili. Silver przerwała posiłek i wystukała coś na klawiaturze garkotłuka.

- Już jadłam - poinformowała ją Kin. - Coś złożone z ziarna i suszonej ryby. Nie widzieliście?

- Dlatego właśnie zaprogramowałam emetyk dla ciebie.

- Zjadłaś to bez podstawowej choćby analizy! - dodał potępiająco Marco. - Życie ci obrzydło?!

- Musimy zyskać ich zaufanie. - Kin rzuciła Silver kawałek ryby. - Wypiję tę cholemną miksturę, a ty zrób analizę tego suszu. Jedzenie produkowane przez te urządzenia zawsze smakuje jak przeżute, więc jeśli tutejsze nie okaże się trujące, wolę tubylczą kuchnię.

Wypiła różowy płyn podany przez Silver i udała się na drugą stronę polany, gdzie w ciszy i spokoju odczekała, aż specyfik zacznie działać. A gdy zadziałał, wymiotowała krótko acz treściwie.

Silver zaprogramowała spokojnie kubek kawy i poczekała na wynik analizy.

Garkotłuk po kilkunastu sekundach wystawił jezior zielonego plastyku. Silver oddała go i starannie przeczytała.

- Wysoka zawartość przyswajalnych protein i witamin oraz niewielki procent węglowodorów

pochodzących z procesu suszenia, w dużych ilościach rakotwórczych. Nietrujące - zawyrokowała po chwili.

- Wspaniale - mruknęła Kin, łapiąc kubek. - To po co rzygałam. Chyba na dłużej przeszła mi ochota na ryby... prawdę mówiąc, nie mogę nawet na nie patrzeć... No nic. Jesteście ciekawi, czego się dowiedziałam? Z tego, co zrozumiałam, ten niewysoki rudzielec nazywa się Leiv Eiriksson.

Silver zgrabnie wrzuciła plastikowy jęzor w otwór załadunkowy garkotłuka.

- Albo jest to zadziwiający zbieg okoliczności, albo coś innego - oznajmiła rzeczowo.

- Co niby jest zdumiewające? - Marco zaprzestał obserwacji. - Zbadałaś ich broń?

- Mają miecze, noże i topory z żelaza niskiej jakości, ręcznie obrabianego - wyjaśniła Kin. - Ostrza szybko się tępią. Ale największą ich bronią jest ich statek. Mówi ci coś określenie „poszycie klinkierowe”? Marco przytaknął bez słowa.

- To dobrze, bo mnie nic nie mówi. Statki są szybkie, zwrotne i wytrzymałe. Używając statków i z pomocą mieczy, rządzą większą częścią mórz i znaczną częścią lądów. Czasami zajmują się piractwem, ale posiadają rozwinięty system prawny. I są szaleńczo odważni. Tysiącmiłowy rejs jest czymś zupełnie zwyczajnym.

- Dowiedziałas się tego wszystkiego, nie znając ich języka? - spytał z niedowierzaniem Marco.

- Dowiedziałam się tylko jego nazwiska, i to tylko dlatego, że już je wcześniej słyszałam. Resztę sobie przypomniałam. - Kin spojrzała na Silver, która przytaknęła.

- „W roku trzysta dwudziestym i drugim” - zaintonowała Silver nagle. - „Eiriksson wypłynął na ocean długi”.

- Strasznie poetyckie - prychnął Marco. - Tłumacza proszę!

- Wychowałeś się w Meksyku, więc nie możesz o tym wiedzieć, bo oni strasznie snobistycznie podchodzą do historii - wyjaśniła Kin. - Leiv Eiriksson około trzysta lat po bitwie o Haelcor odkrył Vinlandię. Bitwa o Haelcor była końcem trzeciego i ostatniego Imperium Remeńskiego, a jego koniec oznaczał wielkie migracje. Tym bardziej, że Turcy zaczęli znów przeć na zachód i północ. Ojciec Leiva, Eirick, był sprytny, a ponieważ odkryta przez niego Grenlandia wcale nie okazała się tak zielona, jak się spodziewał, pokładał nadzieję w synu, który z pierwszej podróży przywiózł duże ilości dziwnych owoców i zbóż. Metodą zabiego skoku pozakładali kolonie wzdłuż wschodniego wybrzeża Morza Tykera i dalej Długim Fiordem do Mózr Środkowych. Krajobraz tam był niczym z ich snów, toteż nazwali te wyspy Valhalla. Ponieważ rolnictwo było ich wtórnym zajęciem, przede wszystkim byli wojownikami, napotkani tubylcy nie mieli szans. Kogo nie zdołali przechytryć, tego pobili; tak to trwało, dopóki nie natknęli się na Konfederację Objibwa, z którą się dogadali i podpisali traktaty. Teraz już wspólnie migrowali i łączyli się z autochtonami. Teoretycznie to właśnie powinno spowodować ich koniec, gdyż żadna z grup nie miała wymaganej przez podręczniki dynamiki społecznej, dzięki której ponoć powstało Imperium Remeńskie. Przybysze powinni stać się kolejnym tubylczym plemieniem, tyle że o jasnych włosach i błękitnych oczach. Teorie okazały się błędne: coś w obu rasach zaiskrzyło, a do dyspozycji mieli duży i bogaty kontynent i mnóstwo czasu. Krótko rzecz ujmując, w trzysta lat po Leivie koło Gibraltaru pojawiła się potężna flota. Większość okrętów stanowiły żaglowce, ale było też kilka niedużych, szybkich, które mogły płynąć pod wiatr. Żagle zdobił Wielki Orzeł Valhalli na pasiastym tle w barwach nieba, śniegu i krwi. Bitwa była krótka, bo tylko jedna strona

dysponowała działami, i zakończyła dwustuletni okres stagnacji, w jakiej pogrążona była Europa.

- Zrozumiałem! - ucieszył się Marco. - Ten rudy kurdupeł był ważną figurą w historii Ziemi. Tylko to nie jest Ziemia...

- Ale wygląda jak Ziemia. Co prawda tylko jak wymyślona Ziemia, ale zawsze - przypomniała Kin.

- Poważnie sugerujesz...

- Powiem ci, co sugeruję: że oboje macie jednak rację i ten świat zbudowali ludzie, choć pojęcia nie mam dlaczego.

- Musiałyby istnieć zapisy... - zaczęła Silver.

- Nie w wypadku gdyby Kompanii zależało na ich zniknięciu!

To było jedyne sensowne wyjaśnienie: Kompania zbudowała ten artefakt w tajemnicy, a Jalo był agentem, który miał ich tu sprowadzić. Powodów, dla których zbudowano dysk, Kin się domyślała, choć jej się nie podobały, ale dlaczego ich tu ściągnięto, i to w tak kłopotliwy sposób, pozostawało wciąż zagadką. Wyjaśnienie było logiczne, czego nie da się powiedzieć o żadnym innym, poczynając od tajemniczych obcych. Musieliby być naprawdę tajemniczy...

- Zawszą coś nam grozi - ocenił Marco entuzjastycznie. - Musimy cały czas nosić pasy i proponuję, żebyśmy jak najszybciej przemieszczali się ku centrum tutejszej cywilizacji. Tylko tam możemy znaleźć jakieś informacje o pochodzeniu dysku.

- W takim razie transport czeka na plaży - dodała Kin. - Nie wiem, na jak długo starczy energii w skafandrach, a te jednostki są doskonałe do morskich podróży.

- Jeszcze mogą okazać się wrogo nastawieni - ostrzegł Marco.

- Jak obejrzą ciebie i Silver? - zdziwiła się Kin.

Prawda była taka, że zaprezentowanie obcych nastroczało pewien problem. Kin rozwiązała go, udając się do obozu nago. Po wcześniejszym występie w roli bogini łaskawości była pewna, że żeglarze prędzej zgwałciliby aligatora.

Zgodnie z oczekiwaniami Leiv podbiegł do niej i łupnął na kolana. Był niższy niż pozostali, ale błysk w jego oczach mówił wyraźnie, dlaczego wszyscy go słuchali - widocznie pierwszy w okolicy wpadł na to, że celne walenie po nerkach i kopanie poniżej pasa jest najskuteczniejsze w umacnianiu autorytetu przywódcy. Poczuła wdzięczność do samej siebie za zabranie stunnera, który dzierżyła w prawej dłoni.

- Zaraz będziesz miał niecodzienną okazję do poznania nowych przyjaciół - powiedziała słodko. - W tę sagę nikt ci nie uwierzy... Silver, wychodź!

Silver pojawiła się w uczciwej odległości, powoli przedzierając się przez zarośla. A i tak kilku dotąd spokojnie siedzących wstało i zaczęło oddalać się w przeciwnym kierunku. Gdy się zbliżyła i pozostali dostrzegli jej kły, część z nich ruszyła śladem towarzyszy, tyle że znacznie energiczniej. Tłumiąc śmiech, Kin podeszła do niej i uściśnęła jej ogromną łapę.

- Przestań się uśmiechać! - warknęła cicho przez zaciśnięte zęby.

- Myślałam, że to ich uspokoi.

- Na tobie to nie wygląda uspokajająco, tylko głodnie.

Leiva wmurowało w piasek, toteż podprowadziła Silver do niego i ujęła go za rękę.

- Klęknij i płaszc się - mruknęła.

Silver wykonała polecenie, co ożywiło nieco Leiva. Po chwili wytężonego kojarzenia ośmielił się na tyle, że szturchnął ją leciutko w ramię.

- Dobry chłopiec! - Kin uśmiechnęła się szeroko. Odskoczył.

Nim zdążył zwiać, Kin przystąpiła do drugiej fazy spotkania zapoznawczego - zaczęła gwizdać Mrs.Widgery's Lodger. Silver zaczęła tańczyć, skacząc niezgrabnie po piasku z miną wskazującą na zaawansowane obrzydzenie do samej siebie. Ale trzymała rytm, a Kin, która wcześniej widziała ją poruszającą się płynnie niczym olej, wiedziała, że udawanie kosztuje ją sporo wysiłku. Była pełna podziwu dla jej niezgrabności. Ale niezgrabne jest śmieszne. A śmieszne nie jest groźne.

Żeglarze, dotąd oddalający się ruchem jednostajnie przyspieszonym, zaczęli wracać. Kin przestała gwizdać, a Silver sapnęła z ulgą i przestała wzniecać fontanny piasku.

- Zdałaś - pochwaliła ją Kin. - Mało brakuje, żeby zaczęli cię karmić kostkami cukru w nagrodę. Odpocznij, tylko proszę cię, nie ziewaj! Marco!

Zapytany syknął potwierdzająco i wyszedł z krzaków.

W szarym kombinezonie i pelerynie z przerobionego termokoca wyglądał prawie jak człowiek. Prawda, zagłodzony i brzydki jak nieszczęście, o zbyt wielkich oczach, zbyt długim nosie i karnacji barwy stroju, ale człowiek. I do tego rudy. O tym, że nie były to prawdziwe włosy, żeglarze nie wiedzieli, ale skutecznie rekompensowały oczy i nos.

Obserwowali go z obawą, jednak żaden nie uciekł.

Jeden nawet podszedł do Leiva i warknął coś, wyciągając krótki miecz. Doprowadziło to do chwilowego zamieszania, które skończyło się tym, że mężczyzna leżał na piasku, a jego miecz dwadzieścia kroków dalej. Leiv przestał mu wykręcać rękę i kopnął między nogi. Leżący zawył, a Marco uniósł się z bojowego przykuca.

- Najwyższy czas zwodować łódź - zdecydowała Kin.

Silver podeszła do białej w plażę jednostki i naparła ramieniem na dziób. Przez chwilę nic się nie działo, a potem łódź zjechała po plaży prosto do wody. Kin ujęła Leiva za ramię i poprowadziła go w jej kierunku. Uczył się szybko: po trzech krokach zrozumiał, o co chodzi.

Po chwili wszyscy byli na pokładzie, garkotłuk mruczał cicho do siebie w pobliżu masztu, a wszyscy jak urzeczeni wpatrywali się w Silver unoszącą się nad falami na drugim końcu przymocowanej do dziobu Liny.

Zanim wypłynęli z martwej strefy i poczuli prąd, łódź pruć fale niczym śmigacz.

Podróż upamiętniły dwa wydarzenia.

Pierwsze zaczęło się od tego, że Marco dostał do ręki róg z jakąś słodkawo pachnącą substancją. Powąchał ją podejrzliwie, zmierzył wzrokiem Leiva, który wręczył mu naczynie, i wlał część zawartości do analizatora w garkotłuku.

- Hmm... jakaś odmiana płynnej glukozy... co o tym sądzisz, Kin?

- A co sądzi garkotłuk?

- Że spożywcze. Może to jakiś rodzaj napoju regeneracyjnego?

Wypił połowę, cmoknął, zaśmiał się cicho i wypił resztę.

A potem zaprogramował garkotłuka na produkcję mikstury. Kiedy załoga przestała z nabożnym podziwem traktować jednorazowe kubki plastikowe, zajęła się z entuzjazmem ich opróżnianiem. Robili to z taką samą szybkością, z jaką garkotłuk je napełniał. W krótkim czasie rozległy się spontaniczne śpiewy, a wiosła co rusz się ze sobą zderzały, ponieważ wiosłarze tracili rytm. W końcu Kin, widząc błagalny wzrok Leiva, wyłączyła garkotłuka.

Z niezgrania wiosłarzy skorzystała Silver mająca ochotę spróbować swych sił w tej materii - siadła na środku, złapała wiosło w każdą dłoń i zabrała się do roboty. Reszta wiosłarzy stopniowo zaprzestała wiosłowania, ale nie miało to najmniejszego wpływu na szybkość poruszania się łodzi. Dopóki wiosła nie pękły.

Drugie zaczęło się od odwiedzin Marca u Kin, siedzącej na rufie w skórzanym namiocie i popijającej w zamyśleniu martini.

- Chcę pogadać - zaczął.

- A głowa ci już nie pęka?

- Tylko łupie. Ten napój musiał mieć jakieś zanieczyszczenia... Lepiej będzie, jak go nie ruszę... przez godzinę, albo coś koło tego. Chodzi zresztą nie o to, tylko o to - wyjął z torby przy pasie zwinięty arkusz plastiku i rozpostarł go: było to zdjęcie powierzchni dysku. - Kazałem to komputerowi zdrukować, zanim opuściliśmy statek.

- Dlaczego wcześniej mi go nie pokazałeś?

- Bo nie chciałem cię zachęcać do zwariowanych wypraw badawczych. Teraz i tak już jest za późno więc... Przyjrzyj się i powiedz mi, czego brak?

- Całej masy rzeczy i sam dobrze o tym wiesz. Nie ma Valhalli, dlatego Leiv znalazł wodospad. Nie ma Brazylii, Ocean Pokojowy jest mały i okrągły...

- A teraz sprawdź, czy czegoś nie przybyło. Kin sprawdziła.

- Nie wiem, chyba nie...

Dwustawowy kciuk kunga wskazał coś w centrum zdjęcia.

- Chmury nieco rozmazują kształt, ale tego tu na pewno nie powinno być. Nie dość, że na Morzu Karaibskim nie ma dużych wysp, to na pewno nie ma idealnie okrągłych wysp. W dodatku znajdujących się w geograficznym środku całego świata.

- I co z tego?

- Jak to co?! To anomalia: jeśli gdzieś możemy znaleźć cywilizację techniczną, to tylko tam. Ci tu to barbarzyńcy, inteligentni, ale gdzie im do lotów kosmicznych?! - Przyjrzał się uważnie Kin i dodał: - Obawiasz się, że to artefakt Kompanii? Przytaknęła bez słowa.

- Jest taka stara kungijska opowieść - powiedział niespodziewanie Marco głosem przypominającym prądy w lotnych piaskach. - O pewnym lordzie, który kazał wybudować wysoką wieżę. Gdy była gotowa, zwołał mądrych kungów i oznajmił, że da farmę ostrygową i słynne pola kelpu na Tchppch temu, kto określi jej wysokość, używając wyłącznie barometru. Ci, którym się to nie uda, zostaną zesłani na suche tereny, jak nakazuje obyczaj postępowania z przemądrzałymi. Mądrzy próbowali, ale udało im się określić

wysokość jedynie z dokładnością do paru chetolów. Uznano to za niewystarczające i zesłano ich na suchości...

- Lubię ludowe mądrości, ale nie sądzisz, że...

- Aż tu pewnego dnia - zagłuszył ją Marco - zjawił się u lorda najmądrzejszy kung, który nie przyjął wyzwania. W tym czasie zaś odwiedził z barometrem budowniczego wieży i w zamian za barometr, który był naprawdę ładny, uzyskał od niego informację o dokładnej wysokości wieży...

Wokół pociemniało, a chwilę później w otworze namiotu pojawiła się głowa Silver.

- Fszeplaszam, sze pszeszkacam, ale mosze to fas zaintelesuje...

Wyszli na pokład, gdzie zastali niecodzienny widok -nikt nie wiosłował, za to wszyscy wpatrywali się w niebo. Zrobili więc to samo.

W górze widać było trzy punkciki poruszające się zupełnie jak odrzutowce.

- Smugi kondensacyjne - odezwał się Marco. - Najwyraźniej Oni zaczęli nas szukać. Nie będziemy musieli się trudzić i robić im prezentów...

- Co widzisz, Silver? - spytała Kin.

- Wyglądają jak latające jaszczury. Napęd zda się tajemniczy, ale wkrótce powinniśmy wiedzieć więcej, bo szybko tracą wysokość.

Leiv pociągnął Kin za rękę. Na pokładzie załoga metodycznie wyrzucała za burtę wiosła i pakunki i kolejno skakała do wody. Leiv desperacko próbował coś jej powiedzieć, ale dopiero po chwili znalazł właściwe słowo:

- Ogień? - zasugerował i nagłym pchnięciem posłał ją w dół.

Nim wyszła z szoku, zadziałał instynkt samozachowawczy: po kilku desperackich miotnięciach jej mięśnie przejęły kontrolę i wynurzyła się, parskając. Złapała się jakiegoś poręcznego wiosła i spojrzała w niebo. Punkty wykonały szeroki łuk i dał się słyszeć odległy huk towarzyszący przekraczaniu bariery dźwięku. Marco i Silver pozostali na łodzi.

Po chwili trzy jaszczurowate kształty z przypominającymi nietoperze skrzydłami przemknęły nad falami, okrążając łódź w pewnej odległości. Teraz wyraźnie dało się zauważyć ostre pazury i dym smużący się z ich nozdrzy. Odleciały na północ, nabrały wysokości i zawróciły. Gdyby to były samoloty, Kin byłaby pewna, że przygotowują się do nalotu bombowego.

Gdy pierwszy smok zaczął nurkować w stronę łodzi, Leiv położył jej dłoń na głowie i zdecydowanym ruchem wepchnął ją pod powierzchnię.

Kin wynurzyła się wściekła, ale zarejestrowała, że woda jest cieplejsza, a z łodzi unosi się dym.

Tuż obok łodzi pojawił się wodny pagórek i wyprysnął z niego Marco, klnąc i łapiąc powietrze równocześnie. Silniejszy plusk w pobliżu oznaczał powrót z głębin Silver.

- Co się stało? - sapnęła Kin.

- Unosił się nad pokładem i ział ogniem - odparła Silver.

- A żadna pieprzona jaszczurka nie będzie się tak wobec mnie zachowywać! - wrzasnął Marco i popłynął ku osmolonemu kadłubowi.

Wdrapał się na pokład, gdy drugi smok obniżył lot.

Silver z cichym pluskiem skierowała się ku zielonym głębinom.

Pływający wokół Kin jęknęli zgodnym chórem - pierwszy raz zobaczyli kunga bez ubrania. Wszystkimi górnymi kończynami złapał za wiosło, co powstrzymało atak- smok znieruchomiał nad wodą poza zasięgiem tej zaimprovizowanej broni i nabrał powietrza. Nie zdążył już zrobić wydechu, bo z wody wystrzeliło nagle coś dużego i złapało go za tylne łapy. Przez sekundę smok i Silver tak wisieli, po czym smocze skrzydła złożyły się z trzaskiem i oba stworzenia runęły do morza, czemu towarzyszył dziwny syk.

Trzeci smok musiał być najbardziej rozgarnięty, co zresztą potwierdzałoby regułę - najinteligentniejsi walczą na samym końcu. Co prawda za późno już było, by zrezygnować z nurkowania, ale zdołał z niego wyjść na wysokości masztu, hamując rozpostartymi skrzydłami niczym spadochronami. Marco wrzasnął i gdy smok przelatywał nad jego głową, skoczył, a ponieważ wcześniej zdążył włożyć pas, bez większego trudu zdołał go teraz dosiąść. Smok skręcił, próbując odzyskać równowagę, wrzasnął i rzucił się wyżej.

Po drugiej stronie łodzi coś się nagle zakotłowało, na powierzchni pojawiło się smocze skrzydło, a kadłub statku przechylił się gwałtownie, gdy wdrapywała się nań Silver. Pływający koło Kin powitali ten widok okrzykami i popłynęli do dymiącej jeszcze lekko łodzi.

Wysoko w górze pierwszy z atakujących i ostatni ocalały z trójki ryknął donośnie i pospiesznie odleciał na wschód, dzięki czemu Kin dostrzegła jego system napędowy. Skrzydła bowiem nie nadawały się do szybkiego lotu z uwagi na niezgrabność i palność. Do szybkiego lotu smok związał je na grzbiecie, wyciągał łeb pod brzuchem i wydychał gwałtownie strugę żółtego płomienia.

Z góry coś spadło.

Był to smoczy łeb.

W ślad za nim powoli spłynęła na rozpostartych skrzydłach reszta, szybując po spirali. Na grzbiecie wciąż siedział Marco, zawzięcie dźgając nożem. Gdy martwy smok z lekkim pluskiem osiadł na falach, rozległy się wiwaty. Szybko jednak zmieniły się w pełne złości pomruki, gdyż Silver uparła się wciągnąć na pokład swojego, jeszcze żywego smoka. Załoga pospiesznie odsunęła się pod przeciwległą burtę, dając Kin otwarte pole do obserwacji.

Smok niemrawo poruszał skrzydłami, ociekając wodą, aż w pewnym momencie uniósł łeb i kichnął. Dwa strumienie ciepłej wody trafiły Kin w nogi.

Marco z pomocą swych czterech ramion dostał się na pokład i uniósł zakrwawiony nóż, czemu cała załoga przyglądała się z nabożnym prawie podziwem. Krew miała czarną barwę, grzebień kunga krwawoczerwoną. Marco zawył:

- Refteg! Vma! refteg Pelc!

Silver odkręciła kły i skrzywiła się wymownie:

- Przypomnij mi co jakiś czas, że on jest oficjalnie człowiekiem - zaproponowała. - Bo co rusz zapominam.

- Przypomnę. A co zamierzasz zrobić z tym? Jeden z żeglarzy dobył miecza i podał go Silver ręką do przodu, ale został zignorowany.

- Jest martwy, ale mamy ciało. Bardzo mnie ciekawi, jak istota organiczna może ziać ogniem -

oznajmiła Silver, złapała smoka za szyję i pociągnęła ku rufie.

Do Kin podszedł dumny i napuszony Marco.

- Zatrzymowałem! - krzyknął donośnie.

- Tak, Marco.

- Wypowiedzieli nam wojnę! Wysłali smoki! Tylko mnie nie wzięli pod uwagę!

- Tak, Marco.

- A mimo wszystko pokonałem ich! - Nagle rozejrzał się przytomniej i mina mu zrzedła. - Uważasz mnie za szalonego kunga, prawda?

- Przez grzeczność nie...

- Jestem dumny z tego, że jestem człowiekiem! Pamiętaj o tym. A co do reszty... to, że jest się paranoikiem, nie znaczy, że Oni nie próbują cię dostać.

Kin spoglądała w ślad za nim, gdy podchodził do załogi, bojąc się wszystkiego oprócz fizycznego niebezpieczeństwa. Był tak samo ludzki jak tygrys.

Silver tymczasem obejrzała garkotłuka - maszyna nie była uszkodzona, ale plastikowa obudowa... nigdy już nie będzie sobą.

Gdy wiosłarze wrócili do wiosł, Kin wyjęła ze skafandra zestaw narzędzi i zabrała się do badania smoczego ścierwa. Zestaw był nieduży, ale wszechstronny. Kosmonauci pozostawieni samym sobie na obcych planetach musieli dzięki niemu przeżyć lata. Kilku przeżyło.

Zaczęła od skalpela.

Chwilę później sięgnęła po multidluto.

Po dłuższej chwili zajęła się montażem wibropiły.

Opętańczy wizg, jaki wydawało narzędzie, próbując przeciąć łuski, wywoływał ból zębów, ale zaparła się i go nie wyłączyła.

Dopóki nie pękł brzeszczot.

Wstała, podeszła do wiosłujących na zmianę Silver i Marca i kucnęła między nimi.

- Smoki mają napęd odrzutowy - oznajmiła. - Szyje mają wyłożone jakąś gąbczastą, lekką substancją przypominającą galaretę. Mimo użycia lasera nawet się nie rozgrzała.

- A reszta? - spytał Marco.

- To, co tu trzymam, to była wibropiła. Producent twierdzi, że powinna przeciąć stal kadłubową.

- Ale nic nie mówił o naftopędnych istotach żywych - dodała Silver.

- A co na to geiger?

- Nic, dopóki nie wsadziłam go w szyję. Wtedy mu się skala skończyła. To żywy reaktor atomowy, nie smok. I nie mówcie mi, że powstał w wyniku ewolucji, i to jeszcze na planecie typu Ziemi. To sztuczny twór organicznej budowy i tam, skąd przybył, znajdują się budowniczowie dysku!

- Środek dysku - powiedziała z namysłem Silver, opierając się nonszalancko o wiosło, i na widok głupiej miny Kin dodała: - Mam pewne zdolności lingwistyczne. Rozmawiałam z załogą, przynajmniej z bardziej rolgarniętymi. Czasami widuje się na niebie smoki, w tych rejonach przybywają ze wschodu, ale jeśli łódź płynie na południe, to lecą one z północnego wschodu. Logiczny jest wniosek, że ich siedziba

znajduje się gdzieś w środkowej części planety. Czego się tak gapisz?

- Bo Marco też chce się dostać w tę okolicę. I chce im dać barometr... jak sądzę.

Następnego ranka znaleźli się na nieco wzburzonym morzu, które uspokoiło się dopiero, gdy wpłynęli w spory fiord pośród białych gór. Na końcu fiordu znajdowała się osada złożona z kamiennych, krytych darnią budowli, za którą rozciągały się mizerne łąki. Mieszkańcy, widząc okręt, rzucili się do pomostu, ale odbiegli jeszcze szybciej, gdy z pokładu zeskoczyła Silver i samodzielnie wepchnęła łódź na plażę. Załoga przyglądała się temu, nie ruszając się z miejsca, za to radośnie szczerząc szczerbate zębiska. Na dziobie przywiązany był łeb smoka o szklistych i nieco zezujących ślepiach.

Leiv zaprowadził ich do budowli o wysokim sklepieniu. Kin zastanawiała się, co też się stało z Grendelem. Naturalnie Grendel był obok, machając nadmiarem ramion i łypiąc podejrzliwie na tłum, jak zwykle w poszukiwaniu zamachowców. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku panującego wewnątrz, dostrzegła otwarte palenisko, na którym tlił się ogień, i siedzącego na prostym taborecie starego mężczyznę ze sztywno wysuniętą do przodu nogą. Był rudowłosy i rudobrody.

Na widok Leiva wstał i objęli się tak namiętnie, jakby istniała szansa, że któryś mimo wszystko spróbuje dziabnąć drugiego. W końcu Leiv przemówił.

Była to długa opowieść. Potem wyprowadził starego na zewnątrz, pokazując mu łeb martwego smoka i przedstawiając Silver, Marca i Kin. Stary parę razy obkuśtykał Marca, który spoglądał nań spode łba, a potem uśmiechnął się do Kin w sposób jednoznacznie wyrażający horyzontalne pragnienia.

Ośmieleni tym wrócili inni mieszkańcy osady. Na samym zaś końcu pojawili się dwaj mężczyźni w czarnych sukniach. Jeden z nich przyglądał się Marcowi z obawą i zawzięcie recytował coś półgłosem.

Silver obróciła się błyskawicznie.

I odpowiedziała w tym samym języku.

Od tego momentu tłumaczeniem zajmowała się Silver.

- Ten język to łacina, język Remeńskiego Imperium - wyjaśniła Silver. - Tyle że oni na Reme mówią Roma. Kim zastanowiła się.

- Romulus i Remus - powiedziała w końcu. - Założyciele Reme. Znasz tę legendę?

- Chyba spotkałam ją w jakiejś antologii folkloru.

- Wychodzi na to, że na dysku przywilej nazwania miasta wygrał Remus. Co jeszcze powiedzieli?

- Całą masę bzdur o demonach, jak to zwykle u dzikusów. Słyszałaś kiedyś słowo „troll”? Powtarzają je, patrząc na Marca. I drugą masę plotek o bogach. Jak sądzę.

Kin rozejrzała się ponownie - otaczali ją albo prawdziwi barbarzyńcy, albo doskonali aktorzy, w co nie bardzo mogła uwierzyć. Może bogami zwano tu budowniczych dysku?

- Wypytaj dokładniej o tych bogów - poleciła.

Nastąpiła dłuższa dyskusja z częstym wskazywaniem w niebo, co Leiv i jego ojciec uważnie

obserwowali. W końcu Silver odsapnęła i zwróciła się do Kin:

- Zobaczmy, czy zrozumiałam wszystko właściwie. Bogów jest tu zatrzęsienie, ale najważniejszy nazywa się Christos. Jego najwyższy kapłan mieszka w Rzymie. Jest też jakiś inny bóg, który stworzył ten świat w sześć dni. Spodziewając się twojej reakcji, spytałam o szczegóły. Ten bóg stwórca miał pomocników, pomniejsze skrzydlate bóstwa. W tworzeniu brała też udział postać zwana Saitan, z opisu agitator. Oprócz tego cała masa typowych bogów.

- Sześć dni to za szybko - oceniła Kin. - Kompania potrzebuje sześć lat, mając do dyspozycji prefabrykaty. Szczerze mówiąc, włożyłabym tę historię między mity.

- Ale jest zadziwiająco prosta i spójna - wskazała Silver. - W większości mitologii świat tworzony jest przez jakieś bóstwo z krwi świętego żuka, trzustki ojczyzna tegoż bóstwa czy innego bohatera.

Kin zmarszczyła brwi - na Ziemi kwitło wiele religii i wyeksportowano ich równie wiele co zaimportowano. Praktycznie było tyle samo ludzkich sekt zajmujących się skomplikowanymi rytuałami ehftów, co grup przystrojonych w długie, jaskrawe szaty shandów wędrujących przy wtórze bębenków i chóralnych śpiewów po skutych lodem ulicach rodzimej planety. Pracownicy Kompanii mieli wystarczająco dużo roboty z budowaniem planet albo nie zawracali sobie głowy takimi błyskotkami, albo też decydowali się na coś podstawowego i niekontrowersyjnego jak buddyzm czy wicca.

W swoim czasie z nudów próbowała rozmaitych wyznań - wstawiała, klękała, wspinała się na góry, śpiewała chóralnie, recytowała na golasa, tańczyła, obracała się, modliła, wyrzekała i pościła. Czasami było to wesołe, czasami odrażające, ale zawsze nierealne i introwertyczne.

Ojciec Leiva wygłosił długą przemowę do jednego z kapłanów, który z kolei powtórzył ją Silver. Ta najpierw ryknęła śmiechem, potem przetłumaczyła:

- Chce kupić boski piec z Valhalli.

- Co?!

- Garkotłuka. Mówi, że wie, że w Valhalli wszyscy jedzą i piją bez końca, zawsze to wiedział. Teraz wie, skąd mają jedzenie i picie: z takich właśnie niebiańskich pieców.

- Powiedz mu, że nie jest na sprzedaż - poleciła Kin, wpatrując się w Eiricka.

Eiricka Rauda, zwanego Rudym lub Czerwonym. Na

Ziemi, w samym sercu Valhalli, gdzie zbierały się w Długim Fiordzie wody wszystkich pięciu wewnętrznych mórz, wznosił się mocno zużyty kopiec. Zwano go Brodą Eiricka, gdyż wieść niosła, że jest to miejsce spoczynku bohatera. Była to wielka atrakcja turystyczna. Silver odetchnęła i dodała:

- I chce, żebyśmy poprawili słońce. Widząc minę Kin, kapłan zaczął powoli i wyraźnie mówić po łacinie. Silver symultanicznie tłumaczyła:

- W zimie nastąpiła wiosna, słońce czasami przygasa, a parokrotnie zdarzyło się w nocy, że gwiazdy mrugały. No i... coś się stało z jedną z planet...

Kin bez słowa weszła do budynku, w którym zostawili garkotłuka, zaprogramowała duży kubek piwa słodowego i wróciła z nim. Wetknęła je w dłoń Eiricka i poleciła Silver:

- Powiedz mu, że planeta to nasza sprawa. Powiedz mu, że jak tylko poznamy tajemnice tego świata, postaramy się o nową planetę i wyregulujemy słońce. On coś mówił o mrugających gwiazdach?

- To akurat nie wzbudziło większych sensacji, bo spodziewają się podobnych znaków. Ten Christos urodził się prawie tysiąc lat temu i spodziewają się jego powtórnego przyjścia, a mają temu towarzyszyć właśnie znaki na niebie. Ale jeśli możesz, przyjrzyj się morzu.

Kin odwróciła się: nawet tu fale zawzięcie waliły o brzeg, a od strony otwartego morza słychać było ryk burzy. A niebo było niebiesciutkie, bez jednej chmurki czy podmuchu wiatru...

- Mówiłam, że dysk nie może być trwały - oświadczyła z ponurą satysfakcją. - Chyba właśnie wysiadło centralne sterowanie pogodą. Chociaż Eirick nie wygląda na przestraszonego.

- On mówi, że widział sporo bogów, a słyszał o znacznie większej ich liczbie. Bogowie go nie martwią, pogoda go martwi. Mówi, że jak ją naprawimy, da nam dużo drewna.

- Czego?

- Tego, co w okolicy najrzadsze, a więc najcenniejsze - wyjaśniła Silver. - Widzisz tu gdzieś jakieś drzewa?

Kin przecząco potrząsnęła głową.

Z tego, co pamiętała, ekspansja mieszkańców północy na Ziemi nastąpiła podczas długiego okresu ciepła, podczas którego nawet wybrzeża Grenlandii nadawały się do zamieszkania. A tu w niektóre noce migotały gwiazdy...

Marco i Kin zdecydowali się spędzić noc wewnątrz olbrzymiej hali, Silver zaś na chłodnym powietrzu obok łodzi. Nikt też nie próbował umieścić Kin w pomieszczeniach kobiet - boginie miały widać prawo do fanaberii. Leżała, wpatrując się w dogasające ognisko i słuchając zbyt głośnego przyboju. Kalectwo robiące tu za księżyc w żaden sposób nie mogło powodować pływów, za zmiany poziomu wód morskich musiał być odpowiedzialny jakiś mechanizm. Który właśnie się popsuł i rozregulował.

Żałowała, że nie ma sleepsetu - co prawda rano człowiek miał w ustach orzeźwiający smak małego moczu, ale środek działał błyskawicznie: zasypiało się, nie cierpiąc z powodu ugniatających plecy kamieni, chrapania sąsiadów czy braku baranów do liczenia. I nie dręczyły nikogo koszmary.

W końcu niewygody wygrały - wstała i wyszła na zewnątrz, mijając pospiesznie usuwającego się z drogi wartownika.

Na niebie lśniły lipne gwiazdy, o czym wiedziała, ale wciąż nie mogła się nadziwić temu niby-wszechświatowi. Była na dysku o średnicy około piętnastu tysięcy mil, ważącym gdzieś $5,67 \times 10^{21}$ ton, co oznaczało albo sztuczną grawitację, albo warstwę neutronium na spodzie konstrukcji. Dysk wolno wirował niczym rzucona moneta na zwolnionych obrotach, a wraz z nim wirowało fałszywe słońce, podrabiany księżyc i cała rodzina nieprawdziwych gwiazd. Wiedziała o tym doskonale, ale patrząc z powierzchni dysku, łatwo było uwierzyć, że jest się na Ziemi.

Mechaniczny świat pozbawiony astronomii... albo też mający własną, będącą parodią właściwej, i jawnie kpiący z astronomów... świat, w którym odkrywcy lądowali nieodmiennie w wodospadzie, znajdując jedynie śmierć. Świat, w którym istniały smoki i trolle... Krótko mówiąc miszmasz.

Odszukała planetę w pobliżu tego, co z braku lepszego określenia trzeba było nazwać horyzontem,

po czym zorientowała się, że nie może to być planeta, gdyż porusza się zbyt szybko... A zaraz potem owo coś dorobiło się ognistego śladu i rąbnęło o powierzchnię gdzieś na wschodzie.

Podbiegła do rzędu wyciągniętych na plażę łodzi, w pobliżu których widać było masywny, oszroniony kształt.

- Silver? - spytała i skłęła się w duchu: a niby ile shandów było na dysku?

- A, Kin. Widziałas to, jak sędzę?

- Co to było?

- Największy fragment naszego statku. Marco powinien był go wysadzić, a nie pozostawić, bo musiał w końcu spaść na dysk. Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że wylądował w morzu lub na pustyni. Miałam nadzieję, że może spadnie na spodnią stronę, ale okazała się, jak widać, płonna.

- To znaleźliśmy doskonały sposób na ogłoszenie, że tu jesteśmy: nie dość, że po drodze zniszczyliśmy planetę, to jeszcze spuściliśmy właścicielom na łby wrak statku - podsumowała Kin.

- Zauważyłam jeszcze coś, zanim pojawił się statek. Widzisz tę planetę, nieco w dole? Co to powinno być?

- Wenus, ale...

- Właśnie: nie ma księżyca.

Kin poczuła nagle podniecenie - twórcy dysku zapomnieli o czymś, a to było co najmniej dziwne. Księżyc Wenus - Adonis - był prawie równie wielki co ziemski Lunar i od zawsze dominował na porannym lub wieczornym niebie. Dlaczego go tutaj pominęto?

- Niezły temat na pracę o związku astronomii i socjologii - zauważyła Silver. - Ja na przykład zawsze czułam, że znaleźliście się w kosmosie pierwsi, ponieważ mieliście ciągle przed oczyma przypomnienie, że we wszechświecie coś krąży wokół czegoś i ośrodkiem tego krążenia wcale nie jest Ziemia. My mieliśmy swojego Bliźniaka, a kungowie w ogóle nie widzieli nieba. Gdyby wasza siostrzana planeta nie miała księżyca, wątpię, czy wasza historia byłaby aż tak nieskomplikowana. Razem patrzyły, jak samotna planeta opada za horyzont. Kin wtuliła się w futro Silver, zastanawiając się, czy garkotłuk jest bezpieczny. Chyba tak. Załoga darzyła Marca zdrowym respektem. Silver musiała też o tym myśleć, bo spytała:

- Kin, nie śpisz?

- Unk.

- Obiecay mi, że jeśli garkotłuk się zepsuje, ogłuszysz mnie i pozwolisz Marcowi mnie dobić. Kin siadła, krzywiąc się odruchowo.

- Nie obiecay. A poza tym czym cię mam ogłuszyć, wraskiem?

- Masz niewielki stunner przy sobie. Zauważyłam go parokrotnie... nauczono mnie obserwować. A pozwolisz mnie zabić ze strachu przed tym, czym się stanę. Mojego strachu.

Kin mruknęła niewyraźnie i pogrążona w myślach, położyła się na powrót.

Rozmyślała konkretnie o shandach: nim wynaleziono garkotłuki, przedstawiciele tej rasy mogli opuszczać rodzinną planetę jedynie z własnymi łódkami. Zdarzyło się wówczas, że ludzki statek przewoził czterech ambasadorów rasy shand na Ziemię i podczas lotu zepsuła się chłodnia. Ambasadorzy byli istotami cywilizowanymi - zwykle shand pozbawiony jedzenia zmienia się w szalejące zwierzę w ciągu

maksimum czterdziestu ośmiu godzin. Oni wytrzymali pięćdziesiąt sześć.

Nie przeżył nikt: ostatnia zabiła się, gdy obudziła się z sytego snu i zobaczyła, co leży wokół niej. Normalny shand tak by nie postąpił, ale normalny shand nie jest szkolony do kosmopolitycznego myślenia. A i tak ślina topi w każdym shandzie miliony lat ewolucji, co w połączeniu z brutalną prawdą, że shand lubi sobie zjeść innego osobnika swej rasy, daje efekt niezrozumiały dla ludzi. Jak można połączyć rytualny kanibalizm z rozwiniętą cywilizacją? One mogą. Należało do tego jeszcze dodać Grę, której zasady były stare, proste i okrutne. Dwa shandy wchodziły z przeciwnych stron do ogrodzonego lasu, od dawna przeznaczonego do tego właśnie celu. Obowiązywały konkretne przepisy dotyczące broni, a poza tym wszystkie chwytły były dozwolone. Zwycięzca w nagrodę miał wielkie żarcie.

Ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem i Kin spytała cicho:

- Silver, brałaś kiedyś udział w Grze?

- Trzy razy, kiedy miałam naprawdę nieodpartą ochotę. Dwa razy w domu i raz nielegalnie poza planetą. Ostatnia przeciwniczką była Regius, profesor lingwistyki z Uniwersytetu Gelt. Stanowi obecnie zawartość mojej lodówki, choć przyznaję, że nauka poniosła sporą stratę.

- Przecież macie od dawna garkotłuki, dlaczego nadal istnieje Gra?

- Teraz to tradycja - Silver wzruszyła ramionami. - Robimy to... można powiedzieć, dla sportu, choć to niezbyt trafne słowo, bo chodzi o połączenie odwagi, utożsamienie się z przeszłością czy potwierdzenie naszego shandyzmu. Wy uważacie, że to barbarzyństwo.

Było to stwierdzenie, nie pytanie, ale Kin i tak przecząco pokręciła głową.

- Wiesz, że w Grze wzięło już udział sporo ludzi - dodała Silver. - Płacą za to naprawdę dobrze, choć nie wiem, co chcą udowodnić. Jeśli wygrają, dostają jedynie głowę przeciwnika do zawieszenia na ścianie. To jest barbarzyństwo.

- A jeśli przegrają?

- To zwycięski shand dostaje dwóch skazanych przestępców.

Kolejny przykład, że obcych nie można oceniać według ludzkich kryteriów, co każdy odruchowo robił. Co komu do domu, jak dom nie jego - shandy na swojej planecie mogły robić, co chciały, i nic do tego ludziom. Dalsze rozmyślanie przerwał jej nagły wrzask, jakim rozbrzmiała drewniana budowla. Przez otwarte wrota wybiegł mężczyzna, trzymając się za bok, przebiegł parę kroków i zwałił się w trawę.

Kin skoczyła odruchowo, dopiero w biegu wyciągając stunner. Potężne łupnięcie za jej plecami świadczyło, że Silver nie pozostała bezczynna.

Wewnątrz hali pełno było walczących w mroku postaci. Ledwie zdążyła uskoczyć przed brodaczem odzianym w skóry, który gnał na oślep. Przestała mu się dziwić, gdy zobaczyła goniącego za nim potężnego chłopca z toporem. Wycelowwała i strzeliła.

Efekt nie był natychmiastowy - obaj przebiegali jeszcze parę sekund nogami, nim powoli, zasypiając po drodze, zwalili się na ziemię. Kin ustawiła broń na minimalną moc, ale maksymalnie szeroką wiązkę, i półkolistymi ruchami kosiła wszystko, co się przed nią ruszało. Przynosiło to efekty, dopóki nie trafiła na odporniejszego od innych - co prawda zaczął śnić w marszu, ale padł dopiero na nią, rozciągając ją i przygniatając do ziemi, jako że chłop był co się zowie. Przez chwilę bała się, że odór zestarzałego potu, smród źle wyprawionych skór i cuchnący oddech ją uduszą, ale zdołała się wcześniej uwolnić. Przy zderzeniu wypuściła stunner. Zaczęła go gorączkowo szukać, ale ktoś ją uprzedził - kolejny brodacze w futrze uniósł ze zdziwieniem stunner, zajrzał w lufę i zachrapał, waląc się na podłoże jak kłoda.

Nim zdążyła dopaść broni, z tumultu wyłonił się następny, biegnąc ku niej z uniesionym mieczem. Kin odbiła się, kopiąc w górę, i z ulgą usłyszała przeraźliwy ryk. Napastnik puścił miecz i zwijając się z bólu, padł, z trudem łapiąc powietrze. Wstała, omal nie wywracając się przy tym ponownie, gdyż podłoga zrobiła się dziwnie śliska, podniosła stunner i rozejrzała się. To nie była bitwa, tylko karczemna bójka z użyciem broni siecznej - uczestnicy walili na oślep, a w samym środku zamieszania szalał Marco z mieczem w każdej z czterech dłoni, zwijając się w unikach. Za nim burczał sobie radośnie garkotłuk, a powietrze pełne było dziwnego, słdkawo-lepkiego zapachu.

Od wejścia rozległ się wściekły ryk i do środka wpadł pospiesznym kuśtykiem Eirick, młócąc na prawo i lewo kulą.

A zaraz potem zawalił się dach.

Częściowo.

Jeden z walczących cofnął się prosto na Kin, która odruchowo powaliła go ciosem pod ucho. Jedna ze ścian wpadła do środka, wpuszczając poranną szarówkę i na moment masywną, porośniętą białym włosem stopę. Stopa cofnęła się natychmiast i nim zaskoczeni kataklizmem podjęli na nowo walkę, ponownie skoczyła na dach, który tym razem puścił. Jej ryk był ostateczną zachętą - kto mógł, rzucił się czym prędzej do drzwi.

Zapadła cisza przerywana jedynie jękami rannych i dziwnym pluskiem.

Kin rozejrzała się i stwierdziła, że stoi po kostki w lepkiej, pienistej cieczy.

Przeniosła wzrok na garkotłuka i jej podejrzenia się sprawdziły: z wylotu wypływał żółtobrazowy wodospad, błyskawicznie zwiększając kałużę. Marco spojrzał na nią, spróbował z wysiłkiem zogniskować szklane oczy, poddał się z westchnieniem i zadowolony runął na plecy.

Zrezygnowana spróbowała tego, co wypływała maszyna - jak się spodziewała, było to superpiwo: słodkie i z kopem. Tu i ówdzie kałuża była ciemniejsza, źródłem zacieków byli martwi i ranni. Wyłączyła garkotłuka, zaprogramowała odtrutkę i ponownie uruchomiła urządzenie.

Po chwili trzymała w dłoni kubek niebieskiego śmierzącego płynu. Podeszła do kunga, złapała go za grzebień i szarpnęła w górę. Ledwie otworzył usta, wlała w nie płynnym ruchem całą zawartość kubka i puściła nieprzytomnego Marca, pozwalając mu z pluskiem opaść w błoto, w jakie zmieniło się klepisko.

Silver zeskoczyła przez dziurę w dachu i obie zwiedziły pobojowisko. Garkotłuk został

zaprogramowany na maści i opatrunki, a po namyśle także w stymulat regeneracyjny. Tak zaawansowanych leków nie stosowano zazwyczaj w prymitywnych społecznościach z obawy przed szokiem kulturowym, ale dysk w ogóle był jednym wielkim szokiem kulturowym.

Skończyły opatrywanie ran, gdy Marco dał znak życia - jęknął i siadł, rozglądając się wokół mętnie.

Kin zignorowała go.

- Chłopaki Leiva opowiedzieli im o cudownej produkcji piwa - wyjaśnił po chwili. - A potem, jak im zrobiłem mały pokazik, to chcieli więcej, a potem zaczęli się łać czym popadło.

- Pieprzony boski piec - mruknęła Kin i wróciła do pracy.

Odpowiedziało jej zachrypnięte parsknięcie z mroku panującego pod dachem, skąd po chwili opadło nie zauważone przez nikogo czarne pióro.

W południe zebrali się do odlotu, a żegnać ich wyszła cała osada - sporo mężczyzn miało nowiutkie, białe blizny, kilku miniaturowe kończyny wyrastające z zagojonych już kikutów, ale i tak populacja uległa zmniejszeniu o zabitych w nocnej popijawie. Tym razem garkotłuk okazał się aż za skuteczny.

Eirick wygłosił długą przemowę, po czym na pożegnanie sprezentował im rzadkie futro i parę łowczych ptaków.

- Powiedz mu, że nie możemy przyjąć - powiedziała pośpiesznie Kin. - Powiedz mu cokolwiek... że nie możemy mieć bagaży, jeśli mamy naprawić słońce. W końcu, do cholery, to niemal prawda!

Eirick wysłuchał długiej oracji Silver i skinął głową ze zrozumieniem.

- I powiedz mu, że ja chciałabym mu coś dać - dodała Kin.

- Dlaczego? - zainteresował się Marco.

- Bo nadal się obawia, że dysk to sprawka Kompanii, i chce przeprosić. Zgadza się? - wyjaśniła Silver, ale Kin ją zignorowała.

- Poproś go o parę kawałków drewna - dodała wyjaśniająco Kin. -1 dużo trawy, siana, kości i wszystkiego, co kiedyś żyło. Do diabła. Zaczynam mówić jak oni! Chodzi mi o śmieci organicznego pochodzenia.

Ustawili garkotłuka na produkcję desek, bo to dawało oszczędności na tartaku. Gdy z wylotu wyjechała pierwsza deska, mieszkańcy zamienili się w roboty, znosząc wszystko, co pasowało do opisu, razem z garściami alg wyrzucanymi na brzeg przez fale, dziś poruszające się jakby były z ołowiu.

- Lecimy, ile się da nad lądem - zagaiła naradę Kań, korzystając z zajęcia ciekawskich tubylców czym innym. - Jeśli wyczerpie się energia skafandrow, nim dolecimy na miejsce, wymienimy zasilacze i Marco albo ja polecimy dalej sami. W ten sposób Silver będzie zawsze w pobliżu garkotłuka.

- Jestem skłonna się zgodzić, bo nie mamy nic do stracenia. Naturalnie powinien lecieć Marco, bo ja poradzę sobie z napastnikami, a ty z samcami swego gatunku, w najgorszym razie wciągając ich w seksualne współzawodnictwo. Marco natomiast najbardziej nadaje się do penetracji środka dysku.

Była to słoniowate delikatna dyplomacja, ale Marco i tak odwrócił głowę.

- Nie nadaję się do niczego - oznajmił rzeczowo. - Pozwoliłem dać się sprowokować ludziom. Wstyd.

- Wina nie leży wyłącznie po twojej stronie - pocieszyła go Silver.

- Miałem przewagę liczebną, bo ich było tylko trzydziestu!

Wokół garkotłuka wzniesiono tymczasem wzbudzające respekt sterty desek, skończyli więc naradę i wrócili do ośrodka ogólnego zainteresowania. Kin wyłączyła urządzenie i zamocowała na nim pas antygravitacyjny.

Nieco z dala od tłoku stali obaj kapłani Christosa, skandując cicho po łacinie.

- O co im chodzi? - zainteresowała się Kin.

- Proszą Christosa, by pozwolił nam naprawić swą planetę i słońce - przetłumaczyła po chwili Silver - albo też pokarał nas, jeśli się okazało, tak jak podejrzewają, że jesteśmy sługami Saitana.

- Miłe z ich strony. Pożegnaj się w naszym imieniu, dobrze?

Silver była zwięzła, toteż wystartowali szybko i osada zniknęła wśród śniegu i piany zajmujących, znacznie większe obszary. Zwłaszcza że morze oszalało - fale goniły się, ryczały i pryskały pianą na wysokość, na której lecieli.

Ponieważ na dysku zachód to nie kierunek, lecz umowny punkt, trzeba było go inaczej określić. Na dysku istniały zatem cztery kierunki: krążyć w prawo, krążyć w lewo, do wnętrza lub na zewnątrz. Lecieli więc do.

Ostrożnie okrążyli unoszące się na falach stworzenie, zastanawiając się, czy jeszcze żyje, czy tylko fale powodują ruchy płetw. Kin zdecydowała się zaryzykować i obniżyła lot, podświadomie spodziewając się protestów Marca, ale ten milczał od rana. Silver też się nie odezwała, korzystając z postoju, by przyciągnąć holowanego garkotłuka.

Nurkując, Kin miała wrażenie chłodu przenikającego przez dwadzieścia pięć warstw skafandra, tak lodowato błękitne było niebo. Stwór pływał stylem grzbietowym, czyli do góry brzuchem, i w większości składał się z ogona ginącego na końcu w falach. Silniejsza fala uniosła nieco długi, podobny do końskiego łeb, odsłaniając pusty oczodół. Stworzenie musiało być wiekowe, bo nic nie dorasta szybko do takich rozmiarów. Biały brzuch porośnięty był muszlami i poznaczony bliznami. Wznosząc się, Kin zdecydowała, że dobrze byłoby mieć go na stole sekcyjnym - gdyby znalazł się w okolicy stosownie wytrzymały dźwig, by go tam dostarczyć.

- Jest martwe - zameldowała. - Ma ranę, przez którą można łódką przepłynąć, i to niedawno zadaną. Myślę, że należy do tego samego gatunku co ten, którego widzieliśmy rankiem.

Tamto było zbyt daleko na prawo, by chciało im się nakładać drogi.

- Na pewno jest martwe - oznajmiła, widząc minę Silver.

- Nie o to chodzi: właśnie się zastanawiam, co je zabiło. Zdecydowanie wolę mieć pod nogami stały ląd.

Im bardziej stały, tym lepszy, to także nie ulegało wątpliwości. Kin wołała niebo - w pasach antygravitacyjnych było coś wzbudzającego zaufanie znacznie bardziej niż w dysku. Pasy nie psuły się bez ostrzeżenia, a dysk mógł, i to w każdej chwili.

- O parę mil stąd jest wyspa - powiedziała Silver. - Zwykle, łagodne wypiętrzenie skał poznaczone śladami ognisk. Wylądujemy?

Kin wyteżyła wzrok - daleko w przodzie i nieco z boku dostrzegła coś, co na pewno nie było wodą. Choć morze było wyjątkowo spokojne, krótki postój na stałym lądzie miał sporo zalet, choćby dlatego że skafandry nie były przewidziane do lotów w zasięgu przyciągania planetarnego, toteż ruch do przodu powodował pozostawanie w tyle nóg. Wskutek całkowitej bezużyteczności ciągnięte za tułowiem nogi czuła jak dwie bryły ołowiu i przywrócenie w nich normalnego krążenia wydawało się jej dobrym pomysłem.

- Marco? - spytała profilaktycznie. Kung unosił się spory kawał z boku, wciąż pograżony w samooskarżeniach.

W uchu usłyszała najpierw westchnienie, potem głos:

- Nie mam użytecznych opinii, ale nie widzę też oczywistych zagrożeń.

Polecieli więc ku wyspie.

Okazała się nieduża i prawie owalna. Pokrywały ją niemal suche algi, a najwyższy punkt wystający ze trzy metry nad wodą był aż czarny od śladów po ogniskach. Kin wylądowała pierwsza i wyciągnęła się jak długa, gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przed nosem przemaszerował jej oburzony krab, a potem leciutko wylądowała w pobliżu Silver i zajęła się zwijaniem Liny holującej garkotłuka. Zajęła się następnie zbieraniem alg i pakowaniem ich do wlotu maszyny, podczas gdy Kin masowała zawzięcie nogi, przywracając w nich krążenie. W normalnych warunkach garkotłuk zbierał potrzebne do produkcji atomy z powietrza, ale warunki nie były zwyczajne, a ostatnio wymagali od urządzenia znacznie więcej niż zwykle, więc była to rozsądna profilaktyka. Po dłuższej chwili Silver wręczyła jej kubek kawy, zostawiając sobie solidną michę czegoś różowego. Prawdopodobnie syntetycznego shanda.

- Gdzie Marco? - spytała Kin, starając się zignorować zawartość michy.

- Wyłączył nadajnik - poinformowała ją Silver. - Wiesz, on ma problemy...

- Żartujesz?! On myśli, że jest człowiekiem, wiedząc, że jest kungiem, więc za każdym razem, gdy zachowuje się jak kung, jest mu wstyd.

- Kungowie i ludzie to wariaci - oceniła uprzejmie Silver. - A on jest największy. Gdyby się przez chwilę zastanowił nad swoją sytuacją, zrozumiałby, że jest ona niemożliwa logicznie.

- Wiem, nie jest fizycznie człowiekiem. - W głosie Kin słychać było rezygnację. - Tylko że kungowie wierzą, że istota jest zdeterminowana przez...

Kin urwała nagle.

A Silver uśmiechnęła się zachęcająco.

- Dalej, bo prawie doszłaś do sedna. Kung wierzy, że w nowo narodzonego wnika pierwsza wolna dusza, ale Marco teoretycznie jest człowiekiem, a ludzie nie wierzą w takie przesady. Ergo: musi być kungiem, skoro tak uważa.

W uchu Kin rozległo się westchnienie - Marco może i wyłączył nadajnik, ale był wystarczającym paranoikiem, by nie wyłączać odbiornika. Kin uniosła głowę i dostrzegła odległy kształt na niebie, ale kątem oka zauważyła, jak Silver mówi bezgłośnie:

„Ignoruj go”.

Tak też zrobiła.

- Pewnie ludzie Leiva rozpalili te ogniska - zmieniła temat. - Musimy być na uczęszczanym szlaku.
- A zauważyłaś zmienności w strukturze morza?

Tylko ślepy by nie zauważył.

Z powierzchni dysku wylewały się stale miliardy ton wody, które jakoś musiały na nią wracać. Zakładając, że budowniczowie nie byli cudotwórcami i nie parali się magią, woda łapana była pod dyskiem w molekularne sito połączone z teleporterem. Proste, choć niewiarygodne. Odbiorniki teleporterów podłączono do pomp umieszczonych na morskim dnie i wszystko funkcjonowało bez wzbudzania podejrzeń.

Dopóki funkcjonowało prawidłowo.

W ciągu ostatniej półtorej doby kilkakrotnie przelatywali nad kolistymi połączeniami gotującego się dosłownie morza - albo wpompowywano zbyt dużo wody, albo nie wszystkie pompy działały i funkcjonujące przeciążono.

- Ciągłe zapominam, że to tylko wielka maszyna - powiedziała cicho Kin.

- Chyba zbyt ostro oceniasz budowniczych. Jeśli nie liczyć groźby uszkodzeń, to w takim kosmosie jak ten można całkiem wygodnie żyć. Można tu nawet rozwinąć nauki.

- Pewnie, tylko jakie? Nauka to narzędzie do rozkręcenia wszechświata, ale tutejsza z założenia musi być pokrętna, bo pasować będzie wyłącznie do kosmosu dysku. Spróbuj sobie wyobrazić miejscowego astronoma usiłującego się domyślić, jak wygląda normalny wszechświat. Nie: dysk jest dobry wyłącznie dla religii.

Silver zaprogramowała kolejną miskę różowego, w którego naturę Kin wolała się nie zagłębiać. Kin zaczęła się rozbierać.

- Myślisz, że to rozsądne? - spytała Silver.

- Prawie na pewno nie. - Kin zachwiała się lekko, gdy wyspą zakołysała fala. - Ale prędzej mnie cholera weźmie, niż bez kąpieli będę się pociła w skafandrze. Oddałabym ładnych parę Dni za gorącą kąpiel.

I goła powędrowała w stronę wody. Stała, gdy kolejna fala silniej zakołysała wyspą, omal nie zwalając jej z nóg.

Zakołysała wyspą?!

Rzuciła się ku skafandrowi, gdy Marco zanurkował, wyjąc coś po kungijsku. Fala obmyła jej stopy, następna sięgnęła pasa i przewróciła. Przez pianę dostrzegła Silver i garkotłuka startujących pionowo w górę, a potem przykryły ją zielone fale, dokładnie w chwili gdy złapała skafander. Który znowu zaczął ściągać ją w dół, obciążony zasilaczem i resztą sprzętu.

Tuż obok woda eksplodowała chmurą bąbelków, wśród których przemknął Marco, i po długiej niczym wieczność sekundzie skafander pociągnął ją gwałtowniej, ale tym razem w górę. Z wody wyskoczyli w następującej kolejności: Marco-skafander-Kin.

W górze czekała Silver, ale kung nie zwolnił - zrobił to dopiero na jakichś dwustu metrach i tam też rozegrała się dzika pantomima i w końcu udało im się wsadzić zamarzającą Kin do skafandra. Gdy włączyło

się wewnętrzne ogrzewanie, Kin tak szczękała zębami, iż nie mogła mówić. Kiedy przestała szczękać na tyle, by dało się ją zrozumieć, wewnątrz skafandra panowała temperatura jak w saunie.

- Dziękuję, Marco, sama bym nigdy nie...

- Popatrz w dół - przerwał jej Marco.

Pod powierzchnią morza przesuwiał się olbrzymi, wyraźnie widoczny kształt - żółw o skorupie wielkości wyspy i łbie niczym dom oraz czterech płetwiastych odnóżach. Przez chwilę płynął jeszcze pod powierzchnią, po czym zaczął się leniwie zanurzać.

- Widziałem, jak się budzi - wyjaśnił Marco. - Zwróciłem uwagę na regularny kształt płetwy i gdy ją obserwowałem, poruszyła się. Musi mieć zwyczaj wypływania i czekania, aż ktoś wylądjuje i rozpali ognisko na skorupie, a potem ma duży, zaskoczony posiłek.

- Skorupa długości co najmniej stu metrów - oceniła Silver. - Zdziwiające. Podobne okazy istnieją na Ziemi?

- Na szczęście nie. - Kin ponownie zaszczękała zębami.

- Skończcie te naukowe pogawędki - przerwał im Marco. - Musimy lecieć do najbliższego dużego lądu. Silver, popatrz no trochę w prawo, gdzieś na naszej wysokości. Ja widzę tylko punkcik.

Silver wraz ze skafandrem wykonała zwrot.

- Ptak. Czarny. Może być kruk - powiedziała zwięźle.

- A, to nie możemy być daleko od lądu - ucieszył się Marco. - Już się bałem, że to smok.

Przełączyli pasy na najszybszy ruch w poziomie i ruszyli w trójkątnym szyku prowadzonym przez kunga. Nikt tego nie uzgadniał, ale jakoś tak wyszło, że obie - Kin i Silver - przekazały mu dowództwo. Po chwili Marco zaczął się wznosić. Poszły za jego przykładem, a pod nimi...

...rozwinęła się panorama dysku. Na poprzedniej wysokości można było jeszcze wierzyć, że to normalna kulista planeta, teraz wyraźnie było widać dziwną mapę w formie koła. Widoczność ograniczały jedynie chmury. Kin widziała przeciwny skraj dysku - ciemną linię między niebem a morzem - i otaczający całość wodospad podobny do gigantycznego węża.

Zafascynowana obserwowała, jak w pobliżu brzegów Afryki rodzi się huragan. Widziała już z przestrzeni wiele planet, lecz dysk był inny. I wielki - nawet dla niej, przyzwyczajonej do myślenia w skali milionów kilometrów. Wirował przez kosmos w swym własnym, prywatnym wszechświecie i wydawał się mały, ale oglądany z wysokości kilku mil był wielki i rzeczywisty, a to zupełnie wystarczało, by gapić się weń w niemym urzeczeniu.

- Widzicie te koliste zakłócenia w oceanie? - odezwał się Marco.

- Kin sądzi, że coś się popsuło w cyrkulacji wody morskiej - wyjaśniła Silver.

- Logiczne. Ale czuję coraz większy podziw dla ludzi, którzy wypuszczają się nań w małych łodziach z drewna i bez możliwości lotu.

- A ja czuję coraz większe zdenerwowanie na myśl, że mam chodzić po tym dysku. Jest tak cienki i tak sztuczny, że zaczynam pierwszy raz w życiu rozumieć, co to taki zawrót głowy - skomentowała

Silver.

- Ja mam wrażenie, że stoję na grzędzie sto pięter nad ziemią - zgodził się Marco.
- Zaczynam rozumieć, dlaczego spindli lubią mieć pod stopami parę tysięcy mil solidnej planety, jak napisała Kin. To psychiczna kotwica, jako że podświadomie boimy się spaść na dno wszechświata. Ciekawe, czy ten strach nie jest pochodną imperatywu spindli?
- Mówi się, że pomogli nam w ewolucji, więc to niewykluczone. Co o tym sądzisz, Kin?... Kin?
- Eee? Coo?
- Słuchasz nas?
- Przepraszam, zapatrzyłam się. Silver, co to za smuga, tam w dole? Tam, gdzie powinna być Europa Środkowa?
- Widzę. Podejrzewam, że tam właśnie uderzył wrak naszego statku. Przyjrzeł się uważniej, ale z tej odległości był to ledwie widoczny ślad dymu.
- Wygląda na obszar pozbawiony życia - zauważyła Silver.
- Teraz na pewno - mruknęła ponuro Kin.

Parę mil niżej zawzięcie machający skrzydłami kruk też zauważył dym. Skupił na nim wzrok i coś za jego oczyma kliknęło.

Księżyc był w pełni, ale dziwnie czerwonawy, jakby brakowało mu energii. Mimo to nieźle oświetlał krajobraz, nad którym przelatywali - głównie puszcę, tu i ówdzie naznaczoną splachetkami uprawnych pól i światłami jakiejś osady. Gdy znaleźli się nad wyjątkowo długim kawałkiem dziewiczej puszczy, Marco zarządził przystanek.

- Lądujemy - zaproponowała zmęczona Kin.
- Najpierw musimy spenetrować teren!
- Przecież pod nami nie ma nic oprócz drzew - warknęła Silver i wylądowała pierwsza, wychodząc ze słusznego założenia, że najmniej prawdopodobny jest atak drapieżnika właśnie na nią.

Ponieważ nic jej nie zaatakowało, wyłączyła skafander, rozpięła hełm i przez chwilę węszyła w ciszy. W końcu odwróciła się, pociągnęła nosem raz jeszcze i oceniła:

- W porządku: wyczuwam jedynie stary zapach wilków i dziki, ale daleko. Sądzę, że w rzece, o dwie mile ku brzegowi dysku, są też jakieś bobry, ale ludzi w okolicy nie ma na pewno. - Jeszcze raz pociągnęła nosem i dodała z wahaniem: - Jest jeszcze jakaś woń, której nie potrafię zidentyfikować... dziwna... trochę insektopodobna...

Zdecydowali, że i tak wylądują. Kin już drzemała w locie i stacją było jedynie na tyle koncentracji, by nie łupnąć o zbocze pagórka. Wyłączyła skafander, rozpięła hełm i opadła w pachnącą trawę.

Obudził ją Marco, delikatnie wsuwając w jej dłonie miskę z zupą.

Oboje z Silver rozpalili ognisko, którego płomień oświeślały rosnące o trzydzieści metrów drzewa, otaczając polanę kręgiem pokrzepiającego blasku połyskującego matowo na obudowie garkotłuka.

- Doskonale wiem, że to wbrew regułom bezpieczeństwa - wyjaśnił Marco, widząc jej zaskoczenie - ale postanowiliśmy zaryzykować. Silver pierwsza ma wartość, potem twoja kolej, więc lepiej się wyśpij.

- Dzięki. Marco... jeśli chodzi o tę pływającą wyspę...

- Nie będziemy o niej mówić. Większość czasu i tak będziemy lecieć nad lądem.

- Możemy niczego nie znaleźć...

- Naturalnie, ale co byłoby warto życie bez podróży ku środkowi?

- Bardziej martwi mnie zasilanie skafandrów. Skąd możemy być pewni, że energia nie wyczerpie się po drodze?

- Znikąd. Ale one mają wbudowane zabezpieczenie antyhisteretyczne: jeżeli energia opadnie poniżej określonego poziomu, opuszczają się łagodnie na powierzchnię lądu.

- Albo wody - dodała Kin.

- Albo wody, ale przynajmniej nie spadniesz jak kamień. Wiem, martwi cię, że to twoja Kompania zbudowała ten świat. Tylko po co mieliby to robić?

- Dlatego że mogli. Albo dlatego że chcieli.

- Nie rozumiem.

- Kompania może od dawna budować smoki czy tworzyć ludzi równie łatwo co wymarłe wieloryby. Ma wystarczającą wiedzę, lecz nie robimy tego z uwagi na Kodeks. Mogli zbudować ten dysk, ale nikt nie odważyłby się na to w znanej i uczęszczanej przestrzeni. Tutaj to zupełnie inna sprawa.

Marco przyjrzał się jej współczująco.

- Silver przekonała mnie - oznajmił. - Jestem kungiem i cieszę się, że nie jestem już człowiekiem.

Kin zjadła zupę i położyła się z błogim uczuciem wypełniającą ją ciepłą.

Marco, położywszy cztery miecze w zasięgu rąk, zwinął się w kłębek.

Silver natomiast stanęła bez ruchu na zboczu pagórka. Widok, jak zawsze, budzący otuchę.

Dopóty, dopóki działał garkotłuk.

Nie śniło się jej nic.

Silver obudziła ją przed północą i beznamietnie obserwowała ziewnięcie, po którym Kin omal nie przeskoczyła szczęka.

- Coś się wydarzyło?

- Godzinę temu odezwała się sowa. - Silver zastanowiła się. - Kręciło się też w pobliżu kilka nietoperzy. Poza tym cisza i spokój.

Położyła się, a po chwili donośne chrapanie oznajmiło Kin, że jest zdana sama na siebie. Księżyc wciąż był zbyt czerwony, za to gwiazdy świeciły owym głębokim blaskiem charakterystycznym dla środka nocy. Trawa, ciężka od rosy, szeleściła cicho w rytm jej kroków, gdy odchodziła od dogasającego ogniska.

Nawet o tak późnej porze widać było zielonkawą granicę między dyskiem a niebem lekko podświetloną od dołu przez niewidoczne słońce. Poza tym czuć było rozdeptany tymianek, a wokół latały sobie ćmy.

Później parokrotnie zastanawiała się, czy nie zasnęła na stojąco, ale gdy na szczycie wzgórza rozległa się cicha muzyka, wszystko wokół wyglądało tak samo, nawet zielonkawa granica na umownym zachodzie. A muzyka sprawiała dziwne wrażenie, jakby brzmiała od zawsze.

Była prowokująca i urokliwa, zupełnie jakby mówiła o tym, czego nigdy nie było, a co być powinno. Można by rzec, iż była to wydestylowana muzyka.

Nie budząc towarzyszy, Kin zaczęła wspinać się na wzgórze. W mokrej trawie zostawiała ciemne ślady. Oczyma wyobraźni widziała tę muzykę jak coś żywego, opływającego wzgórze i ginącego w ucichłym nagle lesie. Powiedziała sobie, że zawsze przecież może zawrócić, i szła dalej.

Dopiero gdy znalazła się w pobliżu szczytu, dostrzegła elfa siedzącego na porośniętym mchem kamieniu. Siedział podświetlony zielonkawą poświatą, ze skrzyżowanymi nogami, pochylony i skupiony nad piszczawkami. Stanęła jak wryta, niezdolna do ruchu, mimo że resztki zdrowego rozsądku wyły rozpaczliwie, że to, co siedzi, to olbrzymi insektoid przypominający skrzyżowa nie człowieka z karaluchem, a to, co wygląda jak ostro zakończone elfie uszy, w rzeczywistości jest czułkami.

Muzyka nagle się urwała.

- Nie...- jęknęła.

Trójkątna głowa odwróciła się ku niej i przez chwilę Kin spoglądała w parę wąskich, błyszczących oczu bardziej zielonych niż poblask na horyzoncie. Potem rozległ się syk i cichy tupot stóp po trawie zakończony szelestem liści. Noc zamknęła się ponownie niczym jedwab.

Rankiem wzniesli się ponad puszcza, kierując się ku środkowi dysku i pozostawiając smugi kondensacyjne we wznoszących się znad ziemi mgłach. Widoczny na horyzoncie słup dymu przypominał palec ostrzegający przed sądem. Był też na tyle gęsty, że rzucał cień.

- Nie wiem jak tubylców, ale mnie przeraża - stwierdziła Kin. - Powinniśmy byli wysadzić statek.

- To ich planeta go uszkodziła - przypomniał Mar-co. - Więc to ich problem.

Lasy ustąpiły polom, wśród których z rzadka pojawiało się coś żywego. W końcu dostrzegli człowieka idącego za pługiem ciągniętym przez woła - wielkości mrówki. Gdy ich cienie padły na niego, on padł na kolana. Wśród pól biegła bita droga prowadząca przez skupisko chat, przez rzekę i ponownie znikająca w puszczy.

- Nie wyglądał na technika planetarnego - oceniła Kin.

- Wyglądał, jakby miał się właśnie zesrać ze strachu - uzupełnił Marco. - Ale ktoś zbudował ten dysk.

Śniadanie zjedli na wychodzącym na morze urwisku. Marco obserwował uważnie wodę, w końcu spytał:

- Kin, gdybyś ty to budowała, jak byś zrobiła przyływ?

- Pod dnem morza umieściłabym dodatkowy zbiornik i wypuszczała wodę o określonych porach doby. Dlaczego pytasz?

- Bo ten przyływ jest cholernie durny: zatopił drzewa do połowy... Co ci się stało?! Coś cię zaatakowało?

- Owszem. I im szybciej będę mogła wziąć spokojną, gorącą kąpiel, tym lepiej! Aha, z mydłem! Obowiązkowo z mydłem, bo od Grenlandii mam sublokatorów.

Marco zamrugał gwałtownie, nic nie rozumiejąc.

Kin westchnęła i wyjaśniła:

- Wszy. To takie upiornie irytujące pasożyty. Mam gdzieś Prawo o Wymarłych Gatunkach i przy pierwszej okazji wytłukę to cholerstwo do ostatniego!

- Aha... a w skafandrze raczej trudno się dobrze podrapać.

- W ogóle się nie da!

Silver chrząknęła znacząco i dodała:

- Też bym nie miała nic przeciwko dłuższemu postojowi w celach napraw higienicznych.

Marco w końcu zgodził się na postój w późniejszej porze dnia - gdy Kin zagroziła, że w przeciwnym razie wyląduje przy pierwszym budynku wyglądającym na gospodę.

- Kierujemy się nad Niemcy - odezwała się nagle Silver. - To niedobrze.

- Dlaczego? - spytał Marco.

- Bo to jedno wielkie pole bitewne: Dunowie pracy na południe spotkali tam Madziarów dążących na zachód i Turków pchających się wszędzie. A na dodatek Germanie lubili walczyć ze wszystkimi. Przynajmniej tak twierdzi historia.

- A ktoś miał lotnictwo?

- Przecież to była prymitywna...

- A to był żart.

Kin swędziało coraz wścieklej - z tęsknotą spoglądała na przesuwające się w dole morze, toteż pierwsza zauważyła przewróconą łódź, ale znajdowała się ona tak daleko z boku, że nie mogła dojrzeć szczegółów. I pierwsza też zauważyła rozetę - z góry wyglądało to tak, jakby na falach rozkwitał wodny kwiat o zielonych i obramowanych białą płatkach. Gdy obniżyli lot, wyraźnie dało się zauważyć olbrzymie ilości wody wyskakujące nad powierzchnię co parę sekund i tworzące wzór kwiatu. Dalej rozchodziły się wysokimi, kontynentalnymi falami przy wtórze rozgłosnego syku.

- Pompa pływowa - ocenił Marco i ruszył w dalszą drogę.

Po godzinie przelecieli nad plażą, za którą ciągnęła się szachownica pól, a potem las i małe, prymitywne miasteczko.

- Warownię rozpoznałem. - Marco wskazał kwadratową budowlę wysoką na kilka pięter. - Ale co to jest to drewniane?

- Podgrzewany basen? - zaproponowała Kin. - Nie patrz tak na mnie: Remanie mieli gorące łaźnie.

- Romanie - poprawiła Silver.

Marco mruknął coś niezyczliwie i poleciał przodem.

- Po co ten pośpiech? - zdziwiła się Kin. Zamiast odpowiedzi, wskazał słup dymu robiący wrażenie nawet z tej odległości.

- Silver uważa, że na dysku lada chwila może wybuchnąć masowa histeria. Jak myślisz, co wtedy zrobią z nieznanym, co lata po ich niebie?

Wylądowali w lesie mieszanym, z dala od jakichkolwiek śladów ludzkiej bytności, przy strumieniu, którego szeroki nurt płynął leniwie między niskimi, piaszczystymi brzegami. Kin rozebrała się, ledwie stanęła na ziemi, ale Silver była szybsza: zdjęła skafander, wykopała dużą dziurę w piasku i zaprogramowała garkotłuka na najmniej skomplikowaną funkcję, w wyniku czego z wylotu do dziury trysnęła ciepła woda. Zaraz potem w dziurze pluskała się radośnie Kin.

Nieszczęśliwy Marco sprawdził brzeg i zniknął na porośniętym drzewami stoku.

Wypadł stamtąd po kilku sekundach.

- Wynosimy się! - oznajmił kategorycznie. - Tam jest droga!

Silver spojrzała na Kin, wzruszyła ramionami i pocałowała między drzewa. Wróciła po dobrej chwili.

- Jest słaby odór ludzi - poinformowała - ale to leśny szlak i w dodatku pełno tu roślin. Obie spojrzały nieźyczliwie na kunga.

- Ludzie go używają, a ludzie w tej okolicy mają przy sobie broń.

- Prymitywną - dodała Kań. - Głównie siekiery. W dodatku chronią nas przesady. Na twojej planecie są lasy pływowe, prawda?

- Jak rozumiem, są.

- A jaka byłaby reakcja zwykłego, prostego kungijskiego chłopca, który w takim lesie spotkałby obce, przerażające potwory?

- Zaatakowałby je natychmiast i zabił albo sam zginął!

- Cholera, fakt - przyznała z niesmakiem. - Na szczęście ludzie się tak nie zachowują. Nie ma się więc czego bać.

Kiedy skończyła się pluskać i myć, a trwało to naprawdę długo, zajęła się przepierką. Silver natomiast poszukała w dole strumienia wystarczająco głębokiej jamy, w której panowała przyjemna lodowata temperatura, i zanurzyła się tam z ukontentowaniem. Marco odprężył się na tyle, żeby obmyć stopy. Musiał do tego celu wejść do wody, w której nagle coś się poruszyło, toteż syknął przenikliwie i wyskoczył na plażę gotów do walki.

Kin obserwowała go, wytrzeszczając oczy, po czym szybkim ruchem złapała powód zamieszania - małą, żółtą żabkę, i pokazała mu ją bez słowa. Marco przyjrzał się obu z urazą i Kin nie wytrzymała, parsknęła szczerym śmiechem. Kung syknął ostrzegawczo, odwrócił się i odmaszerował wzdłuż brzegu. Kin śmiała się serdecznie, dopóki nie zabrakło jej powietrza. Wiedziała, że to nieuczciwe, bo kungowie byli pozbawieni poczucia humoru, nawet wychowani na Ziemi. W końcu jednak uspokoiła się, wypuściła żabę i popłynęła głębiej w dół strumienia.

Strumień był szeroki, czysty i na tyle leniwy, że rosły w nim żółte lilie wodne, a gdy zanurkowała, uciekały przed nią ławice rozmaitych ryb. Dryfowała powoli w złocistobrazowej wodzie pomiędzy łodygami lilii, poruszając się jedynie dzięki minimalnym ruchom dłoni i stóp i obserwując czerwone węże i małe rybki goniące w półcieniach rzucanych przez roślinność...

Wynurzyła się w fontannie piany w samym środku kępy kwiatów, wytrząsając wodę z włosów i uszu.

Łucznicy byli dobrze wyćwiczeni: groty ośmiu strzał wycelowanych w nią dygotały tylko trochę, co skutecznie przekonało ją, by nie nurkować. Refrakcja czy nie, mieli dużą szansę zrobić jej krzywdę nawet pod wodą. Łucznicy mieli na sobie samodziałowe tuniki jednolitej barwy, kolczugi i przypadkową zbieraninę uzbrojenia ochronnego. Wszyscy jednak mieli hełmy i przyglądali się jej błękitnymi oczyma.

- ...i nie rób niczego głupiego! - poleciał nagle słyszalny w słuchawce głos Marca. - Musimy to załatwić ostrożnie, bo jest za duża szansa, że cię trafią.

Kin powoli rozejrzała się. Na brzegach nie było nic ciekawego poza gęstymi kępami trzciny.

- Podoba mi się to „my” - powiedziała głośno.

- To nie gap się nachalnie w krzak o purpurowych kwiatkach - doradziła słuchawka.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przez łuczników przechnął się niski i krępy mężczyzna i wyszczerzył

się, spoglądając na nią z góry, jako że brzeg był powyżej nurtu. Zbudowany był jak mur i miał ceglaną barwę, zwłaszcza jego cery. Włos i wąs były blond, a wyraz oczu przypominał Kin, że inteligencja nie zaczęła się wraz z początkiem rewolucji przemysłowej.

Ubrany był w legginsy, spiętą pasem tunikę i czerwony płaszcz - całość wyglądała, jakby wielokrotnie w niej spano, jeśli nie gorzej. Dłoń poznaczoną odciskami trzymał na rękojeści miecza, w którą postukiwał z namysłem.

Kań zrewanżowała się szerokim uśmiechem.

Stojący zakończył pojedynek wietrzenia zębów, przyklęknął i wyciągnął do niej dłoń. Na brudnych palcach zaśniły pierścienie wyraźnie sugerujące, że pierwotnie należały do kogoś innego. I że to pierwotnie było całkiem niedawno. Kin przyjęła podaną dłoń z największą gracją, na jaką ją było stać, i wyszła na brzeg. Powitało ją ciche acz zgodne westchnienie, obdarzyła więc obecnych kolejnym uśmiechem, po którym cofnęli się nie wiadomo czemu o dobry metr, i wyjęła z włosów jakąś zaplątaną lilijkę.

Urok chwili zepsuł Cegłowaty zwięzłym komentarzem, któremu towarzyszyło stosowne spojrzenie i generalny chichot obecnych.

- Poczekaj - rozległo się w jej uchu. - Jeśli to łacina, to Silver powinna tłumaczyć.

- Tego nie musi mi nikt tłumaczyć - parsknęła Kin, częstując widownię kolejnym uśmiechem z reklamy pasty do zębów, i podeszła do Cegłowatego.

Ten skinął głową i jednego łucznika wymiotło w krzaki. Reszta poszła w jego ślady znacznie stateczniej.

Wokół garkotłuka zastali trzech mężczyzn; dwóch nosiło ciężkie, szare szaty sięgające ziemi, trzeci, znacznie młodszy, ubrany był w jaskrawe i całkowicie niepraktyczne rzeczy. Widząc nadchodzących, cała trójka cofnęła się od maszyny, jakby ta kopała prądem. Młodzian dostrzegł Kin, powiedział coś i pośpiesznie sięgnął za koszulę. Wyjął stamtąd jakiś amulet na łańcuszku i podszedł do niej na sztywnych nogach, trzymając go jak najdalej od siebie jak broń.

Gdy stanął, Kin dostrzegła szkliste oczy i spocone czoło. Wyczuła też, że wszyscy spodziewają się czegoś po niej, ostrożnie więc ujęła wyciągnięty w jej stronę amulet.

Para w sutannach omal nie zemdląła, za to Cegłowatego aż zgięło ze śmiechu. Młodzik gapił się na nią, poruszając bezgłośnie ustami. Kin uprzejmie przyjrzała się temu, co trzymała w dłoni. Był to drewniany krzyżyk z czymś, co przypominało figurkę akrobaty. Oddała amulet tak uprzejmie jak potrafiła.

Młodzik złapał go kurczowo, rozejrzał się i pośpieszył w górę zbocza ku traktowi. Szarzy poszli jego śladem i dopiero wówczas Kin zrozumiała, dlaczego odskoczyli tak gwałtownie od garkotłuka - próbowali bowiem wsadzić w jego wylot miecz.

- Próbowali zniszczyć garkotłuka! - syknęła.

- Dobra, Kin. Jak powiem kucaj, to kucaj. KUCAJ! Coś gwizdnęło jej nad głową i trafiło jednego z kapłanów między oczy. Bez jęku zwałił się na ziemię jak kłoda.

- Cape illud, fracturor - usłyszała w uchu głos pełen zadowolenia.

Cegłowaty złapał ją za ramię i ruszył w górę zbocza otoczony ciasnym kręgiem łuczników

rozglądających się z obawą po lesie.

- Co to było? - spytała Kin, próbując ignorować szyszki, na które ciągle nadeptywała.

- Silver rzuciła kamieniem. - Podziw w głosie Marco był wyraźnie słyszalny, nawet w zminiaturyzowanej wersji dobiegającej z głośniczka. - Niestety, teraz niewiele możemy zrobić. Ich broń jest śmieszna, ale sytuacja nie jest tak groźna, by ryzykować poważne zranienie ciebie w razie bezpośredniej konfrontacji.

- Że jak?

- Nie chciałbym, żebyś sądziła, że kieruje mną coś innego niż rozsądna ostrożność.

- Nie będę sądziła - obiecała słabo.

- Silver chciała z tobą porozmawiać. Przez chwilę słyszała jedynie szelesty i stuknięcia, po czym rozległ się głos Silver:

- Uważają, że jesteś jakimś duchem wodnym, najwyraźniej są tu dość pospolite. Tylko że powinnaś zacząć wrzeszczeć, jak ci pokazali krzyż z podobizną Christosa, a tak zabiłaś im klina. Radzę ci okryć się jak najszybciej, bo oni tu mają jakieś sztywne przesady dotyczące nagości.

Na trakcie czekało więcej zbrojnych i więcej kapłanów. Cegłowaty dosiadł podstawionego wierzchowca i usadził za sobą Kin, nie odzywając się słowem. Wydał krótką komendę i oddział ruszył.

- Tu ponownie Silver, nie rozpaczaj - rozległo się w uchu Kin.

- Nie rozpaczam, tylko zaczynam się uczciwie wkurzać.

- Wróciliśmy nad rzekę, Marco zajmuje się cuceniem kapłana. - W tle rozległ się cienki wrzask, po czym nagle się urwał. - Kin?

- Jestem, a niby gdzie mam być?

Do Cegłowatego podjechał chyba arcykapłan, bo na szary habit zarzucony miał płaszcz obszyty futrem i wyglądał na ważnego. Sprawiał też wrażenie wściekłego.

- Wkrótce dowiemy się więcej o nich - obiecała Silver. - Gdybyś tymczasem znalazła się w opałach, możesz naturalnie rozpocząć stosunek seksualny z tym, który cię wiezie. Nazywają go Lothar.

Kapłan w płaszczu zaczął nagle wrzeszczeć, pokazując, by zawrócić, i posyłając Kin zjadliwe spojrzenia. Lothar odpowiadał z rzadka i monosylabami dopóki niespodziewanie nie przechylił się w siodle i nie złapał wrzeszczącego za habit. W następnej chwili prawie uniósł go do siodła, warknął krótkie zdanie i wypuł kropkę. Podniesiony zamilkł i zbieła - albo ze strachu, albo ze złości.

- Nadzwyczaj interesujące - oceniła Silver. W tle jej głosu ktoś cienko i szybko coś mówił - Kin wydawało się, że po łacinie.

- Garkotłuk jest poważnie uszkodzony? - zainteresowała się, by podtrzymać rozmowę.

- Nie, choć gdyby wepchnęli miecz jeszcze z centymetr, trafiliby na linię przesyłową pięciu tysięcy kilo-woltów... Marco, jak on jest nieprzytomny, to nic nie powie, więc lepiej by było, żeby tak często nie mdlał!

Opuścili las i skierowali się ku centrum dysku między bagnami z jednej, a polami uprawnymi z drugiej strony. Przed nimi wznosił się imponujący słup dymu, którego wierzchołek rozwiewały dmące na dużej wysokości wiatry. Wkrótce też dostrzegli grupę ludzi wędrującą z przeciwną. Na widok zwartego

oddziału odbiegli co prawda od drogi, ale zbrojni bez trudu złapali jednego i przyprowadzili Lotharowi do przepytania. Złapany trząsł się ze strachu, więc chwilę to trwało. Kin nato miast zaczęła trząść się z zimna.

- Silver, jak po ichniemu będzie: „Prawie zamarłam”? - spytała.

Silver przetłumaczyła, Kin stuknęła Lothara i powtórzyła najwyraźniej, jak umiała.

Lothar obrócił się w siodle i wytrzeszczył oczy, ale po chwili odpiął ozdobną zapinkę przytrzymującą płaszcz i podał go jej. Płaszcz, łagodnie mówiąc, śmierdzał, ale mimo to Kin owinęła się nim szczelnie.

Kapłan w płaszczu wymamrotał coś mało życzliwie.

- Powiedział, że wkrótce oboje was ogrzeją ognie piekieł - przetłumaczyła Silver.

- Ślicznie, gdzie się nie ruszę, zawsze zdobywam przyjaciół!

- Słuchaj uważnie: Wasz oddział składa się z dwóch grup. Jedna to kapłani Christosa - Stwórcy, którzy są przekonani, że ten słup dymu to znak jego powrotu. Druga to ludzie Lothara, drobnego arystokraty zajmującego się rozbojem i łupiestwem. Według naszego informatora jest też synem Saitana.

- Ten Saitan ma w okolicy kupę krewniaków - zauważyła rzeczowo Kin.

- To dziwaczna religia: wszyscy są źli, dopóki nie udowodnią, że są święci. Nasz informator mówi, że kapłani spotkali się z Lotharem i połączyli dla urojonej ochrony w drodze, ale ten czasowy sojusz w każdej chwili może się skończyć.

- Chcesz powiedzieć, że oficjalnie bóg Lothara wrócił, a jego wyznawca myśli wyłącznie o grabieży?

- Na pewno też o mordach i gwałtach. Teraz jedziecie do świątyni na nocleg. Wtedy spróbujemy cię odbić.

Teraz się wyłączę, bo mam rannego do opatrzenia... Ci kapłani Christosa są albo bardzo głupi, albo bardzo odważni: ten uderzył Marca. Rezultat możesz sobie wyobrazić.

- To jakim cudem on jeszcze żyje?

- Udało mi się przekonać Marca, że chwilowo żywy bardziej nam się przyda, więc tylko połamał mu rękę.

Późnym południem dotarli do miasta, którego domy o spadzistych dachach otaczały jakiś obiekt religijny, zgodnie z tym, co mówiła Silver. Dopiero gdy Lothar posłał przodem zbrojnych, by mieczami utorowali drogę, udało im się przejechać do tego obiektu przez błotniste, pełne wozów uliczki. Budowlę otaczał głośny tłum ubrany w różne odcienie szaroburego. Obsługa przystrojona była w święte kolory, a kapłana w płaszczu powitała z szaleńczą zgoła radością, tak energicznie pomagając mu zsiąść, że omaal nie ściągnęli go z siodła.

Lothar przyglądał się temu obojętnie. Kin dostrzegła, że jego ludzie utworzyli wokół półkole, trzymając w dłoniach łuki i często spoglądając w niebo. Główny kapłan, zidentyfikowany przez Silver jako Otto, po krótkiej rozmowie z nowo przybyłym księdzem pognął gdzieś i po chwili wrócił, prowadząc kogoś chyba znacznie świętszego, gdyż tłum rozstępował się przed nim. Przybysz był baryłkowaty i miał zaczerwienione oczy, jakby od pewnego czasu cierpiał na bezsenność. Na standardowy strój służbowy miał narzucony czerwony płaszcz wyszywany w złote wzory, na którym widniały plamy zaschniętego błota.

Ponuro wysłuchał relacji Ottona, po czym podszedł do konia Lothara i przyjrzał się Kin. W końcu uszczyptała ją w udo.

Kin zdecydowała się nie kopnąć go w zęby. Było to tyle rozsądne, ile trudne.

Lothar zsiadł, przyklęknął na jedno kolano i z ręką na sercu powiedział coś kwieciście niczym doświadczony domokrażca.

- Niewiele mogę pomóc - rzekła Silver. - Łacira to taki religijny wspólny, a oni mówią, jeśli się nie mylę, po starogermańsku, którego nie znam. Ten gruby to lokalny biskup, a chodzi o to, czy Lothar cię zatrzyma, czy też będzie musiał oddać kapłanom.

- A co z heroiczną misją ratunkową? Wiesz, człowiek się męczy, tak ciągle czekając w napięciu, aż z nieba spadną przyjaciele, waląc na oślep z laserów i...

- Miałam zamiar użyć twojego stunnera, ale nie ma go w kombinezonie - przerwała jej rzeczowo Silver. - Musiałś go zgubić koło żółwia, co załatwia plan A. Plan B też się nie uda, bo zanim Marco zdążyłby cię porwać w powietrzu, naszpikowaliby go strzałami, tak zawzięcie się rozglądają po niebie. Smoków się boją czy czegoś innego?

- A plan C?

Rozległo się westchnienie.

- Marco chce wylądować jako desant i ciąć każdego, kto mu wejdzie pod miecz.

- To niezły plan.

- On jest wariat, a to nie jest plan! Na północy mają takie określenie: berserker. Zostało wymyślone specjalnie dla niego!

Tymczasem Lothar zamilkł, biskup zaś przyjrzał się najpierw jemu, potem Kin, a w końcu skinął ręką. Kin zsunęła się z końskiego grzbietu, tracąc przy okazji płaszcz, który zsunął się samodzielnie. Nim go podniosła i włożyła, w tłumie zapadła głucha cisza. Biskup dał znak Kin, żeby poszła z nim, po czym poczłapał w stronę budynku. Gawiedź postępowała w milczeniu za nimi.

Miedzy świętymi budynkami dotarli do stratowanego dziedzińca, pogrążonego już w półmroku. Część dziedzińca znajdowała się pod dachem. I była zakratowana.

- Chcą mnie zamknąć, Silver! Gdzie wy, do cholery, jesteście?!

- W lasku w pobliżu miasta. Krata nie wygląda na zbyt grubą, ale mogą ją uznać za wystarczająco mocną i zrezygnować z wartowników.

- Nie wygląda...?! Silver, jakim cudem widzisz kratę?

- Marco jest w tłumie za twoimi plecami i zdaje mi na bieżąco raport. Tylko się za nim nie rozglądaj!

Biskup stanął przed środkową klatką i otworzył drzwi. Gdy Kin zatrzymała się przed nimi, coś ją delikatnie dźgnęło w plecy - był to czubek miecza jednego z łuczników. Weszła do klatki bez zwłoki. Zamek był wielki i masywny, ale prymitywny, za to krata zbudowana była z bali o średnicy sześciu cali. Ciekawe, co oni tu zwykle trzymali?

Pytanie było z gatunku retorycznych, zresztą i tak nie byłoby kogo spytać - wszyscy sobie poszli, łącznie z gawiedzią. W oddali pozostała jedynie para łuczników obserwujących niebo, a po chwili przed klatką pojawił się kapłan, wsunął przez bale miskę ochłapów i uciekł. Na niebie rozbłysły gwiazdy, a od

strony ulicy słysząc było skrzyp wozów i okrzyki.

- Silver? - spytała cicho.

Przez chwilę w uchu panowała cisza, nim rozległ się głos:

- Jestem, Kin. W dodatku znacznie lepiej poinformowana. Nadal dokładnie nie wiadomo, jaki jest twój status. Lothar zdołał cię uratować od natychmiastowej egzekucji. Dowiedziałam się także, jaka jest aktualna sytuacja na dysku, chcesz usłyszeć? I tak cię nie odbijemy, zanim zrobi się zupełnie ciemno: łucznicy na pewno nie widzą w mroku tak dobrze jak Marco.

- No to mów, może się pośmieję. - Kin powąchała zawartość miski i odstawiła ją zdecydowanym ruchem.

Wyglądało i śmierdziało tak, jakby już kogoś przyprawiło o ostrą niestrawność.

- Wszystko to jest wielce interesujące: otóż mieszkańcy są zdania, że albo nastąpił powrót Christosa, albo koniec świata, albo też jedno i drugie. Najpierw niebo płonęło, czyli wrak naszego statku, i były na nim dziwne znaki, a teraz ten dym. Przebywających w mieście można podzielić na dwie kategorie: przybyszów, którzy spieszą na miejsce wydarzenia, i uciekinierów z jego okolic.

- A dlaczego uciekają?

- Bo to strasznie wybredny bóg.

- Skąd to wszystko wiesz?

Nastąpiła cisza i dopiero po chwili Silver zażądała:

- Przyrzeknij, że jeśli wrócimy, nie zdradzisz systemu zbierania informacji, jaki opracowaliśmy. Naraziłabym się mocno międzyplanetarnemu komitetowi do spraw antropologicznych procedur badawczych.

- Przyrzekam - przyrzekła Kin.

- Marco daje w łeb obiecującemu wyglądającemu obiektowi i przylatuje z nim tutaj. A potem obija go, dopóki ten nie powie wszystkiego, o co go pytam.

- Skuteczniejsze od rysowania na piasku? - zachichotała Kin.

- Znacznie.

Przy wejściu na dziedziniec zaczęło się jakieś zamieszanie. Mimo półmroku Kin dostrzegła grupę zbrojnych prowadzących jakąś postać - znacznie od nich wyższą i poruszającą się skokami. Gdy zbliżyła się do klatek, okazało się, że ma humanoidalny kształt, co najmniej trzy metry wzrostu i czarne skrzydła wielkości szanującego się prześcieradła każde. Po zachowaniu sądząc, nie była zbyt odważna, choć miała mocno rozwinięte muskuły, a Kin wydawało się także, że jest pokryta łuską.

Na wszelki wypadek odsunęła się od przegrody, gdy stworzenie wepchnięto do sąsiedniej klatki. Wtedy też dostrzegła, że przybysz ma parę niewielkich rogów i pałające zielone oczy, które zwęziły się, gdy ją dostrzegł. Zbrojni cofnęli się po zatrzaśnięciu drzwi. Stwór eksperymentalnie potrząsnął nimi, mruknął zawiedziony i siadł w przeciwnym kącie, obejmując kolana ramionami.

Kilku zbrojnych wróciło, niosąc coś niewielkiego, ale ostro się wyrrywającego. Kiedy podeszli bliżej, Kin dostrzegła, że jest to istota tego samego gatunku co widziana nocą na wzgórzu - po części człowiek, po części zwierzę i po części owad. Gdy jeden z niosących zwolnił chwyt, by otworzyć klatkę, szamoczący się

stwarek gwizdnął przeraźliwie i chlasnął go przez pierś górną, zakończoną pazurami kończyną. Mężczyzna upadł, a istota uwolniła się, kopnęła drugiego w brzuch odnóżem zakończonym kopytem i zatopiła zęby w ramieniu trzeciego, ale złapano ją ponownie, nim przestała gryźć. Zraniony podniósł się i dzielił ją z półobrotu w łeb, czemu towarzyszył specyficzny odgłos jak przy rozdeptywaniu żuka. Przestała się szamotać i wrzucona do klatki legła nieruchomo na podłodze.

Zbrojni odeszli od klatek, lecz nie opuścili dziedzińca, zajęli się natomiast rozpaleniem ogniska.

- Silver, na dziedzińcu jest z tuzin uzbrojonych strażników - powiedziała zaniepokojona Kin. - Marco nie ma szans się tu przebić.

- Warta jest ze względu na twego towarzysza, a Marco ma plan. Prawdę mówiąc, nawet dwa. Jeśli pierwszy się nie powiedzie, chce wysadzić garkotłuka.

- To nas wszystkich wykończy i zostawi dziurę średnicy mili!

- Owszem, ale wygramy, Koniec cytatu z kunga.

Nigdy nie doszło do wojny między ludźmi i kungami, nie licząc kilku drobnych starć na początku kontaktów, o których zapomniała już i dyplomacja, i historia. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż kungowie nie znali takich pojęć jak: podbój, łaska, jeńcy, czy zasady prowadzenia wojny, ludzie natomiast górowali nad nimi techniką. Marco był skażony zasadami ludzkiego myślenia, ale...

- On mówi poważnie?

- Chyba tak. Myślę, że jest śmiertelnie przerażony. Poza tym mam własny plan.

- Wspaniale, uwielbiam wysłuchiwać planów - mruknęła Kin, świadoma, że sąsiad nie spuszcza z niej świecącego spojrzenia.

- Ułożyłam nocą mowę. Kiedy zbliży się do ciebie kapłan, wyrecytujesz ją. Słuchaj uważnie: jesteś etiopską księżniczką, ocalała z napadu na orszak. Pozostałych wybili zbóje. Żądasz uwolnienia jako christerka dewotka. Twój ojciec też jest tej wiary, a poza tym on jest królem i poważnie się fizycznie zdenerwuje, kiedy usłyszy, jak cię tu traktują.

- Nieco to pokrętne - oceniła Kin, zastanawiając się właśnie, z czego sąsiad ma kości nóg, że przy tym wzroście nie łamią się jak patyki.

- Kin Arad - odezwał się nagle skrzydlaty.

Kin podskoczyła.

Nic poza nią się nie poruszyło - skrzydlaty demon wciąż siedział skulony i choć nie była pewna, nie wydawało jej się, by poruszył ustami.

- Jestem Kin Arad - potwierdziła głośno na wszelki wypadek.

- Jakie jest twoje dominium? - padło kolejne pytanie w doskonałym wspólnym.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- Jestem Sphandor z dominium Agliera. Nie potrafię określić twego dominium czy też miejsca.

- On chyba gada w shandyjskim - odezwała się Silver.

- Mów. Jesteśmy partnerami w potrzebie?

- Ja go słyszę we wspólnym - odparła Kin. - I wydaje mi się, że to jakaś odmiana telepatii, bo nie porusza ustami, a jak porusza, to niewłaściwie.

- Nie mamroc! Myślisz, że nie wiem o stworzeniach, z którymi rozmawiasz, używając mocy błyskawic? To myślący niedźwiedź i wyprostowana żaba o czterech rękach. I urządzenie przygotowujące jedzenie lepiej, niż potrafi to huictiigraras.

- Czytasz w moich myślach?!

- Oczywiście, że czytam, idiotko! Choć to niełatwe: jesteś z tego świata, ale i nie jesteś. Nie należysz też do Bractwa Przeklętych, a złapali cię Rozmodleni.

- Niech gada - poleciała Silver.

- Christerzy myślą, że jestem duchem wodnym.

- Duchy nie potrafią mówić i mają niską inteligencję, wszyscy o tym wiedzą! Podobnie jak to tu! - kopnął leżącego na podłodze stworka, który pisnął cienko.

- Jest ranny. Możemy jakoś mu pomóc? - zainteresowała się Kin.

- A dlaczego mielibyśmy? To ledwie wie, że żyje. Elfy mnożą się jak muchy w lasach. Uważasz, że ładnie grają, ale robią to bezmyślnie: zupełnie jak koniki polne. Sądzę, że masz coś wspólnego z eksplozją, jaka wytrąciła mnie trzy dni temu z powietrza.

- No tak... widzisz, był taki latający dywan i...

- Statek kosmiczny ważący trzy tysiące ton - zgodził się Sphandor. - Uderzył z prędkością czterystu mil na godzinę.

- Rozumiesz, co znaczą te słowa?

- Nie, ale ty o nich myślałaś. Z powietrza wytrąciła mnie fala uderzeniowa i związali mnie, bo nie zdążyłem odlecieć. Jeśli odzyskam wolność, poobrywani im uszy!

Demon musiał być z próbki - tego Kin była pewna: nic takiego nie mogło naturalnie wyewoluować, tym bardziej że aby był zdolny do lotu, musiałby mieć puste wewnątrz kości jak ptak, a te nie utrzymałyby masy ciała. Musiała go o to wypytać, ale później.

- Chcę stąd uciec - powiedziała. - Silver. W uchu panowała cisza.

- Ja też, ale jest to niestety niemożliwe. Jutro staniemy przed sądem biskupim i ja na pewno zostanę skazany na śmierć.

- Będą traciли czas na sądy, uważając, że nadchodzi ich bóg?

- Właśnie to jest dodatkową motywacją wykonywania tego, co uważają za swój obowiązek, Kin Arad.

- A za co cię skazą?

- Jestem Sphandor! Roznoszę artretyzm i reumatyzm, nie mówiąc o bólach krzyża. Powoduję zarazy zbóż i poronienia krów. Mówią, że paskudzę rzeki i ciskam płonące kamienie.

- A robisz to?

- Chyba tak. Na pewno zawsze chciałem.

Kin spojrzała w stronę ogniska - wartownicy rozeszli się, ale wyraźnie było widać ich sylwetki - wszyscy zgodnie obserwowali zachodzące słońce i inne obszary nieba.

- Uważają, że moi bracia mnie uwolnią - wyjaśnił Sphandor. - Akurat!

Kin obserwowała mimochodem, że jakiś kapłan wszedł na dziedziniec, niosąc tacę z jedzeniem. Zaczęła obserwować uważniej, gdy podszedł doń jeden z wartowników, wziął z tacy miskę i nagle zeszytniał, po czym zwałił się bezgłośnie. Trzecia ręka trzymająca miecz cofnęła się pod szatę, a do leżącego podbiegli inni, zwabieni krzykiem kapłana.

W kręgu uzbrojonych ludzi eksplodował żywy granat.

Dwóch wartowników padło natychmiast, dwóch innych zdołało odbiec parę kroków, choć w ich piersiach tkwiły już noże, a w powstałą lukę wpadł Marco, wyjąc radośnie jak szalona hiena, i zaczął szerzyć śmierć i zniszczenie za pomocą broni białej, kungijskiego digitsu i ślepej furii. Łucznicy, którzy nie przyłączyli się do zbiegowiska, zaczęli strzelać, ale bez rezultatu.

Sphandor zachichotał.

Nie mając już w pobliżu żywego przeciwnika, Marco wzniósł okrzyk bojowy swej rasy i skierował się ku najbliższemu łucznikowi. Ten wypuścił strzałę, która trafiła kunga w pierś z taką siłą, że aż się zakołysał. Łucznik wciąż wpatrywał się w strzałę osłupiałym wzrokiem, gdy para silnych dłoni złapała go za gardło, a druga rozwalila czaszkę.

Pozostali na nogach wartownicy zgodnie rzucili broń i pognali ku wyjściu.

- Marco! - wrzasnęła rozpaczliwie Kin. - Klucze! Znajdź klucze!

Marco spojrzał na nią ogłupiały, zerknął w górę i uskoczył. Z nieba spłynął biały kształt ciągnący za sobą garkotłuka. Silver wylądowała leciusiętko niczym piórko, Marco zaś oprzytomniał na tyle, by wyrwać sobie z piersi strzałę. Oglądał ją teraz z lekkim zaciekawieniem.

- Ładne - stwierdził Sphandor. Silver oceniła bale tworzące kratę.

- Nie lubię niszczyć prywatnej własności - sarknęła - ale najważniejszy jest pośpiech.

Cofnęła się parę kroków i z krótkiego rozbiegu staranowała bale ramieniem. Żaden nie wytrzymał. Kin przeskoczyła przez drewniane szczątki, a Silver wskazała Sphandora.

- Co z nim robimy?

- Błagam! - odezwał się demon.

- Wypuszczamy. - Kin włożyła kombinezon. - Niech sobie roznosi tę sraczkę czy co tam, gdzie mu się żywnie podoba.

- A roznosi? - zainteresowała się Silver. - Zawsze sądziłam, że to zabobon i mit.

- Ten tu jest podobno ruchomym nosicielem wszelkich zaraz.

- To dlaczego chcesz go wypuścić?

- Bo możemy się od niego dużo dowiedzieć. Gdybyś miała skrupuły, to przypominam ci, że Marco właśnie wyróżnął własnoręcznie z dziesięciu chłopca, a ty brałaś udział w molestowaniu obiektów badań!

Silver przemyślała to. Następnym kopem z półobrotu rozwalila bale drugiej klatki.

- Jak już być złym, to do końca - podsumowała zadowolona.

Nim demon wydostał się z klatki, Marco pokazał mu wymownie dwa noże gotowe do rzutu. Wokół rany na piersiach miał wspomnienie po różowej krwi. Być może martwy łucznik zastanowiłby się, co robi,

gdyby wiedział, że kungowie w szale bojowym dosłownie pływają w regeneracyjnych enzymach. Na ludziach zawsze wrażenie robił widok ran zasklepiających się na przeciwniku w trakcie walki.

- Nie ufam mu - warknął Marco. - Silver, łap go!

Silver złapała demona za ogon i drugą ręką zarzuciła mu na szyję wcześniej przygotowaną pętlę. Nie spotkało się to z jego zrozumieniem.

- Ty zawieszona, rozkładająca się kupo...

- Zamknij się! - poradził mu Marco, biorąc od Silver drugi koniec linki. - Wszyscy gotowi? To ruszamy, bo ci tam przestaną się wreszcie bać.

Cała trójka wzniosła się bez problemów, ale Sphandor ani drgnął. Pociągnięty przez wiszącego pięćdziesiąt metrów nad nim Marca wyjaśnił:

- Bez rozbiegu nie polecę.

Kung ruszył do przodu, a demon niżej, w ślad za nim, dał parę susów, machając zawzięcie skrzydłami, czemu towarzyszyła chmura kurzu. Po kolejnym skoku jednak zawisł nieruchomo i machając ile wlezie, uniósł się dostojnie w powietrze na podobieństwo przerośniętej czapli. Kiedy znalazł się na tej samej co pozostali wysokości, tylko o sto metrów dalej, złapał oburącz linkę i wrzasnął tryumfalnie:

- Żegnajcie, durnie! - I szarpnął.

Marco w włączonym na pełną moc stabilizatorze skafandra nawet nie drgnął, unosząc się na drugim końcu linki. A kiedy zaczął ją zwijać, żadne rozpaczliwe machanie skrzydłami nic nie dało. Kung dociągnął go na jakieś dwa metry od siebie i spytał cicho:

- Podobno umiesz czytać w myślach...?

- Ale tylko te głośniejsze, panie...

- To poczytaj moje.

Po chwili Sphandor poszarzał ze strachu.

Już nie stawiał oporu, gdy Marco pociągnął go za sobą. I tak zresztą lecieli wolno, gdyż skrzydła demona działały niczym gigantyczne hamulce aerodynamiczne. Ich właściciel szybował za resztą pijanym kursem i kłął całą trójkę, aż powietrze jęczało.

Wichry w górnych warstwach atmosfery rozwiały już dym, tworząc poszarpany grzyb, i jeśli nie liczyć dobiegających z tyłu przekleństw, którymi Sphandor sypał jak z rękawa, panowała cisza. Marco prowadził, Silver i Kin leciały w milczeniu nieco z tyłu. W końcu coś chrypnęło w słuchawkach skafandra Kin.

- Tu Silver, nadawaj tylko na częstotliwości czwartej, to Marco nie będzie słyszał naszej rozmowy. Bo wydaje mi się, że chcesz mi coś powiedzieć.

Kin przełączyła się na wskazaną częstotliwość.

- On ich po prostu zmasakrował! - wybuchnęła. - Nie mieli cienia szansy!

- Fakt, było ich tylko dziesięciu na jednego.

- Chodzi mi o to, że oni nie spodziewali się kunga! A jemu sprawiało to przyjemność! Widziałś go,

zabił nawet uciekających, których zdołał dogonić. Ich jedyną winą było to, że znaleźli się na jego drodze! To nielu...

- Całkowicie - zgodziła się spokojnie Silver.

Nim doszło do pierwszego kontaktu ludzi z kungami, człowiek zetknął się już z rasą shandów, które - jeśli nie liczyć Rozgrywki - nie uznawały wojny, a historię rasy ludzkiej traktowały jako niesympatyczny horror. Dlatego też pierwszy statek, jaki wylądował na planecie kungów był nie uzbrojony. Wyrżnięcie pięcioosobowej załogi przekonało ludzi, że w skali galaktycznej są łagodną i miłą pokój rasą. Może było warto...

- Wydaje nam się, że się wzajemnie rozumiemy - odezwała się Silver. - Razem jemy, handlujemy, mamy przyjaciół należących do innych ras, ale to wszystko jest możliwe jedynie dlatego, że nie w pełni się rozumiemy. Studiowałeś ziemską historię, sądzisz, że potrafisz zrozumieć, jak myślał japoński samuraj tysiące lat temu? A przecież w porównaniu z Markiem czy ze mną to twój brat bliźniak. Kosmopolita w praktyce oznacza tu tylko galaktycznego turystę, zdolnego porozumiewać się wyłącznie w najprostszych kwestiach. Pochodzimy z różnych światów, różnych środowisk i różnych kultur. I zawsze tak będzie.

- Jeśli ten latający rzeczywiście potrafi czytać w myślach, to nic dziwnego, że Marco napędził mu stracha.

- O czym wy tyle czasu gadacie? - na ogólnym kanale rozległ się podejrzliwy głos Marca.

- O żeńskiej higienie - odpaliła Silver. - Nie powinniśmy czasami wylądować? Przydałoby się przesłuchać to stworzenie.

- Racja. Poszukam odpowiedniego miejsca. Przepraszam, że wam przeszkodziłem. - W słuchawkach kliknęło i Marco się wyłączył.

Rozległo się za to coś, co można uznać za chichot shanda.

- Jeszcze jedno - powiedziała Silver, gdy przestała hałasować. - Kruki to najpopularniejsze ptaki na Ziemi?

- Nie bardzo. A dlaczego pytasz?

- Bo jeden ciągle znajduje się w zasięgu wzroku, odkąd opuściliśmy Eiricka. Czasami leci z tyłu, czasami obok.

- To może być przypadek.

- Kin, czasami lecieliśmy ponad sto mil na godzinę!

- I on nam dotrzymywał kroku?!

- Tak. Tylko się nie rozglądaj, bo i tak nic nie zauważysz: trzyma się poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Zauważyłam go parę razy przypadkiem, dopiero potem zaczęłam go obserwować. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z latającym robotem.

- Na statku był kruk - powiedziała wolno Kin. - Wydostał się z klatki, pamiętasz? A wcześniej zjawił się nie wiadomo skąd chyba na stacji Linii na Kung. Tylko że zabiliśmy go próżnią...

- A zabiliśmy?

Przelecieli nad wioską, w której poruszały się jedynie płomienie jakiejś płonącej chałupy i Marco przekazał Kin linkę, by z lotu koszącego sprawdzić zabudowania. Sphandor zawisł w powietrzu, ciężko

machając skrzydłami. Kin miała wreszcie okazję przyjrzeć mu się za dnia.

Nie ulegało wątpliwości - to nie jej się w oczach ćmiło, naprawdę demon miał rozmazane brzegi.

- Też to widzę - odezwała się Silver. - Jakby był lekko nieostry. Dziwne.

Sphandor przyglądał im się z wyrzutem.

- Chcecie mnie zabić! - zaskomłał.

- Nie chcemy, jeśli nie będziesz próbował wyrządzić nam krzywdy - wyjaśniła Kin.

- Ten chudy z rękami jak Kali chce zaraz mnie zabić.

- Nie tylko ciebie, on ma takie podejście do wszechświata jako całości - pocieszyła go Kin. - Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

- Skłonię Beritha, by dał ci złoto! Przywołam Tresolay, by uczynić cię jeszcze piękniejszą, a...

Marco wylądował na błotnistym poletku, które gdyby nie znajdowało się pośrodku wioski, nigdy nie awansowałoby do miana placu.

- Pusto - zameldował. - Jeśli nie liczyć trupów. Lądujcie.

Sphandora przywiązano do słupa w czymś, co było wioskową kuźnią. Kin, korzystając z okazji, dotknęła delikatnie jego skóry - demon zdawał się wibrować niczym żyrandol w filharmonii, skóra zaś pokryta łuską, w dotyku przypominała naelektryzowane futro. Zajęła się rozwiązaniem zagadki wyglądu Sphandora, siedząc w cieniu i przyglądając się, jak Silver rozbebesza garkotłuka, posiłkując się instrukcją obsługi wyjętą z jego szuflady.

Kin obudziła się, gdy słońce stało już wysoko, a komponenty garkotłuka znalazły się na podjeździe do kuźni. Silver do połowy tkwiła we wnętrznościach urządzenia. Sphandor podskakiwał niecierpliwie w pobliżu, ciągle uwiązany do słupa, i podawał jej narzędzia. W pewnym momencie podał jej lutownicę zrobioną z miedzianego drutu i stali, rozgrzaną w palenisku. Zrobił to, łapiąc za rozgrzany do czerwoności koniec, po który sięgnął między białe od żaru węgle. W jej wyciągniętą dłoń wsunął w miarę chłodny koniec.

- Właśnie złapał rozpalone żelazo za cieplejszy koniec - poinformowała ją Kin.

Silver spojrzała na nią tępo, przeniosła wzrok na Sphandora, potem na to, co trzymała w garści, a w końcu na Kin. Wzruszyła ramionami i wróciła do pracy, sprawiając wrażenie niezwykle zajętej.

- Demony z zasady są nieczułe na gorąco - oznajmiła, nie wychylając się z wnętrza maszyny.

- Co z garkotłukiem?

- Drobnie uszkodzenie, ale znasz złośliwość przedmiotów martwych: trzeba go do połowy rozebrać, żeby móc dojść do potrzebnego przewodu. Prawie skończyłam.

Kin wstała, przeciągnęła się i wyszła na plac. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę i spojrzała w niebo.

- Siedzi na tym kamiennym budynku za tobą - poinformowała ją Silver, nie podnosząc głowy.

- Myślisz, że to jakiś elektroniczny szpieg?

- Tak właśnie myślę.

- A gdzie jest Marco? - spytała Kin, rozglądając się wokół. - Najwyższy czas przesłuchać tego tam nieostrego.

- Protestuję!

Silver zabrała się do składania maszyny, co szło jej znacznie szybciej.

- Powiedział, że się rozejrzy- odparła, nie przerywając pracy. - Poinformowałam go o kruku.

- Szkoda, teraz będzie kombinował, jak go złapać. Sphandor może nam więcej powiedzieć... choćby o teleportacji.

Silver założyła ostatni panel i przyjrzała się uważnie demonowi, który wyraźnie skurczył się w sobie. Podeszła bliżej, więc bezskutecznie próbował schować się za słup. W końcu wzięła elektroniczną lupę znajdującą się w zestawie narzędzi garkotłuka i starannie obejrzała skórę przerażonego demona.

- Wnioskowanie godne najwyższej pochwały - oceniła. - Jak na to wpadłaś, Kin?

- On nie ma prawa latać nawet przy tej muskulaturze, a już na pewno chodzić: powinien mieć nogi jak słoń przy tej wadze. Jeśli doda się do tego wibracje i rozmycie brzegów...

Silver wyłączyła elektrolupę.

- Rozmycie jest prawdopodobnie efektem ubocznym rozregulowania teleportera - powiedziała z namysłem. - Zgrabne, muszę przyznać. Prawdę mówiąc, Kin, dysk jest nieważny: to tylko zabawka, choć groźna. Ale to zupełnie inna sprawa. To jest coś, co ze wszech miar warto byłoby mieć.

- Też tak sędzę. Dlatego należy odszukać Marca!

Znalazły go po dłuższej chwili w dominującej nad wioską kamiennej budowli z kwadratową wieżą. Marco stał nieruchomo niczym posąg w pobliżu wejścia, trzymając w dwóch dłoniach długie świeczniki.

- Co to za miejsce? - spytała Kin, spoglądając na pogrążony w półmroku sufit.

- Świątynia, jak sędzę. Zastanawiałem się nad zbadaniem wieży, ma wewnątrz schody - odparł nienaturalnie radośnie, przyglądając się jej dziwnie. - Widok z góry powinien być tego wart i moglibyśmy zaplanować ciąg dalszy dzisiejszej podróży bez używania i tak słabych zasilaczy.

- Jak to słabych? Przecież... - Kin zamilkła, widząc gwałtowną gestykulację wolnych kończyn kunga.

- Musimy oszczędzać energię! - oznajmił, aż echo poszło. - Przyłożył palec do ust, nakazując im milczenie. - Silver, zostań tu - polecił. - Chcę pokazać coś Kin.

Nim zdążyła się ruszyć, powstrzymał ją gestem. Sam ruszył, z wprawą operując lichtarzami tak, że uzyskał dźwięk do złudzenia przypominający kroki dwóch osób po kamiennej posadzce.

Kin była pewna, że tym razem zwariował do reszty.

Silver natomiast uśmiechała się lekko.

Marco wrócił, wciąż stukając świecami.

- Dobra, chodźmy na wieżę - zaproponował. - Tędy.

Wręczył Kin lichtarze i wskazał przeciwny koniec korytarza, a sam bezgłośnie podszedł do drzwi i rozpląszczył się na ścianie w ich pobliżu.

- No, to chodźmy - powiedziała słabo Kin, machając zawzięcie lichtarzami.

- Wiesz, Marco, dowiedzieliśmy się czegoś ciekawego - odezwała się nagle Silver, z rozbawieniem obserwując pantomimę Kin.

- Czego? - spytała zaraz potem głosem kunga.

- Wiesz, że bez skutku próbowano teleportacji jako sposobu transportu? Zdaje się, że na dysku rozwiązali ten problem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Kin to zauważyła, niech ci opowie. Kin zdecydowała, że nie ma wyjścia, bo inaczej oboje stwierdzą, że zwariowała.

- W teorii teleportacja powinna działać - wyjaśniła. - To logiczne rozwinięcie zasady działania warstwiarki czy garkotłuka. Kompania poświęciła tej kwestii mnóstwo czasu i pieniędzy i jak dotąd bez efektu. Udał się jedynie mniej więcej dwumilisekundowy teleport, i to z wykorzystaniem olbrzymiej ilości energii, a potem obiekt wrócił w to samo miejsce.

- Słyszałem o tym - stwierdziła Silver głosem kunga. - Zupełnie jakbyś próbowała rzucić piłkę przyczepioną gumą do ręki.

- Wychodzi na to, że są jakieś nie znane nam prawa nakazujące przebywanie obiektom w przewidzianym punkcie czasoprzestrzeni.

- A co to ma wspólnego z demonem?

- To, że on jest teleportowany około stu razy na sekundę, dzięki czemu może pozostawać tutaj mimo błyskawicznych powrotów tam, czyli w miejsce wysyłki. Właśnie w ten sposób może latać: wystarczy, że przesuwają lekko miejsce teleportacji. Widzi i słyszy wszystko, co się tu dzieje, można go nawet dotknąć, ale tak naprawdę go tu nie ma. Pojęcia nie mam, dlaczego pozostaje przywiązany... - Kin zamyśliła się. - W każdej chwili mogli go przecież przesunąć poza pętlę...

- W takim razie im szybciej wrócimy...

Coś wrzasnęło.

Kiedy zdyszane dopadły drzwi, Marco czwororącz trzymał czarny opierzony kształt przyglądający mu się nieżyczliwie parą przypominających paciorki oczu.

- Właśnie raczył wlecieć - poinformował je tryumfalnie.

- Można się dowiedzieć, co to za cyrk z tymi świecznikami? - spytała Kin.

Silver najpierw parsknęła, a potem wyjaśniła z lekkim politowaniem:

- Marco wywnioskował, że robot musi mieć bardzo czuły system nasłuchowy. Założył logicznie, że jeśli usłyszysz, że wszyscy wchodzimy na wieżę, to poleci za nami.

- Jest za ciężki na ptaka, musi być robotem - przerwał jej Marco. - Teraz możemy skontaktować się z kontrolerami dysku i...

Urwał, gdyż kruk obrócił głowę o sto osiemdziesiąt stopni i oświadczył:

- To ty, łachu, próbowałeś wyrzucić mnie w pustkę! Zaraz się przekonasz, co się przytrafia takim, którzy nie szanują Oczu Boga.

Marco otworzył usta, ale zaraz je zamknął z trzaskiem.

- Pożegnaj się z łapami, jeśli za pięć sekund nadal będziesz mnie trzymał - dodał kruk. - Cztery...

trzy... dwa...

Spomiędzy piór zaczęło dymić.

- Marco!

Dłonie kunga cofnęły się gwałtownie. Kruk pozostał, gdzie był, unosząc się na cienkim słupie płomienia o takiej temperaturze, że popękały kamienne płyty posadzki niczym lód na wiosnę. A potem kruka już nie było, za to z góry posypały się kawałki dachu. Nad głowami mieli poszarpaną dziurę, przez którą doleciał cichnący krzyk:

- Pożałujecieeee!

- Gadaj! - zasugerował Marco.

- Błagam...

- Kto kieruje dyskiem? Gdzie ich można znaleźć? Jak się z nimi skontaktować? Potrzebujemy dokładnych wskazówek i szczegółowej analizy ryzyka.

Kin jęknęła w duchu, podeszła do demona i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Może zaczniemy od czegoś prostszego - zaproponowała. - Skąd pochodzisz, Sphandor.

- Zawsze wiedziałem, że pies z bólami brzucha przystanął koło kłody i słońce mnie wykluło, pani.

Nie pozwól mu się do mnie zbliżyć! Widzę jego myśli i...

- Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

- Tak? - prychnął Marco. - Ciekawe w jaki sposób? Kin zignorowała go, podobnie jak jego dwie zabandażowane dłonie.

- Pośrodku dysku znajduje się wyspa - powiedziała uprzejmie. - Opowiedz mi o niej, Sphandor.

- Żyją na niej wielkie bestie, o pani. A przynajmniej tak słyszałem. Nikt z nas nie może się tam zbliżyć z powodu potężnego bólu i agonii. Świat znika i potem taki nieszczęśliwiec budzi się w nowym miejscu w agonii.

- Jak słyszę, próbowałeś?

- Tam jest tylko czarny piasek, pani. I kości statków. A na środku wyspy wznosi się miedziana kopuła zawierająca straszne rzeczy, których oszukać nie sposób.

Kin próbowała jeszcze z dziesięć minut, nim uznała się za pokonaną.

- Wierzę mu - oświadczyła, podchodząc do pozostałych i programując garkotłuka na kubek kawy.

- On jest wytworem skomplikowanej technologii - sprzeciwił się Marco.

- Jest. Ale jest też przekonany, że jest demonem. To co mam zrobić? Klócić się z nim?

- Może jak mu odetnę stopę, zmieni zdanie? - Marco sięgnął po miecz.

- Nie zmieni - wtrąciła Silver, bębniąca dotąd w zamyśleniu o korpus garkotłuka. - Przynajmniej nie sądzę, żeby zmienił. Musimy założyć, że budowniczowie dysku myślą jak ludzie, a ludzie są strasznie przywiązani do łaski i uczciwej gry, przynajmniej dopóki nie koliduje to z ich interesami. Dlatego proponuję go wypuścić, zademonstrujemy w ten sposób naszą moralną przewagę, udowadniając, że jesteśmy miłośnikami i cywilizowani. Poza tym wątpię, by mógł nam się jeszcze na coś przydać.

Ostatnie zdanie powiedziała ciszej, odruchowo rozglądając się za krukami.

Marco milczał, Kin przytaknęła, Silver więc podeszła do demona i uwolniła go z więzów. Sphandor

przyjrzał się uważnie całej trójce wyszedł przed kuźnię. Po chwili wzbił się w niebo, wzbijając przy tym swoim zwyczajem tuman kurzu, i zawisł jakieś piętnaście metrów nad ziemią.

- Zaigonen tryon (tfgki) berigo hurshim!

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o wdzięczność -skomentowała Silver.

- Rozumiesz, co on mówi? - zdziwiła się Kin.

- Nie, ale ton mówi sam za siebie.

- Asfalago tegeram! Nema! Dwolah narma! Gdzieście są, psie syny, ośle podogonia, zawszo...

Nieeeeeee...

Przez chwilę demon był czarną chmurą pełną migocących, niewyraźnych obrazów, a potem zniknął. Powstała nagle dziurę z hukiem wypełniło powietrze.

Lecieli szybko i wysoko nad lasem ściętym przez spadający wrak. Kolumna dymu rzedła, ale całe niebo było zaciągnięte, gdyż znajdowali się ledwie o parę mil od niej. Marco jak zwykle prowadził, a lecąca za nim Kin z zadowoleniem stwierdziła, że mimo dymnej zasłony wciąż widzi.

Choć obiektywnie nie bardzo było się z czego cieszyć - w dole rozciągał się krajobraz z piekła rodem. Po dobrych pięciu minutach lotu w dymie odezwał się Marco:

- Nie rozumiem: nie ma śladu promieniowania, a zniszczenia są zbyt wielkie... Silver!

Pod nimi płonął pijany las, lecz nim Silver zdążyła odpowiedzieć, las zniknął razem z ziemią, zupełnie jakby przelatywali nad olbrzymim zboczem.

- Nic nie widzę w tym dymie - poskarżyła się Silver. - A ty, Marco?

Marco widział, mając wzrok bardziej przystosowany do nocnej aktywności - zaklął, zwolnił, więc zrobili to samo. Po chwili dryfowali razem, a Marco wciąż wpatrywał się w dół.

- Nie wierzę - powiedział w końcu cicho. - Ale sprawdzę. W dół!

- Lecę na ślepo - ostrzegła Silver. - Musisz mną kierować, żeby nie uderzyła o powierzchnię.

- Nie uderzysz...

Opuszczali się dość długo i Kin na serio zaczęła się bać zderzenia z gruntem, gdy nagle wydostali się z dymu na oświetloną blaskiem księżyca przestrzeń.

Tyle że księżyc świecił od dołu.

Utrata równowagi złapała ją jak imadło. Przestrzeń nie robiła na Kin wrażenia, bo wszędzie było w dół i żaden kierunek nie miał znaczenia. Ślizganie się nad powierzchnią było w porządku, nie różniło się niczym od pilotowania pojazdu. Ale wiszenie nad dziurą w świecie to zupełnie inna sprawa.

Księżyc świecił jej pod nogami na końcu tunelu biegnącego w dół, w dół i w dół...

- Będzie z pięć mil długa, jak sądzisz, Silver? - Głos Marca dobiegł z dziwnie dużej odległości. - I ze dwie szeroka. Co z tobą, Kin?

- Hę?

- Nadal obniżasz lot.

Ocknęła się i wyłączyła opadanie. Mniej więcej o jakieś ćwierć mili na linii jej wzroku znajdował się

poszarpany brzeg dziury usiany skalnymi złomami. Powoli opuściła wzrok - poniżej było więcej skał, a potem linia czegoś metalicznego. I rura, z której wypływała woda.

Kin zaczęła się histerycznie śmiać.

- Pięknie! - wykrztusiła. - Nie musimy nigdzie lecieć, wystarczy poczekać na ekipę remontową. Tylko wiecie, jak to jest z hydraulikami: nigdy ich nie ma, kiedy są naprawdę...

- Przestań pieprzyć! - warknął Marco. - Silver, zajmij się nią!

I poszybował w dół tak szybko, że Kin ledwie nadała za nim wzrokiem... nagle coś nią szarpnęło - okazało się, że była to Silver odholowująca ją znad dziury. Po chwili rozległ się w słuchawkach głos Marca:

- Ta rura ma trzydzieści metrów średnicy! A woda zbiera się o dwie mile niżej w powietrzu, dlatego nie ma tu huraganu czy innych zmian pogodowych: tam jest coś w rodzaju pola grawitacyjnego. Niedługo będzie tam też niezłe jezioro... Opuściłem się czterdzieści metrów, wygląda na eksplozję w stacji zasilania. Poprzerywane kable, przewody i takie różne... w rozmaitych kolorach. I coś, co wygląda jak tunel techniczny, Silver?

- Słyszę, wychodzi na to, że wrak trafił na jedno z urządzeń pogodowych i spowodował jego zniszczenie.

- Na to wygląda - zgodził się Marco. - Tu jest cała masa stopionych rzeczy... nieważne, tu jest tunel! Prawdziwy, półkolisty tunel z szynami. Całe wnętrze dysku to jedna olbrzymia maszyna. Spokojnie zmieści się tutaj statek kosmiczny, ma osiemnaście torów na podłodze. Ale jest do połowy zasypany.

- Wrak zderzył się z dyskiem pięć dni temu - Silver nagle oprzytomniała. - Czyli mieli prawie pięć dni na naprawy... Marco, budowniczo dysku nie żyją, nie ma innego wytłumaczenia!

- Nie widzę żadnych śladów napraw... - dobiegło z dziury.

- Właśnie. A to nie jest normalne, podobnie jak zachowanie mórz czy ciał niebieskich. Coś się gdzieś poważnie zepsuło, i to przed zderzeniem, nie po. W jakim kierunku biegnie ten tunel? I czy jest także po drugiej stronie dziury?

- Jest - poinformował Marco po chwili. - A biegnie prosto od środka do brzegu. Zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby dalej nim polecieć...

- ...ale większe szansę w wypadku zagrożenia mamy na otwartej przestrzeni. Prawda.

Kin ostrożnie otworzyła oczy. Unosiła się na szczęście nad ziemią - zmasakrowaną, spaloną i częściowo stopioną, ale wciąż solidną.

- Dzięki - wykrztusiła. - Głupie, prawda? Moi przodkowie zwisali z drzew i nic im nie było.

- Nie ma się czego wstydzić - pocieszyła ją Silver. - Ja nie lubię na przykład ciemności. Każdy ma jakąś fobię. Kin? Co ci jest, bo zbladłaś aż strach...

Kin nawet nie próbowała wydać z siebie dźwięku. Wyciągnęła tylko rękę, pokazując to, co wylaniało się z dziury za plecami Silver. Owo coś wylaniało się z trudem, bo było za duże, a kojarzyło jej się nieodparcie z pomnikiem Tryggvasona - jedną z atrakcji turystycznych Valhalli. Na pomnik składały się wykute w skale i mierzące po kilkaset stóp wysokości głowy czterech prezydentów: Halfdana, Thorbjorna, Weasela Moccasina i Teuhtlile'a.

Stworzenie miało trzy łby i tylko jeden z nich był ludzki; drugi przypominał żabi, a trzeci jakiegoś

insekta, ale skojarzenie było jednoznaczne. To był pomnik Tryggvasona. Łby łączyły się w chorobliwie nieprawdopodobny sposób w jedną głowę z trzema koronami na szczycie. Pod łbami zwieszał się pęk pajęczych nóg średniej długości stu metrów każda.

Efekt ogólny psuło to, że przez straszidło przeświecała przeciwnieległa ściana dziury.

- Marco! - odezwała się Silver.

- Nie sądzę, żeby można się było czegoś więcej dowiedzieć tu na...

- Minęło cię coś po drodze?

- Nie rozumiem.

- To unieś głowę.

- O, szlag!

Kin prawie się udusiła.

- Spokojnie - pocieszyła ją Silver. - Nie bój się.

- Czego - chrypnęła Kin, odzyskując dar mowy. - Holoprojekcji dobrej do straszenia dzieci? Nie boję się, Silver, po prostu jestem zwyczajnie wściekła! Jeśli wrócimy, dopilnuję, żeby ten, kto zbudował dysk, zapłacił za to. I nic mnie nie obchodzi, kto to będzie! Zbudowali to dziwactwo, gdzie ludzie spadają za krawędź świata, są ścigani przez demony i muszą być przesądni, by przeżyć! Doprowadzę ich do bankructwa, choćby to była ostatnia rzecz w moim życiu.

Z wyrwy wyrzelił niczym rakietą Marco, wyhamowując w samym środku oka maskiary niczym iskra w mózgu Boga.

- Hologram! - ucieszył się nie wiadomo czemu.

Ludzka twarz skrzywiła się i otworzyła usta. Westchnienie odbiło się echem nie wiadomo od czego, a ledwie przebrzmiało, niebo rozdarła błyskawica, trafiając w garkotłuka i niszcząc go tak doszczętnie, że spadły jedynie krople roztopionego metalu.

O skafander Kin bębniły krople. Teraz lecieli już na czas - za mniej więcej pięćdziesiąt godzin Silver dostanie szau i spróbuje samobójstwa. Ludzie i kungowie mogą długo wytrzymać bez jedzenia, shandy tego nie potrafią. Wokół szalała burza, ale Marco skierował się w górę i po krótkim locie znaleźli się ponad chmurami na skąpanym w promieniach zachodzącego słońca niebie.

Samo słońce było daleko z tyłu - czerwone, rozgniewane i przesłonięte chmurami. Sądząc po wyglądzie nieba, na całym dysku panowała zła pogoda, a niektóre chmury miały zgoła zwariowane kształty.

- Mamy przed sobą ponad tysiąc mil - Marco wreszcie przestał milczeć.

- Czyli musimy lecieć co najmniej dwadzieścia mil na godzinę - odparła Kin. - Nawet wliczając kilka krótkich postojów, powinniśmy zdążyć do tej wyspy.

- I co? Znajdziemy tam garkotłuka?

- Kto potrafi zbudować dysk, powinien być zdolny do skonstruowania tak prostego w sumie urządzenia.

- To dlaczego nie naprawili tej dziury? Albo Eirick i Lothar to potomkowie budowniczych cofnięci do barbarzyństwa, albo budowniczowie nie żyją.

- Niech będzie. Masz lepsze pomysły? Marco tylko coś mruknął.

Silver leciała dobrą milę za nimi i jedynie od czasu do czasu pomrukiwała na znak, że się nie wyłączyła.

- Jeśli Kompania zbudowała dysk, to jest szansa, że go znajdziemy - powiedziała niespodziewanie.

- Tylko nie protestuj, Kin. To może być część polityki, o której nie masz pojęcia. Tak na marginesie, z pół mili za mną leci kruka.

Kin nie odezwała się, obserwując przemykające w dole chmury. Polityka... no tak, to mogło wszystko wyjaśnić...

Spindle, wheelerzy, paleotechy, ckthoni - oni wszyscy zamieszkiwali wszechświat. Wszechświat to byli właśnie jego mieszkańcy.

Był taki czas, kiedy astrohistorycy sądzili, że wszechświat to kiedyś była pusta scena albo płótno czekające na pędzel życia. Teraz dominowała teoria, że życie samo z siebie pojawiło się w ciągu trzech mikrosekund po pierwotnej eksplozji. Gdyby bowiem tak się nie stało, wszechświat składałby się z przypadkowej materii - to właśnie Życie ukierunkowało jego rozwój. Pierwotnie życie rezydowało w mgławicach wirujących cząstek, z których powstały gwiazdy, a każda z nich stanowiła szkielet jakiegoś dinozaura jurajskiego wszechświata.

Później organizmy żywe stały się mniejsze i inteligentniejsze, choć niektóre, jak wheelerzy, stały się także martwą gałęzią ewolucji. Inne, na przykład spindle czy shameleony, były sukcesem ewolucyjnym - przetrwały naprawdę długo. Lecz każda rasa w końcu musi wymrzeć, dlatego wszechświat to jedno wielkie cmentarzysko, w którym grobowce wyrastają z mauzoleów - kometa rozświetlająca jakieś pogańskie niebo to z mumifikowany korpus naukowca żyjącego eony temu.

Dlatego polityka Kompanii była prosta i sprowadzała się do jednego: uczynić człowieka nieśmiertelnym. Naturalnie było to przedsięwzięcie czasochłonne i zaczęło się niedawno, lecz jeśli człowiek znalazłby się na wystarczająco dużej liczbie rozmaitych planet, w efekcie przetrwałby jako rasa. Prawda - byłyby to rozmaite rodzaje człowieka, różniące się fizycznie i psychicznie, gdyż kształtowałyby się w rozmaitych warunkach, kulturach i środowiskach, lecz nadal byłby to człowiek. I uniknąłby losu spindli, które wymarły, gdyż niczym się od siebie nie różniły.

Wszechświat nie mógł mieć naturalnego końca, gdyż nie był naturalnym bytem, lecz sumą żyć, które go kształtowały - ludzie więc mogli żyć wiecznie - dopóki żyli, dopóty wszechświat musiał istnieć. Dlaczego nie mieliby chcieć?

Należało zachować odpowiednie banki memów i pomysłów - to była tajemnica sukcesu, a mając do dyspozycji setki planet, można było być pewnym rozwoju różnych nauk, dziwnych przekonań czy nawet rozmaitych religii, dla których znalazłby się jakieś ciche kąty. Ziemia była zjednoczoną cywilizacją, i to właśnie ona nie doprowadziło do wymarcia rasy ludzkiej. Rozmaitość była jedynym sposobem, by zawsze

gdzieś był ktoś przygotowany na dowolną niespodziankę jaką przyniesie przyszłość. Być może mieszkańcy płaskiego świata, nawiedzanego przez demony i oddzielonego od innych przepaścią z wodospadem, mogli dostarczyć nie spotykane nigdzie indziej memy?

Kin spróbowała to wyjaśnić Marcowi.

- Co to są memy? - kung zaczął od najważniejszego.

- Mentalne geny: pomysły, podejście do różnych rzeczy, technika. Problem w tym, że te, które mogą się tutaj wykształcić, są szkodliwe dla ich nosicieli, choćby antropocentryzm...

W górze świecił blady, czerwony księżyc, a Kin co chwilę odruchowo sprawdzała, czy Silver nadal leci tę milę za nimi. Leciła. Na jej miejscu człowiek żyłby nadzieją, że w końcu znajdzie jedzenie, ale ludzie w przeciwieństwie do shandów byli niepoprawnymi optymistami. A poza tym nie można było od obcych wymagać ludzkiego myślenia - to, że nauczyli się grać w pokera i mówili po łacinie, nie czyniło z nich ludzi. A znając shandy, Kin zastanawiała się, kiedy Silver spróbuje popełnić samobójstwo. Poinformowała też o tym kunga.

- Nic na to nie poradzimy - odparł Marco. - Już postanowiłem, że też nie będę niczego jadł, choć lokalne pożywienie jest przyswajalne.

- Uważasz, że to poprawi jej samopoczucie?

- Raczej nasze, ale nie to mnie chwilowo pochłania. Nie chciałem jeszcze o tym mówić...

- No, to powiedz.

- Spójrz na ekranik na lewym przegubie. Jest tam fluorescencyjna pomarańczowa linia na zielonym tle. Widzisz?

Kin spojrzała na swój przegub.

- Widzę. To nie jest linia, tylko kropka.

- A powinna być linia. Kończy nam się energia. Przez chwilę lecieli w milczeniu, które w końcu przerwała Kin:

- Jak długo?

- Około sześciu godzin dla nas i godzinę mniej dla Silver. To rozwiąże jeden problem: znajdzie się na ziemi o wiele mil za nami.

- Zostanę razem z nią. Marco zdawał się nie słyszeć.

- Gdybyśmy nadal mieli garkotłuka, problem rozwiązałby się sam, bo do wyspy już niedaleko. Moglibyśmy zmusić tubylców, żeby nas tam dostarczyli, i to, zapewniam cię, bez kłopotu. Mogłoby to nawet być zabawne doświadczenie.

- Po co nam takie doświadczenie?

- Jeśli nie znajdziemy budowniczych dysku lub nie zdołamy przekonać ich do pomocy, planuję zorganizować tu imperium. Nie mów mi, że nie przyszło ci to do głowy.

Przyszło, Kin musiała to przyznać. Nie miała też wątpliwości, że Marco postawiłby na swoim, obojętne jak by się nazwał - Czyngis Marco, Marco Cezar czy duce Marco. Czteroręki władca absolutny...

- Jak sądzisz, ile czasu potrzeba, by osiągnąć etap lotów kosmicznych? - spytał przyszły władca. - Gdyby to było naszym głównym celem, rzecz jasna. Wiedzę mamy.

- Nie mamy. Wydaje nam się, że mamy, ale tak na dobrą sprawę potrafimy jedynie obsługiwać rozmaite urządzenia, a nie budować je. Naturalnie statek kosmiczny można zbudować w dziesięć lat...

- Tak szybko?! No, to nie ma...

- Jest problem, bo to, o czym mówię, to prymityw napędzany stałym paliwem, a jego prędkość wystarcza jedynie do staranowania kopuły. Można go wystrzelić, zrzucając poza krawędź, ale żeby nim

gdziekolwiek dolecieć, potrzebne są wieki!

- Wpierw musimy zjednoczyć dysk. - Marco był nastawiony entuzjastycznie. - To akurat nie jest problemem. Mając pięciuset zuchów takich jak chłopcy Leiva...

- Zostaje Silver. - Kin ostudziła jego zapalę. - Poza tym tę wyspę trzeba najpierw dokładnie sprawdzić.

Mimo to musiała przyznać, że w pewien sposób była to pociągająca perspektywa, o której na dodatek sporo myślała, kiedy jeszcze istniał garkotłuk. Wykorzystując go, mogli rzeczywiście podbić dysk i zająć miejsce opuszczone przez jego twórców. Zakładając naturalnie, że ich tu rzeczywiście nie ma. Bez garkotłuka mogli liczyć jedynie na wygodne życie, co dla niej było lepszym wyjściem niż dla pozostałej dwójki - byłiby zawsze obcymi w obcym świecie. Ona znalazłaby się wśród ludzi, choć należało wziąć pod uwagę, że miała więcej wspólnego z Silver i Markiem niż z bandą barbarzyńców. Nie była to miła myśl.

- Skafandry powinny mieć dość energii, by przelecieć przez cały system i wylądować bezpiecznie na planecie - oświadczyła z pretensją.

- Ale nie zostały opracowane z myślą o liczącym wiele tysięcy mil locie wbrew grawitacji, i do tego przy nagłych i dużych zmianach wysokości - przypomniał jej Marco. - To stresujące.

- Że co?!

- Jeśli masz poważne zażalenia, proponuję, żebyś zgłosiła się do wytwórcy. Ja ich nie produkuję.

- Jak... to był żart?!... Słodka godzino!

Świt zastał ich nad półpustynią pod bezchmurnym niebem. Przelecieli nad szlakiem karawan, widocznym głównie dzięki poszarpanemu cieniowi na piasku, i stwierdzili, że lekko ich zniosło z kursu. Według oceny Marca lecieli ku dolinie Tygrysu i Eufratu.

- Co oznacza, że jesteśmy w południowo-wschodniej Turcji - dodał i rozmarzył się. - A to jest w pobliżu Bagdadu... Powinienem chcieć zobaczyć Bagdad.

- Tak? A to dlaczego? - zainteresowała się Kin.

- Jak byłem mały, moi przybrani rodzice kupili mi książkę z opowieściami o magicznych lampach, genach czy jak im tam i innych podobnych. Zrobiła na mnie duże wrażenie.

- Ani mi się waży mówić coś o lądowaniu! - ostrzegła Kin. - Nawet o tym nie myśl!

Nad miastem złożonym z białych budynków zwieńczonych kopułami i otoczonym murem, za którym rozbito wiele namiotów, przelecieli jednak bez problemów. Przepływająca przez nie rzeka za miastem miała zauważalnie inny kolor i na tyle niski poziom, że można było mówić o suszy. Stojące już wysoko słońce powodowało drażniące oczy migotanie piasku, ale była to praktycznie jedyna niedogodność.

Milę dalej skafander Silver odmówił dalszej pracy, jeszcze tylko resztką energii łagodnie opuścił ją na powierzchnię. Pozostali wylądowali również i cała trójka spotkała się w cieniu kępy poskręcanych, słodko pachnących drzew. Kin zdjęła hełm i gorąco uderzyło ją niczym oddech piekła. Było zdecydowanie zbyt ciepło, więc nic dziwnego, że pola wyglądały na spalone, a rzeka przypominała anemicznego węża

ledwie wijącego się wśród spękanych brzegów koryta.

- No... - mruknęła, nie chcąc mówić głośno niczego w stylu: „I to by było na tyle”.
- Jestem zaskoczony - przyznał Marco.
- Chcesz powiedzieć, że nie masz planu?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nieważne. - Kin upiła łyk wody z zapasów skafandra, świadoma, że trzeba zacząć oszczędzać.

Silver siedziała wsparta o pień, przyglądając się obojętnie miastu. Za jej plecami słońce było miedzianym nitem na niebie z rozgrzanego żelaza.

- Właśnie wystartował samolot - odezwała się nagle.

Był stary, łagodnie rzecz ujmując. Twarz miał pomarszczoną niczym zasuszone jabłko, ale brodę starannie przyciętą i przczesaną. Jego oczy zaś nie miały ani białek, ani wyrazu. Z pewnością nie wyglądał na zaskoczonego.

Kin zastanawiała się, czy nie ma przypadkiem do czynienia z budowniczym dysku, obserwując, jak rozmawia z Silver ze skrzyżowanymi nogami. Co prawda ubrany był ze zwykłym barbarzyńskim przepychem, ale nie była arbitrem tutejszej mody. Za to jego pojazd był jak najbardziej nowoczesny, a on wiedział, jak nim latać. W tej chwili, złożony, mieścił się w torbie towarzysza starca, potężnego mężczyzny ubranego jedynie w przepaskę biodrową i ponurą minę.

Mężczyzna dzierżył w garści długą, zakrzywioną szablę i nie spuszczał wzroku z Marca.

Kin przysunęła się do kunga i spytała:

- Ciekawe, gdzie ma blaster? I jeszcze jedno: pamiętasz pomysł Silver, że ja przetrwam na dysku, wykorzystując seks?

- Masz tę przewagę.
- Tym razem nie mam.
- Co proszę?
- Możemy o tym zapomnieć, jeśli chodzi o tego z mieczem. To... - wściekła na samą siebie, zaczerwieniła się nagle. - Pamiętasz może jeszcze coś z tych baśni z dzieciństwa?

Marco miał przez chwilę głupią minę, po czym skrzywił się.

- Aha. To faktycznie szkoda. Całe szczęście, że to rzadkość.
- W tej okolicy i w tych czasach nie taka znowu rzadkość - odparła Kin, odwracając się ku Silver.
- To może być arabski - powiedziała Silver, spoglądając na Kin. - Nigdy nie słyszałam tego języka, znam go tylko w piśmie. Spróbowałam łaciny, którą jak sądzę rozumie, choć się z tym nie zdradza. Ustaliłam jedynie, że chce nasze skafandry.

Kin spojrzała na Marca - miał minę do złudzenia przypominającą radosnego ehfta.

- Powiedz mu, że są bardzo cenne - polecił. - Powiedz mu, że nie wymienimy ich nawet na jego samolot. I że szybko musimy dotrzeć na wybrzeże.

- Nie da się nabrać - zaprotestowała Kin. - Poza tym skafandry prawie nie mają energii.

- To jego problem. Poza tym on o tym nie wie. Mam plan, ale wpierw muszę zobaczyć, jak się kieruje tym latającym chodnikiem. Powiedz mu, Silver, że tu jest za gorąco, by sensownie rozmawiać. To przynajmniej jest najczystsza prawda.

Nastąpiła długa wymiana łamanych gestami wypowiedzi, w których najczęstsze były powtórzenia na różnych poziomach irytacji. W końcu stary kiwnął głową, wstał i wyciągnął rękę. Barczysty postąpił krok do przodu i wyjął... nazwijmy to... cholera, nazywając rzecz po imieniu, wyjął latający dywan, tyle że zrolowany. Kin w końcu przekonała samą siebie, by tak określić to, co widziała, nieważne jak zwariowanie by to brzmiało.

Dywan miał dwa na trzy metry, geometryczny wzorek w barwach niebieskiej, zielonej i czerwonej i był niezwykle cienki i giętki. Rozłożony na ziemi ułożył się na nierównościach zupełnie jak zwyczajny kawał materiału. Stary powiedział słowo i dywan wyprężył się, wydmuchując spod siebie trochę piasku, i unióś się na parę cali nad powierzchnią. Kin wydało się, że słyszy słaby szum.

Dywan nie zakołysał się, nawet gdy weszła nań Silver. Zmieścili się wszyscy, z tym że stary siadł na przedzie, osiłek z szablą zaś na końcu. Stary wypowiedział inne słowo i unieśli się bez dźwięku.

- Można pokryć dolną powierzchnię elastycznymi modułami antygravitacyjnymi. - Głos Marca prawie nie drżał. - Tylko co z zasilaniem? Istnieją tak cienkie baterie?

Kin myślała o tym samym, wpatrując się równocześnie ze skupieniem w dywan pod nogami. Skupienie brało się stąd, że za żadne skarby nie miała zamiaru spojrzeć poza krawędź dywanu. Bardziej poczuła, niż zobaczyła, jak Marco przysuwa się do niej.

- Też się denerwujesz? - spytała cicho.

- Mam świadomość, że od upadku dzielą mnie jedynie milimetry nieznanego i nie sprawdzonego urządzenia latającego, jeśli o to chodzi.

- Skafandry cię nie denerwowały.

- Bo mają stuletnią gwarancję i produkowane są od dawna. Myślisz, że producent utrzymałby się na rynku, gdyby któryś zawiódł?

- Wątpię, żeby z tego można było wypaść, nawet gdyby ktoś bardzo chciał - odezwała się niespodziewanie Silver i rąbnęła pięścią w powietrze nad brzegiem dywanu.

Rozległ się odgłos do złudzenia przypominający boksowanie kisielu.

- Pole siłowe - wyjaśniła. - Spróbujcie sami.

Kin ostrożnie wysunęła rękę poza krawędź dywanu, powolny ruch wpierw przypominał poruszanie się w melasie, a potem ustał, napotykając twardą jak skała, acz niewidzialną przeszkodę. Emerytowany Ali Baba odwrócił się, uśmiechnął i powiedział coś długo i niezrozumiale.

Gdy dywan wrócił do spokojnego lotu po prostej, dłuższy czas panowała na nim głucha cisza.

- Silver, powiedz temu lunatykowi, że jeśli jeszcze raz spróbuje czegoś podobnego, to go zabiję - przerwał ją rzeczowo Marco.

Kin z trudem zmusiła palce, by przestały kurczowo wpijać się w pokrytą geometrycznym wzorkiem

materię.

- Trochę dyplomacji - syknęła przez zaciśnięte zęby. - I delikatności! Powiedz mu, że następnym razem połamię mu osobiście ręce i trwale uszkodzę w inny sposób!

Efektom były dwie beczki i potrójna pętla.

Kontrola głosowa, półkoliste pole ochronne i maniak akrobacji powietrznej na latającym dywanie - to ciężko strawna mieszanka.

Dla uspokojenia Kin zaczęła się zastanawiać, jak Marco zamierza ukraść dywan.

Przelecieli nad płaskimi dachami miasta, którego mieszkańcy tłoczący się w ciasnych uliczkach zaszczykali ich jedynie przelotnymi spojrzeniami, nie przerywając wykonywanych czynności. Najwyraźniej latające dywany były tu na porządku dziennym. Kierowali się w stronę jednego z pałaców - białej, kwadratowej budowli zwieńczonej kopułą fiankowaną dwiema ozdobnymi wieżami. Całość otoczona była też ozdobnym, ale solidnym murem, za którym rozciągał się ogród. I to dopiero było dziwne...

- Budynek musi mieć własne źródło wody - powiedziała głośno Kin.

- Dlaczego? - zdziwił się Marco.

- Bo wszędzie wokół jest susza, a ten ogród w najlepsze się zieleni.

- Nie jest to dziwne, jeśli stary rzeczywiście jest budowniczym dysku. W co wątpię.

- Ja też - dodała Silver. - Mimo że steruje dywanem dobrze, a nasze skafandry wzbudziły w nim chciwość, nie podziw. Być może istnieje tu jakieś hermetyczne bractwo przekazujące z pokolenia na pokolenie urządzenia, które potrafią obsługiwać, ale budowy czy zasady ich działania nie rozumieją. Coś jak dzikus doskonale kierujący samochodem i przekonany, że napędzają go małe konie zgromadzone pod maską.

Ali Baba wylądował, idealnie wręcz prowadząc dywan przez balkon i łukowato sklepione wejście do wysokiej komnaty. Dywan zawisł o cale nad mozaikową podłogą i opadł łagodnie, zmieniając się w zwykłą dekorację. Gospodarz zeskoczył zeń żwawo i zaklaskał. Nim pozostali zwolnili kurczowe chwytły i rozplatali kończyny, co było trochę czasochłonne, szczególnie w wypadku kunga, do komnaty wszedł służący z ręcznikami i misami.

- Lepiej, żeby to była czysta woda - warknął Marco. - Bo zamierzam ją wypić.

Wsadził głowę do najbliższej misy, wywołując konsternację wśród służby. Silver zakończyła ją, biorąc inną miche i po obwąchaniu wlewając jej zawartość w otwarte usta. Kin napiła się bardziej kulturalnie, a w tym, co zostało, umyła twarz i dłonie, rozglądając się przy okazji.

Pomieszczenie było prawie pozbawione mebli, jeśli nie liczyć niskiego stolika o grubym, kryształowym blacie i kilku parawanach pod jedną ze ścian. Najbardziej przypominało ozdobne pudełko o ścianach i posadzce zdobionej geometrycznymi i roślinnymi wzorami. Kiedy skończyła, Ali i służba wyszli.

- Woda była lodowata - oznajmiła Silver, rozglądając się - i pływały w niej kryształki lodu. Woda z lodem oznacza cywilizację.

- W każdym normalnym miejscu oznaczałaby lodówkę - zgodziła się Kin. - Ale tu może oznaczać lodowego demona.

Marco stanął na dywanie, obejrzał go dokładnie i powiedział słowo.

- Pewnie jest zaprogramowany na głos właściciela. -Silver nawet nie odwróciła głowy.

Marco zaklął i zszedł z dywanu.

Zza parawanu wymaszerował Ali, niosąc na czerwonej poduszce niewielkie, czarne pudełko. Towarzyszyło mu dwóch służących z dobytymi szablami. Ali spojrzał zezem na Silver i powiedział z trudem parę słów po łacinie.

- Zamierza przywołać hm... tego-który-mówi-wszystkimi-językami - przetłumaczyła. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Delikatnie położył poduszkę na podłodze i otworzył pudełko. Kin zaskoczona obserwowała, jak wyjmuje niewysoki, pękaty czajniczek do herbaty wykonany ze starego złota.

Wylał go rękawem i odstawił.

- Nie Dasz Mi Spokoju, Czarnoksiężniku?

To, co powiedziało te słowa, pojawiło się o parę stóp od gospodarza w chmurze purpurowego dymu i dla Kin stało się oczywiste, dlaczego wygląd Marca nie wywarł na starym żadnego wrażenia.

Przybysz był ludzkiego wzrostu - albo raczej byłby tego wzrostu, stał bowiem zgięty prawie wpół, opierając się na pokrytych złotą łuską i przerośniętych rękach służących za dodatkową parę nóg. Z karku wyrastał mu pęk macek, łeb miał długi i wąski, podobny do końskiego i zakończony parą spiczastych uszu, a głowę przyozdobioną wąsami, których końce ciągnęły się po podłodze. Między uszami znajdowała się niewielka, stożkowata czapeczka.

- Wiedźcie Wszyscy Żem Jest Azrifel, Djinnee Pustyni, Postrach Tysięcy I Bicz Milionów - oznajmił śpiewnie. - I Muszę Przyznać Uczciwie, Sługa Lampy. Czego Pragniesz Tym Razem, O Panie?

Gospodarz wygłosił dłuższą przemowę, po której Azrifel obrócił się ku Kin i pozostałym i przetłumaczył:

- Pan Mój Abu Ibn Infra Pozdrawia Was I Wita W Swym Skromnym Domu Oraz Inne Uprzejmości Prawi. Jeśli Chcecie Jeść, Powiedźcie Stoliczkowi, Wasze Życzenie Jest Jego Rozkazem. Tu Jest Wiele Podobnych Sprzętów.

Kin kucnęła obok jedynego mebla w pomieszczeniu i przyjrzała mu się uważniej. Błat rzeczywiście wyglądał jak blok kryształu, ale w jego wnętrzu było jeszcze coś, co przypominało smugę dymu. Pomyślała, sama nie wiedząc dlaczego, o ogórkach i sałatce, ale zaraz przypomniało jej się coś innego: cynamonowe lody kupowane w Grnh's Olde Drugge Store w Wonderstrands, których przepisu stary Grnh nie sprzedawał programistom garkotłuka. Zawsze na czubku miały wiśnię z Treale, a na ich wspomnienie nieodmiennie ciekła jej ślinka.

Lody wyłoniły się z kryształu, czemu towarzyszyło wrażenie spiralnego ruchu i mroźna mgiełka. Zwyczajowa czarna wisienka była na miejscu, podobnie jak wizytówka antropomorficznego pingwina w kucharskiej czapie i czarno-biały napis:

„MROZIMY Z PRZYJEMNOŚCIĄ.

The Olde Drugge Store,

róg Skrale i High,

Upperside, Wonderstrands 667548.

Tregin Grnh and Siblings, reg".

Marco przyjrzał się wizytówce i wpatrzył w wirujący kształt w blacie.

- Nie wiem, jak to zrobiłaś - powiedział ostrożnie. - Ja chcę Niebieski Talerz, specjalność zakładu pod nazwą „Henry Horse's Kung Food Bar" w Nowym...

Zamilkł, ponieważ na blacie znalazła się ciężka porcelanowa miska zawierająca coś targanego wewnętrznymi eksplozjami i pokrytego pomarańczowożółtym, zapieczonym panierem.

- Telepatia - ocenił Marco niezbyt pewnie. - Telepatyczny garkotłuk... to nie może być nic innego. Chodź, Silver, jestem głodny.

- Ty jesteś głodny?! - parsknęła Silver, zabębniła po blacie i zdecydowała: Ceremonialny truduc. W kryształach coś zawirowało i zniknęło. Silver zabębniła ponownie.

- Wędzony guaracuc z grintzami? - zaproponowała. Na mgnienie oka pojawił się nad blatem niewyraźny kształt i także zniknął.

- Dadugi w brinie? Słodkie chaque? Xiqua? Suszone qumqumy? Kin westchnęła z żalem i odsunęła lody.

- Jakiś Problem? - spytał Azrifel.

- Stolik nie potrafi stworzyć protein przyswajalnych przez shandy - warknęła Silver, siadając ciężko i obejmując kolana dłońmi.

- Co To Protein?

Abu ibn Infra siadł wygodnie z drugiej strony mebla, trzymając w dłoni kryształową szklankę jakiegoś różowawego płynu, która właśnie się zmaterializowała, i znów coś długo mówił.

- Pan Mój Pragnie Rozmawiać O Latających Przyodziewkach I Temu Podobnie - przetłumaczył Azrifel. - Mój Pan Gratuluje Warn Jako Zbieraczom I Proponuje W Zamian Za Wszystkie Trzy Odzienia Lustro-widzące-wszystko-z-bliska I Dwa Bezdenne Mieszki.

Marco i Silver spojrzeli na Kin, toteż zabrała głos:

- Może odłożmy na chwilę jego złodziejską propozycji i wyjaśnimy coś. Pochodzimy z terenów odległych i nie w pełni rozumiemy, kto to są zbieracze. Co oni właściwie zbierają?

Abu ibn Infra wysłuchiwał tłumaczenia ze zmarszczonymi brwiami i wypluł z siebie odpowiedź. Kin dotąd sądziła, że nie da się wypluć kilku długich zdań, ale gospodarzowi nie sprawiło to kłopotu.

- Pan Mój Zaskoczony Jest. Posiadacie Dary Boga, A Nie Wiecie O Zbieraczach. Jak To Możliwe?

- Posłuchaj, demonku: on może nie wie, ale ty wiesz.

Jesteś projekcją tak jak Sphandor, nieprawdaż? - spytała słodko Kin.

- Obawiam Się, Że Zabroniona Jest Mi Odpowiedź Na To Pytanie W Obecnej Chwili. Mogę Zaś Rzec, Że Siedzicie W Gównie, Bo To Wszystko, Co Wiem. Jeśli Sądzicie, Że Ujdziecie Żywi, To Ogarnia Mnie Śmiech Pusty.

- Zatłukę to - zaofiarował się Marco. Wartownicy stojący za Infą drgnęli.

- Siadaj! - syknęła Kin. - A ty, pozłacany cwaniaczku, mów, kto to jest ten cały zbieracz?

- Mój Pan Mówi, Że To Żaden Sekret. Sam Był Kiedyś Skromnym Rybakiem, Aż Patrosząc Rybę,

Znalazł W Niej Dar Boga. Mój Pech, Że Była To Lampa, W Której Jestem Uwięziony. Jam Jest Bowiem Azrifel Z Dziewiątego Dominium Demonów Przeklętych I Mogę Znaleźć Wszystko, Nawet Mam Moc, By Z Wami Gadać. Taki Już Mój Dar. Przez Pięć Lat Pracowałem Ciężko Dla Tej Starej Świni Nowobogackiej, Przynosząc Do Tej Rudery Zwanej Pałacem Dary Nie Będące Własnością Innych Zbieraczy Albo Te, Których Właściciele Mieli Pecha Posiadać Demony Słabsze Niż Ja. Przeszukałem Ci Głębiny Wód I Wnętrza Wulkanów Oraz...

- Stop! - poleciła mu Kin. - Latający dywan, stolik i te cholerne portfele produkujące pieniądze to są dary boga?

- W Rzeczy Samej: Dywan Wyzwoliłem Z Rąk Kupca Z Basry, A Stolik Porośnięty Muszlami Znalazłem Na Dnie Morskim...

- I ten twój cały czarnoksiężnik pojęcia nie ma, jak to działa, tak? Dla niego to tylko magia?

- Azaliż Nie Są One Magiczne? - wyszczerzył się demon.

- Tak jak myślałem! - warknął Marco. - Głupi, czarny tubylec nie mający o niczym pojęcia, tak jak cała reszta. Zajmę się strażnikami, a potem przekonamy go, żeby nas zawiózł, dokąd chcemy.

- Poczekaj chwilę - sprzeciwiła się Kin.

- Na co? On wie tylko, jak używać zabawek, które dostarcza mu ta kreatura.

- Może raz byśmy spróbowali dyplomacji, zamiast zaraz walić w łeb? - zaproponowała Kin i zwróciła się do demona: - Powiedz swemu panu, że nie jesteśmy zbieraczami i że damy mu te skafandry, jeśli przewiezie nas swoim latającym dywanem na okrągłą wyspę leżącą na południowym wschodzie.

Ledwie skończyła mówić, wiedziała, że powiedziała coś niewłaściwego, tylko nie bardzo wiedziała co. Gdy Infra usłyszał przekład, pobladł niczym wapno. Marco westchnął i wstał.

- Dyplomację uznaję za zakończoną - ocenił i skoczył.

Azrifel też skoczył i w powietrzu w połowie drogi powstała dynamiczna płatanina złota i szarej zieleń zakończona niewielką eksplozją. Gdy dym się rozwiął, demon był na miejscu, Marco zaś zniknął.

- Co z nim zrobiłeś? - spytała Kin.

- Dostarczyłem Do Bezpiecznego Miejsca. Jest Nie Uszkodzony, Nie Licząc Paru Drobnych Osmaleń.

- Aha. A skafandry są okupem? Abu Infra zabrał głos.

- Nie, Powiada Mój Pan - wyjaśnił po chwili demon. - Mówi, Że Wie Już, Iż Pochodzicie Z Innego Świata. Był Tu Inny Taki Podróżnik Jakiś Czas Temu I...

- Jago Jalo? - spytała Kin, zyskując potwierdzenie w postaci nieżyczliwego spojrzenia Infry.

- Szalony krety! - syknęła Silver.

- Tak Się Nazywał - potwierdził Azrifel. - Szaleniec Ten Nadużył Gościnności I Okradł Mego Pana Z Części Zbiorów. On Też Chciał Dotrzeć Na Zakazaną Wyspę.

- Co się z nim stało?

- Uciekł, Zabierając Dywan, Bezdenny Mieszek I Płaszcz O Niezwykłych Właściwościach. Nawet Ja Nie Zdołałem Go Odszukać. Mój Pan Uważa Jednak, Że Nie Wszystko Stracone.

- Cierpliwy jest - przyznała Kin. - A dlaczego tak uważa?

- Bo Wzbogacił Się O Trzy Latające Ubiory, Parę Demonów I Ciebie.

Kin rozejrzała się - na balkonie pojawili się nowi zbrojni łucznicy. Przez moment zastanawiała się, czy nie zaryzykować, ale wątpiła, by tutejsza służba zdrowia była skuteczna, a rany po strzałach potrafią być paskudne. W dodatku nie rozwiązywałoby to problemu Silver.

Wybuchnęła płaczem.

Po krótkiej konferencji między Infrą a demonem zjawily się dwie służące i gdy ją wyprowadzały (wciąż w towarzystwie uzbrojonych strażników), puściła oko do Silver, mając nadzieję, że ta zna ten zwyczaj. Następnie znalazła się w labiryncie ozdobnych sal, korytarzy, przejść i parawanów. Wędrowce towarzyszył nieprzerwany dialog obu niewiast, ale gdy dotarli do kolejnego łukowato sklepionego wejścia, pozostali przy nim wszyscy zbrojni - jeden stanął na warcie, reszta gdzieś poszła.

Za drzwiami Kin stała się obiektem zainteresowania grupy szczupłych, czarnowłosych kobiet w skąpych, przezroczystych strojach. Starsza z eskortujących ją niewiast rozgoniła jednak szybko to zbiegowisko, za co Kin była jej wdzięczna, przeprosiła więc cicho, nim celnym ciosem pozbawiła ją przytomności, po czym pognała przed siebie.

Przebiegła przez kilka sporych i przestronnych sal z fontannami, ćwierkającymi ptaszkami i znudzonymi kobietami zajmującymi wygodne, miękkie posłania. Te obserwowały ją obojętnie, dopóki nie wpadła na służącą z jakąś tacą - wtedy podniosły wrzask.

Dobiegające z tyłu krzyki świadczyły, że wartownik zebrał się na odwagę i wkroczył na zakazany teren haremu. Nie tracąc czasu, Kin dopadła najbliższego balkonu i wyjrzała. Na dół było niedaleko, toteż wspięła się po delikatnej i nawet pod jej ciężarem trzeszczącej kracie na dach. Był płaski jak patelnia i równie przytulny w blasku południowego słońca.

Krzyki w dole oznaczały, że strażnik dotarł na balkon. Kin rozpląszczyła się na dachu, mając nadzieję, że zmyli tamtego i uda się on na dziedziniec. Niestety, pełną napięcia ciszę przerywało jedynie zbliżające się posapywanie, po czym rozległ się trzask pękającego drewna, krzyk i odgłos, jaki wydaje człowiek, padając na kamienne płyty ze sporej wysokości.

Kin wstała i nie spiesząc się, podbiegła do bliższej wieży. Nie była to zbyt rozsądna decyzja, ale nic lepszego nie przychodziło jej do głowy. Prowadziło do niej zwieńczone łukiem wejście pozbawione drzwi, a dalej przyjemne, lodowato zimne kręcone schody pograżone w miłym dla oka półmroku. I pomyśleć, że na otwartym słońcu spędziła jedynie sekundy...

Schody kończyły się okrągłym pomieszczeniem z licznymi, choć pozbawionymi szyb oknami wychodzącymi na wszystkie strony świata. Z każdego zresztą widać było miasto. Kin rozejrzała się po pomieszczeniu i stwierdziła, że znalazła się w magazynie albo raczej w graciarni.

Pod ścianami stały zrolowane dywany i piętrzyły się bezładnie sterty jakichś pudeł i skrzyń. O trójnogi stół wsparta była brązowa rzeźba mniej więcej w stylu śród-morskim. Stół wyglądał na pobożowisko po potężnej pijatyce. Pod ścianą dalej stało kilka mieczy, w tym jeden do połowy wtopiony w kowadło. To ostatnie Kin sprawdziła z czystej ciekawości i niedowiarstwa. Na środku podłogi stał posąg konia odlany z jakiegoś ciemnego metalu. Muskulaturę oddano dobrze, ale pozycja była nienaturalna - stał

na czterech nogach z opuszczonym łbem, spoglądając w podłogę niczym zajeżdżony dyszlowy.

- Złom - oceniła, próbując przesunąć okutą skrzynię, by zablokować nią wylot schodów.

Skrzynia okazała się cięższa, niż sądziła, toteż Kin tylko siadła na niej i nasłuchiwała; na dole panowała niczym nie zmacona cisza. Gdyby mieć jedzenie i picie, można by tu przeżyć parę tygodni. Myśl o jedzeniu nie była miłą, o czym natychmiast dał jej znać żołądek, a przecież nie mogła nic zjeść, gdy okazało się, że Silver będzie mogła tylko patrzeć. I tak w ciągu dwóch dni przedstawicielka rasy shand zmieni się w głodną, szalejącą bestię.

- Marco? - powiedziała cicho. - Silver? Po piątej próbie odezwał się Marco:

- Kin! Gdzie jesteś?

- Jestem w.... kto jest razem z tobą?

- Kupa zwierząt: jesteśmy w zoo! Musisz nas wydostać!

- Jestem w jakimś składzie muzealnym na strychu. Muszę poczekać do zmroku. Gdzie właściwie jesteś?

- Gdzieś na terenie pałacu, tylko lepiej się pośpiesz, jestem w jednej klatce z Silver.

- A co ona robi?

- Miny.

- Aha.

- Co?!

Kin westchnęła i podeszła do okna.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała i przerwała połączenie.

Ktoś gdzieś w oddali coś wykrzykiwał, ale dach był gorący i pusty. Niebo też, jeśli nie liczyć jednego czarnego punktu. Cholerne Oko Boga, kimkolwiek by on był. Podeszła do sterty mieczy - ledwie zdołałaby unieść którykolwiek, i to oburącz, więc nie bardzo nadawały się na broń. Poza tym prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziała, jak zorganizować i przeprowadzić bohaterką akcję ratowniczą- była w tej kwestii debutantką. I wiedziała, że nie ma wyjścia, bo tego właśnie po niej oczekiwano. Inteligentne rasy galaktyki traktowały ludzi jako absolutnie szalony element.

Cofając się od okna, potknęła się o stół, z którego spadł dzbanek, rozlewając na podłogę czerwony, śmierdzący octem płyn. Kin metodą organoleptyczną doszła do tego, że płynem jest podłe wino, i ostrożnie postawiła dzbanek.

Wewnątrz coś zaszumiało.

Zajrzała ostrożnie do wnętrza: poziom wina powoli się podnosił. Odczekała, aż dzban się napełni, wylała z rozmachem zawartości z całych sił rąbnęła jego dnem o blat. Coś syknęło, zadymiło i zapachniało ozonem. Na podłogę posypały się fragmenty obwodów drukowanych.

- Pięknie, pięknie - ucieszyła się ponuro Kin. - Dopóki to nie krasnoludki, to pół biedy.

Z drugiej strony Kompania nie wierzyła w teleportację... ale to mógł być prosty, jednoczynnościowy garkotłuk zbierający molekuły z powietrza i produkujący z nich wino. Zdecydowana była uwierzyć we wszystko prócz magii. I krasnoludków.

U dołu schodów ktoś się poruszył.

Nie miała gdzie się ukryć. A raczej miała aż za wiele kryjówek, tylko żadna nie rokowała nadziei na przetrzymanie solidniejszej rewizji. Odruchowo złapała pierwszy z brzegu miecz, gotowa odciąć pierwszą głowę, jaka wysunie się nad podłogę. Zdecydowała, że niewielkie drzwiczki w suficie dają lepsze szansę obrony. Jeśli prowadzą na dach, to może przy okazji dostrzeże ją kruk... choć nie bardzo wiedziała, w jaki sposób mogłoby jej to pomóc.

Podeszła do posągu konia, wsunęła stopę w strzemię, a drugą postawiła na siodle i wyciągnęła się, sięgając do drzwiczek. Koń drgnął, co wytrąciło Kin z równowagi i posadziło ją energicznie w siodle. Tak energicznie, że straciła oddech. Nim go odzyskała, stwierdziła, że nie może się ruszyć, gdyż jej nogi znalazły się w objęciach wyścielanych klamer, które wysunęły się z końskich boków i trzymały delikatnie, ale pewnie. Koń odwrócił łeb o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzał na nią jasnymi, podobnymi do owadzych oczyma.

- Twoja wola jest rozkazem.

Zdanie to Kin starym zwyczajem usłyszała w umyśle, nie w uszach.

- Niech to szlag!

- To są nieprecyzyjne koordynaty.

- Jesteś robotem?

W koniu coś kliknęło i zmieniło biegi.

- Jestem słynnym mechanicznym koniem Ahmeda, księcia Trebisona.

Całkiem wyraźnie usłyszała kroki na schodach.

- Zabierz mnie stąd! - syknęła.

- Proszę złapać wodze i pochylić głowę, w razie choroby powietrznej proszę skorzystać z pojemnika.

Wewnątrz konia coś łomotnęło, ze zgrzytem przesunęły się zębatki i ruszył. Gdy przelatywali przez okno, Kin przytuliła się do szyi wierzchowca, by uniknąć ściany. Wreszcie byli wolni i galopowali w powietrzu, wznosząc się ku miedzianemu niebu.

Dopiero wtedy Kin przyjrzała się ściskanemu w dłoni mieczowi - był smolście czarny i nienaturalnie lekki, ale z braku innego musiał wystarczyć. Wątpiła, by Abu nauczył się obsługiwać skafandry, które im zabrał, toteż jedynym latającym obiektem, jakiego musiała się obawiać, był dywan. A w razie walki powietrznej zdecydowanie wolą konia.

- Twoje życzenie jest moim rozkazem - odezwał się tenże.

- Możemy zacząć od tego, że opowiesz mi, w jaki sposób latasz - stwierdziła, spoglądając na ogród, nad którym przelatywali.

- Zbudował mnie mag Abanazzard, a latam dzięki wykorzystaniu silnika unoszącego wagę, w chwilach krytycznych wymagającego stałej interwencji Djinne imieniem Zolah.

- Wiesz, gdzie jest pałacowe zoo?

- Tak.

- To wyląduj tam.

- Słyszę i wykonuję, o Pani.

Pogalopowali po coraz ciaśniejszej i opadającej spirali. Gdy byli na poziomie pałacowego dachu, Kin kątem oka zobaczyła uniesione twarze, a potem znaleźli się już wśród pokrytych kurzem drzew, rosnących po obu stronach szerokiej alei i osłaniających rzędy niskich klatek. Kopyta dotknęły gruntu bez większych wstrząsów i znaleźli się na ziemi. Coś skoczyło na pręty najbliższej klatki, ale Kin dostrzegła tylko zęby i

skrzydła, gdy przemknęli obok. Głównie zęby.

- Marco!

Odpowiedział jej jazgot, piski i ryki z większości klatek.

- Tutaj! - Kung miał trzy płuca i potrafił robić z nich godny użytek.

Podjechali już wolniej do klatki, w której między balami grubości pni połyskiwały olbrzymie oczy kunga. Od zewnątrz dawało się otworzyć zadziwiająco łatwo

i cicho. Gdy otwór był wystarczająco szeroki, Marco wyskoczył jak z katapulty.

- Daj mi miecz! - polecił.

Kin odruchowo posłuchała, nim przyszło jej do głowy, że powinna odmówić, ale było już za późno.

- Nic lepszego nie było? - syknął Marco, oglądając broń. - Jest tępy jak pień.

- To się nazywa wdzięczność! - parsknęła wściekła na samą siebie Kin. - Powinnam cię tu była zostawić!

Marco zważył miecz w dłoni i przyjrzał się z namysłem Kin.

- Mogłaś to zrobić - przyznał. - Dziękuję, że nie zrobiłaś. Taki miecz też wystarczy. Gdzie zdobyłaś latającego robota?

- Z magazynu czy graciarni na...

- Jak się nim steruje?

- Słucha poleceń słownych i... hej, złaź!

Marco usadowił się w siodle, ignorując ją zupełnie.

- Znasz drogę do pałacu, czworonożny robocie? - spytał.

- Tak, Panie.

- To jedź tam!

Przez chwilę stukotały kopyta, po czym koń wraz z jeźdźcem stali się malejącym kształtem na niebie. Kin poczekała, aż znikną, i zajrzała do klatki.

- Silver? - spytała cicho.

Jasny, kudłaty kształt poruszył się w rogu.

- Chodź, nie mamy na co czekać. Jak się czujesz? Silver siadła.

- Gdzie kung? - spytała niewyraźnie.

- Poleciał zarzącić gospodarza.

- A my gdzie się udajemy? - Silver wstała.

- Za nim, chyba że masz lepszy pomysł.

- Nie mam. Poza tym wszyscy będą zbyt zajęci, żeby zwrócić na nas uwagę - oceniła Silver. - W tej klatce są jednorożce, a w tamtej syreny. Żywią się rybami.

- Abu to urodzony zbieracz, żeby go pokreśliło - mruknęła Kin, ruszając zwawo w stronę pałacu.

Po drodze minęły białą kopułę wielkości małej świątyni, która z bliska okazała się jajem. A raczej jego większością, bo około jednej trzeciej zakopane było w piasku. W jednym miejscu w jajku była niewielka dziura.

- Ptasie? - zainteresowała się Silver.

- A skąd mam wiedzieć? Ale okruszków bym mu nie sypała. O, tam jest drugie... No, niezupełnie...

To, co w pierwszej chwili wzięła za jajo, było wrakiem ładownika należącego do wyposażenia sondy Terminus. W rzeczywistości wyglądał na mniejszy niż na zdjęciach. Kadłub znaczyły trzy głębokie bruzdy, jakby coś próbowało go złapać w locie, przywodząc na myśl ślady szponów... Cóż, w końcu coś musiało znieść to jajeczko, które minęły.

Wnętrze ładownika było jedną wielką ruiną.

- Teraz przynajmniej wiemy, gdzie wylądował Jalo - odezwała się Silver, wrywając Kin z kontemplacji śladów pazurów.

- Nie zazdroszczę mu - oznajmiła Kin. - Infra to entuzjasta: niczego nie wyrzuci i nikogo nie wypuści dobrowolnie.

Za ich plecami rozległ się tupot. Odwróciły się pospiesznie i zobaczyły lekko zdyszana parę zbrojnych z otwartymi gębami. Jeden miał pikę i próbował nią delikatnie dźgnąć Silver. Ta złapała ją za drzewce, wyjęła mu z rąk i walnęła na odlew końcem drzewca w głowę. Potem unieruchomiła nogi drugiego, który rzucił się do ucieczki. Przy tej okazji pika pękła, zmieniając się w długą pałkę. Wywijając nią, Silver pognała w stronę pałacu.

Kin poszła w jej ślady.

Odnalazły Marca, kierując się w stronę najgłośniejszych wrzasków.

Na zamkowym podwórzu kłębił się tłum walczących, a w samym jego środku był naturalnie Marco. Walczył równocześnie z pięcioma szermierzami i wygrywał. Jeden z obecnych, nie mogąc się dopchać, w pewnej chwili odwrócił się i z desperacką odwagą zaatakował Silver. Ta wpierw mrugnęła zaskoczona, a potem poczęstowała go takim prostym, że padł, nie wydawszy dźwięku.

Przez cały ten czas miecz śpiewał.

Kin słyszała ten zwrot wielokrotnie, traktując go jako figurę poetycką, ale ten miecz naprawdę śpiewał: w dziwny elektroniczny sposób, podkreślany brzękiem ścierających się głowni i wrzaskami rannych. Marco trzymał go w wyciągniętej ręce, sprawiając wrażenie, jakby chciał znaleźć się jak najdalej od niego, a miecz zdawał się poruszać sam, ciągnąc jedynie jego ramię. Blok, cięcie, kolejny blok innego ostrza, parada, sztych zakończony upadkiem przeciwnika. Zdawało się, że ostrze przechodzi przez powietrze, lecz ono skakało od ciała do miecza przeciwnika, pobłyskując błękitnymi wyladowaniami.

Silver podeszła cicho do dwóch następnych zbrojnych i dwoma ciosami wyłączyła ich z walki. Trzech ostatnich przeciwników kunga nie mogło uciec, gdyż miecz im na to nie pozwolił, ale problem ten został rozwiązany trzy ciosy i dwa bloki później.

Na dziedzińcu pozostali Marco, Silver, Kin i zabici. Marco zatoczył się i wypuścił z dłoni miecz, który Kin czym prędzej podniosła i obejrzała uważnie. Ostrze powinno być zakrwawione. A było po prostu czarne, niczym dziura we wszechświecie wiodąca gdzie indziej.

- To żyje - odezwał się ponuro Marco. - Wiem, że się będziesz wyśmiewać, ale...

- To zwyczajny miecz o powłoce antyciernej i elektronicznym ostrzu, dla którego metal jest jedynie

przewodnikiem - przerwała mu Kin. - Musiałeś widzieć podobne urządzenia, choćby noże rzeźnicze.

Zapadła chwila wymownej ciszy.

- Naturalnie masz rację - przerwał ją Marco.

- No, to wynośmy się stąd! - poleciła Kin, zrobiła w tył zwrot i pobiegła ku najbliższym schodom.

- A ty gdzie? - krzyknął za nią Marco.

- Znaleźć gospodarza! - odchrząknęła, dodała w myślach: „Przed tobą, bo go od ręki zabijesz, a on jest naszą jedyną szansą”.

Przebiegła przez korytarz i kolejne schody wyglądające znajomo, a potem kolejny korytarzyk i dotarła do komnaty, w której spokojnie siedział Abu ibn Infra. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na latającym dywanie i przyglądał się wejściu (czyli Kin) ponad złączonymi palcami. W pobliżu czekał Azrifel, poza tym pomieszczenie było puste.

Abu ibn Infra wygłosił długie zdanie.

- Dlaczego Twoje Stworzenia Zaatakowały I Pozabijały Moich Ludzi? - przetłumaczył Azrifel.

- Bo spodziewały się lepszego traktowania niż klatka.

- Dlaczego? Przybyłaś Z Miejsca Kłamców I Złodziei Z Parą Demonów Renegatów I...

- To nie są demony - przerwała mu ostro Kin. - To przedstawiciele inteligentnych ras, odmiennych niż ludzie. Dobra, przejdźmy do rzeczy, a konkretnie do latającego dywanu...

- To Są Demony.

Z przeciwległego kąta pokoju nagle powiało i Kin odwróciła się, akurat na czas, by zobaczyć, jak materializują się tam dwie postaci wyglądające niczym bliźniaki Marca, choć poruszające się nieco dziwnie. Tak, jakby ktoś wiedział, jak wygląda kung, ale nie miał pojęcia o jego anatomii. Abu przywołał demony, by sobie z nią poradziły, a ktoś gdzieś wewnątrz planety zauważył, że kung to idealna forma wojownika.

Tylko że wprowadził bezsensowne poprawki. Kung do walki używał przeważnie krótkiego miecza i niewielkiej tarczy siłowej, zostawiając sobie dwie ręce do ulubionego duszenia. Te tutaj w każdej dłoni miały jakąś broń, każda inną. Jeden miał nawet morgensterna zwanego czasem Gwiazdą Zaranną. Ogólnie sprawiały wrażenie przerośniętych kosiarek do trawników.

Kin przyjrzała się parze pozbawionych wyrazu - by nie rzec martwych - twarzy i zdecydowała, że nie będzie uciekać. Zbieganie po schodach przed nimi nie miało szans powodzenia.

Zamiast tego trochę bezradnie uniosła miecz.

Coś drgnęło pod jej dłonią i nagle całe ramię ogarnął ból, od którego zaszczeły zęby. Kungopodobne stwory skoczyły ku niej, a miecz ożył. Nagle wszystko zaczęło się dziać niczym na zwolnionym filmie widzianym w różowej poświacie. Oba demony biegły jak w gęstym kisielu i zupełnie bez dźwięku, a Kin poczuła przyjemną nienawiść i z zainteresowaniem obserwowała poczynania miecza.

Ten bez oporu i trudu rozciął ostrze topora z trzymającym broń ramieniem składającym się z szarego, pozbawionego kości i krwi ciała, i niejako mimochodem głownię innego miecza. Kin unikiem ominęła powoli pełznącą w jej stronę włócznię i skoczyła, lądując miękko w półobrocie na ugiętych nogach. Jeszcze w locie miecz ciął jednego z przeciwników w kark, a ledwie wylądowała, zaczęła zachowywać się

jak kosa. Do starcia dołączył ktoś trzeci, cofając się w czerwonej mgle, i miecz skoczył ku niemu, pociągając Kin niczym kometa swój ogon. Potem zaczęła powoli opadać ku podłodze odległej o kilka mil.

Tylko dlaczego podłoga tak ją uderzyła? Przecież nie miała prawa...

Kin miała nieodparte wrażenie, że cały jej bok jest wielkim siniakiem. Ramię wyło z bólu, a ręka niedwuznacznie sugerowała, że przepuszczono ją przez snopowiązałkę. Przez kilka błogosławionych sekund mogła analizować te wrażenia obiektywnie, spoglądając w zwariowany kalejdoskop, w jaki zamieniła się jej głowa.

A potem subiektywność ją przytłoczyła.

Za sobą usłyszała ślizg i miękkie łupnięcie o podłogę. Mimo bólu zdołała obrócić głowę na tyle, by dostrzec wpierw szeroką smugę czerwieni na ścianie, a pod nią na podłodze rozciągniętego Infrę.

Kin przez pewien czas zadowalała się chłodem podłogi, potem dopiero użyła lewej ręki, która tylko bolała ją jak jasna cholera, by przesunąć dłoń po mozaice i wydłubać z zaciśniętych palców gospodarza lampę. Przyciągnęła ją i poczekała.

Ponieważ lampa nie zachowała się, potarła palcem jej powierzchnię.

- Jestem Azrifel, Niewolnik Lampy - odezwał się znajomy głos. - Twoja Wola Jest Mym Rozkazem.

- Sprowadź mi doktora - poleciła.

Demon zniknął przy wtórze niegłośnego huk.

Pojawił się, trzymając w objęciach słabo wierzgającego i popiskującego facecika w czarnej opończy i z twarzą białą jak kreda.

- Co... too? - spytała słabo Kin.

- Johannes Angelego z uniwersytetu w Toledo, doktor nauk...

Kin zebrała się w sobie, złapała lampę i walnęła nią o podłogę. Azrifel zawył, doktor też i zemdlał.

- To ma być prawdziwy lekarz, ty durniu, nie jakiś fałszywiec - wyjaśniła Kin, siląc się na spokój. - Odniesz to i sprowadź mi uczciwego doktora. To jest skrzynka długa na osiem stóp mająca na wieku kupę lampek i wskaźników. LEKARZ, rozumiesz? Cholera, nawet żywy lekarz może być w ostateczności...

I dla dodania wagi swym słowom jeszcze raz cisnęła lampą o podłogę.

Azrifel zawył i zniknął.

Tym razem nie było go dłużej, ale gdy się pojawił, okrakiem na nim jechał mężczyzna w zielonym kombinezonie Centrum Medycznego Kompanii. W objęciach trzymał znajome pudło. Ledwie demon stanął, mężczyzna zeskoczył z niedbałą gracją kogoś, kto ma nieogra niczony dostęp do środków odmładzających.

Kin ze zdumieniem stwierdziła, że był to Jen Teremilt, za któregoomal nie wyszła sto czterdzieści lat temu, a potem ból przyćmił wszystko. Łącznie ze wspomnieniem, że Jen doszedłby wysoko w hierarchii

służby medycznej, gdyby nie zginął na Sister, polując na chaque.

Choć dywan mógł spokojnie pomieścić całą trójkę - Azrifel w lampie nie zajmował miejsca, a poza nią nic nie ważył - Marco uparł się, by towarzyszył im latający koń.

- Jesteśmy gotowi? - spytał, gdy słońce jeszcze nie wzeszło, ale niebo barwiła już perłowa poświata.

Kin, siedząca wraz z Silver na dywanie rozłożonym na wyjątkowo chłodnym dachu, zadrżała lekko.

- Jesteśmy - odparła, pocierając lampę. Obok niej pojawił się Azrifel.

- No? - spytał. - Czego?

- A gdzie uprzejmość?! - zdziwiła się Kin. Marco parsknął pogardliwie.

- Dobra, Tylko Się Nie Irytuj. Myślałem, Że Taka Gładka Gadka Odpowiadała Jemu, A Ty, O Pani, Jesteś Bardziej Demokratyczna. Każdy Może Się Pomylić.

Kin przypominała sobie lekcję etykiety sprzed stu dziewięćdziesięciu lat: dżentelmen to ten, kto zawsze mówi robotowi „dziękuję”.

- Założmy, że dałabym ci tę lampę - zmieniła dyplomatycznie temat.

Demon mrugnął i zastanowił się. Potem oblizał zielonym językiem wargi i powiedział ostrożnie:

- Wyrzuciłbym Ją Za Krawędź Świata, Pani. I Miałbym Wreszcie Spokój.

- Doprowadź ten dywan do centrum tego świata, a dam ci lampę - obiecała Kin, a widząc radosny grymas Azrifela, dodała: - Widzisz, że kung na latającym koniu ma magiczny miecz? Dam mu lampę i gdybyś zdradził nas w jakikolwiek sposób, nie wątpię, że uszkodzi on lampę...

Demon zadrżał.

- Rozumiem - oświadczył ponuro. - Azaliż Nie Ma Już Zaufania Na Świecie?

- Nie - odparł rzeczowo Marco.

Dywan unióś się łagodnie i pomknął nad ciemnym o tej porze miastem. Marco podążył wierzchem w ślad za nim, a Kin, obserwując mijane w dole budynki, zastanawiała się nad anomalią, na którą wcześniej nie zwróciła uwagi:

Coś mogło czytać w ich myślach, czego najlepszym dowodem były rozmowy z demonami czy produkujący żywność stolik. Kiedy zażądała lekarza, Azrifel został przysłany z konkretnym lekarzem, o którym pomyślała, ale nie potrafił odnaleźć zwykłego automeda. Dlaczego?

Demon wciąż kucał koło niej, a siedząca z przodu Silver wpatrywała się tępo przed siebie.

- Azrifel, dostarcz mi kompletny napęd MFTL razem z matrycą i ostatni model garkotłuka - poleciła Kin. Śmiech Marca był wyraźnie słyszalny.

- Nie - oznajmił demon.

- Odmawiasz?! Zapomniałeś o lampie?

- Nie Odmawiam, Tylko Stwierdzam Fakt.- Azrifel potrząsnął głową. - Ostrygi Nie Latają, Ja Nie Mogę Spełnić Twego Życzenia. Jeśli Musisz, Zniszcz Lampę.

- Jakoś przestał się silić na anachronizmy - zauważył Marco. - Prawda?

Demon zamilkł, jakby nasłuchując jakiegoś wewnętrznego głosu. Z bliska także był z lekka

rozmazany, niczym trójwymiarowa fotografia w ostrym słońcu.

- Nachronizmów Nie Ma - zgodził się.

- Jalo opuścił ten świat i pojawił się dwieście lat... wiele, wiele mil stąd - poprawiła się Kin. - W jaki sposób?

- Nie wiem.

- Statek Jalo nadal jest na orbicie - przypomniał Marco. - Moglibyśmy zaadaptować system podtrzymujący życie, wykorzystując części z naszego ładownika, i wrócić do domu.

- To za długo potrwa! - zaprotestowała Kin.

- Może nie.

- A skąd weźmiesz energię?

- Tysiąc takich latających dywanów połączonych brzegami?

- A nawigacja?

- Mamy trafić w sferę o średnicy pięćdziesięciu lat świetlnych z odległości stu pięćdziesięciu lat.

Żaden problem.

- Pięknie. A co z Silver? Odpowiedziała j ej cisza.

Słońce, gdy weszło, miało zdecydowanie zielonkawy odcień.

Przelecieli nad wysoką na pół mili burzą piaskową mknącą przez wioski niczym śnieżycą. Marco mówił niewiele, a Silver w ogóle przestała się odzywać - leżała zwinięta w kłębek, wpatrując się w niebo. Przelecieli nad portem zwanym Basra, którego ulice pełne były szczątków rozbitych statków, a oszalałe morze, po zdemolowaniu nabrzeży, zabrało się do metodycznego niszczenia budynków.

- Coś lśni na horyzoncie - odezwała się Silver.

Kin nic nie widziała, ale nauczona doświadczeniem, postanowiła poczekać.

Dziesięć minut później dostrzegła słaby blask prosto przed nimi.

Silver poruszyła się nagle.

- Zostaw mnie! - rozkazała. - I przyślij kunga. Z bronią.

- Marco...

- Słyszałem. Zatrzymaj dywan i przesiądź się na koma.

- Przecież... przecież wiesz, o co jej chodzi.

- Jasne. Mam ją zabić, jak zacznie szaleć.

- Jak możesz tak obojętnie do tego podchodzić?!

- A jak mam podchodzić? Lepszy martwy rozumny niż żywe zwierzę. Całkowicie się z nią zgadzam.

- A co będzie potem? Marco zmarszczył brwi.

- Odrodzi się na dysku, jak sądzę - powiedział niepewnie. - Lepszy żywy człowiek od martwego sha...

- Przestań gadać w ten sposób!

Blask bił od wysokiej kopuły wtopionej w skały pokaźnej wyspy składającej się głównie z czarnego piasku, w którym można było rozróżnić częściowo stopione wraki kilku statków. Okrążyli ją wpierw, nie zbliżając się bardziej niż na milę. Kin dostrzegła znajomy czarny kształt, sfruwający z nieba i siadający na szczycie błyszczącej powierzchni.

- To załatwia sprawę! - zdecydowała. - Marco, lecimy.

Odpowiedziało jej zduszone stęknienie. Gdy odwróciła się w siodle, zobaczyła, że parę metrów obok Silver właśnie szykuje się do ataku. Jedno ramię miała jasno-pomarańczowe od krwi - tam trafiło pchnięcie miecza, drugim obejmowała Marca w pasie. Ten dusił ją, używając dwóch rąk, a między nimi wył miecz, nie mogąc włączyć się do walki. Dywan wyprzedził konia i Kin dostrzegła wykrzywioną wściekle twarz Silver i otwarte, pełne śliny usta.

Złapała lampę i potarła ją energicznie. Azrifel stanął w powietrzu i przyjrzał się z zainteresowaniem walczącym.

- Rozdziel ich! - poleciła.

- Nie.

Marco wysliznął się z uchwytu, odskoczył i złapał rękę Silver w trzy swoje, po czym przerzucił ją przez ramię, co ledwie mu się udało przy tej różnicy wag. Silver znalazła się poza dywanem, lecz nie spadała: wisiała pod niemożliwym kątem w polu siłowym, warcząc i miotając się zaciekle.

- Nie?!

- Nie Odważę Się Bardziej Zbliżyć Do Kopuły.

- Mam lampę - przypomniała mu Kin.

- Sugeruję, Abyś Jej Nie Używała.

Marco podniósł miecz, Silver zaś znalazła oparcie w powietrzu i doskoczyła ku niemu.

W tym momencie oboje zniknęli wraz z dywanem.

Zaskoczona Kin wpatrywała się w pustą przestrzeń, pod którą ryczało morze. Oprócz morza, nieba i kopuły nie było nic. No i naturalnie wiszącego w powietrzu demona.

- Słuchaj no - odezwała się w końcu. - Co się stanie, jeśli wrzucę lampę do wody? Tylko nie łzyj!

- Czasami Ryba Lub Krab Otrze Się O Nią. Ich Życzenia Są Łatwe Do Spełnienia.

- Co się stało z dywanem?

- Zniknął? - zasugerował demon.

- To sama wiem. Dlaczego?

- Tak Dzieje Się Ze Wszystkimi, Którzy Za Bardzo Zbliżą Się Do Środka Świata.

- Nic o tym nie mówiłeś.

- Nie Pytałeś.

- Gdzie oni zniknęli?

- Nigdzie. Oni Po Prostu Zniknęli. To Wszystko, Co Wiem.

- Zaraz się dowiesz więcej - obiecała, chowając lampę w kieszeń i dźgając konia piętami. Ruszyli w stronę kopuły. Azrifel zajęczał. Kin zniknęła.

Kin ocknęła się w rubinowym sercu galaktyki. Dotyk informował ją, że leży na płaskiej metalowej powierzchni, a inny, stary, choć dotąd nie nazwany zmysł, iż znajduje się wewnątrz czegoś. Budynku albo jaskini.

Wokół paliły się miliony czerwonych światełek układających się w skomplikowane konstelacje niewidocznych ścianek odległych o dziesiątki metrów i łagodnie przechodzących w sufit. Na suficie zresztą też były masy czerwonych punkcików. Wzory czasami zmieniały się błyskawicznie, ale kolor i stopień złożoności pozostawały te same. Wyglądało to niczym wizja piekła neoimpresjonisty.

Kin poruszyła się.

Wywołała popłoch - czerwone światełka spłynęły ze ścian i zebrały się wokół niej. Wstała i doświadczalnie tupnęła. Doświadczenie było najważniejszym określeniem: należało postępować racjonalnie i nie dać się zwariować. Wydawało jej się, że jest przygotowana na wszystko: roboty, lasery, obcych w srebrzystych skafandrach, inteligentne glisty i inne podobne. Na te światełka nie była przygotowana, tym bardziej że one niczego poza sobą nie oświetlały.

- Chcę się stąd wydostać! - warknęła.

Błysnęło, łupnęło i stała w łukowo sklepionym tunelu, czując ozon, rozgrzany metal i smar maszynowy. Tunel był jasno oświetlony przez pas lamp ciągnący się przez całą długość sufitu, a wzdłuż ścian biegły rury, kable i przewody różnych grubości i barw. Podłoga stanowiła liniowy labirynt torów, gdzieś z oddali dobiegały stuki i dźwięknięcia. Powietrze pełne było spieszących się gdzieś elektronów.

Wybrała kierunek i ruszyła do przodu, starannie omijając wszystko, co wyglądało choć z lekka elektrycznie. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że znajduje się we wnętrzościach maszynerii umożliwiającej funkcjonowanie tego wszechświata. Wszystko tu wyglądało staro i mechanicznie, co było trudne do pojęcia. Pograżona w podziwie zmieszanym ze zgrozą minęła alkowę wydrążoną w ścianie i dopiero wtedy zauważyła w niej jakiś ruch. Odruchowo zaczęła szukać ukrycia, nim dotarło do niej, że postępuje bez sensu. Zbliżyła się i zajrzała do wnętrza.

Ruszał się robot, duży i w najbardziej funkcjonalnym kształcie - kwadratowym. Gmerał manipulatorem w niszy w metalowej ścianie, której panel osłaniający leżał na podłodze. Też był kwadratowy. Manipulator cofnął się, trzymając coś małego, czego Kin nie zdążyła obejrzeć dokładnie, nim zniknęło w pojemniku przytwierdzonym do boku robota. Z tegoż boku, nad pojemnikiem, wysunęła się szuflada i tym razem Kin mogła się dokładnie przyjrzeć zawartości jej wyściełanego wnętrza. Manipulator przez chwilę unosił się niepewnie nad szufladą, potem wybrał jeden z obiektów i delikatnie przeniósł go do niszy. Kin podeszła i wyciągnęła z szuflady inny. Był wielkości jajka, na jednym końcu miał setki wystających styków, a wewnątrz znajdowała się płatanina drutów, rurek i siatek.

Widziała już coś podobnego. W muzeum. Była to lampa elektronowa, czyli coś w rodzaju neolitycznego obwodu scalonego. Ta lampa wyglądała na wytwór kogoś, kto zadał sobie sporo trudu, by

udoskonalic istniejacą technikę, ale nigdy nie wynalazł tranzystora. Przypominało to komputery ehftów, które nigdy nie odkryły elektroniki, ale potrzebowały komputerów do skomplikowanych operacji religijno-bankowych. Toteż ich komputery składały się z tysięcy wyszkolonych ehftów, z których każdy zajmował się niewielkim fragmentem działań matematycznych. A najciekawsze, że to działało. Natomiast Kin prędzej walczyłaby z wiatrakami, niżby uwierzyła, że dysk został zbudowany przez kogoś, kto zatrzymał się w rozwoju technologicznym na etapie lampy elektronowej z termokatodą.

Robot zainstalował lampę, zamknął panel i z zadziwiającą szybkością ruszył dalej tunelem. Kin musiała dobrze wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Wiedziała już, że nie ma się czego obawiać - gdyby chcieli ją zabić, to już by to zrobili. A to oznaczało, że przeżyje. Z tym że nie na pewno.

Minęli innego skrzyniopodobnego robota zajętego lutowaniem. Kin wołała nie sprawdzać, czy lutuje druty, czy obwód drukowany. A potem jej robot dotarł do kwadratowej wnęki-gniazda i wszedł tam tyłem, z delikatnością dzika w rui, po czym wyłączył się, uzupełniając energię.

Kin stanęła i zaczęła się zastanawiać, co zajęło jej trochę czasu. Tunel, a podejrzewała, że jest ich więcej - zdawało się nie mieć końca, czyli mogła nimi wędrować wiele dni. I umrzeć. Była jednakowoż alternatywa... Zamyślona wróciła do robota lutującego i z pewnym trudem wyrwała mu w końcu manipulator, którym waliła go tak długo, aż znieruchomiał i przestał brzęczeć. Potem cisnęła manipulator na odsłonięte obwody. Zaiskrzyło aż miło.

I czekała.

Kiedy po paru minutach podjechał mały robot naprawczy, przypominający samobieżną półkulę, przewróciła go. Obzyczał ją z wyrzutem.

Następny miał kształt kropli, wiele obiektywów i poruszał się po szynie pod sufitem. Próbowala go strącić manipulatorem, ale uciekł.

Teraz wiedzieli, że tu jest, a ktoś musiał naprawiać roboty naprawcze. Wystarczyło tylko poczekać.

Po kilku godzinach nadjechało urządzenie przypominające czołg. Było pogięte i częściowo pozbawione osłony, zamiast części delikatnych manipulatorów miało jedynie kikuty. Najwyraźniej czas mu nie służył, jeśli był ostatecznym naprawiaczem. Choć z drugiej strony bezpośredni wpływ na jego stan mógł mieć Marco, siedzący na kadłubie z manipulatorem w każdej dłoni.

- Może tu nikt nie zajmuje się ludźmi, którzy przypadkiem dostaną się do wnętrza dysku - wyraziła przypuszczenie Kin.

Marco mruknął coś niezrozumiale, nie przerywając jakiegoś neolitycznego zajęcia związanego z zestawem części wyrwanych z robota i półkolistym robotem naprawczym, którego używał w charakterze młotka.

- Musi być - odparł zdecydowanie po chwili. - Ten świat musi się roić od ukrytych szybów wentylacyjnych, odpowietrzeń, studzienek energetycznych i innych podobnych, a ludzie wleżą wszędzie. Poza tym sprowadzili nas, zgadza się? A teraz po chamsku ignorują. Idziesz?

- Dokąd?

- Gdziekolwiek, gdzie jest kupa kabli i coś delikatnego. To jest izolowane. - Machnął trzymanym w garści kawałem manipulatora przypominającym przerośniętą maczugę. - Spicie można robić spokojnie.

- A tamto? - Kin wskazała na kilka połączonych ze sobą elementów zakończonych prymitywnym, acz pokaznym ostrzem.

- To? - Marco zważył swe rękodzieło. - Też się przyda. Broń to broń.

- Spodziewasz się może spotkać tu jakiegoś robota przeciwpiechotnego?

Marco profilaktycznie wolał nie spoglądać jej w oczy.

- Robota to nie, ale Silver możemy napotkać - wykrztusił wreszcie. - Co, myślisz, że znalazła tu coś do jedzenia? Albo masz jakieś lepsze pomysły? - Ruszył w głąb głównego tunelu. - Poza tym, gdybyś nie zauważyła, te tunele są oświetlone - dodał po paru krokach. - Roboty nie potrzebują światła.

Kin wzruszyła ramionami. Zniszczenie oświetlenia było w tych warunkach rozsądnym posunięciem. Tylko że Marco wyglądał na gotowego do rozpieprzenia całego dysku. Właśnie ciął kable - to nie było zachowanie mające przyciągnąć uwagę. To był początek wojny Marca ze wszechświatem.

Swoją drogą ciekawe, jakie skutki jego działanie wywarło na powierzchni? Plagę much? Deszcz żab? Wyschnięcie mórz? Wymarcie dodo?

Ruszyła biegiem: Marco spowity w dym i tnący pęk kabli szerszy niż on sam w pasie wyglądał upiornie, lecz gorsza była charakterystyczna „skokowość” jego ruchów, świadcząca, że dostał szału. Albo przynajmniej obudził się w nim prawdziwy kung. Zatrzymała się gwałtownie, gdy ostrze przemknęło o cale od jej gardła.

- Chcą się bawić w chowanego? - wychrypiął Marco. - Doświadczenie? Żeby zobaczyć nasze reakcje, co? No, to niech patrzą!

Kolejny cios wywołał eksplozję jakiegoś układu.

- Pokażę im!

Kin cofnęła się, nie spuszczać wzroku z ostrza i nagle dojrzała jakiś ruch w prawo od jego prywatnego obłoku dymu. Marco dostrzegł wyraz jej twarzy i zawahał się, o ułamek sekundy za długo.

Silver skoczyła i oboje stali się płataniną kończyn. Próbowwała objąć go w uścisku, od którego pękały kości, lecz był zbyt zwinny. Próbowwała wyposażoną w pazury nogą wypruć mu flaki, ale razem z resztą

kunga były wyżej, sięgając do jej oczu. Trzy ręce Marca skupiły się na niej, czwarta zaś, trzymająca domowej produkcji pikę, wykonała krótki łuk i wbiła się w jakiś kabel przesyłowy.

Rozległ się dźwięk przypominający start sporego stada szarańczy i na sekundę wszyscy znieruchomieli. Silver przypominała olbrzymią futrzaną kulę, gdyż wszystkie jej włosy stanęły dęba. Kin rzuciła się ku broni z izolowaną rękojeścią, a i tak ledwie zdołała wybić mu pikę z dłoni. Gdy to się stało, Marco i Silver zwalili się na podłogę.

Kin przyklękła przy nich, szukając oznak życia. Coś nieśmiało działało się w piersiach Silver, natomiast jeśli chodzi o Marca, nie wiedziała nawet, gdzie zacząć szukać któregoś z jego serc. Światła przygasły do pomarańczowych, z tyłu rozległy się kroki. Dziwne, klekoczące kroki. Wciąż w przykłęku, odwróciła się i przyjrzała zbliżającej się postaci.

Najwyraźniejsza była trzymana przez nią broń, która właśnie zbliżała się do niej szerokim łukiem, toteż Kin odruchowo zasłoniła się trzymanym ciągle w garści rękodziełem kunga. Ostrze kosy z głośnym brzękiem trafiło w manipulator i rozpadło się na kawałki.

Kin zaczęła się śmiać. Bo rzeczywiście stojący przed nią szkielet w czarnym szlafroku, przyglądający się z osłupieniem drewnianemu trzonkowi, jaki mu pozostał w dłoniach, wyglądał zabawnie. W dodatku cały pomysł był kuriozalny: kogo oni próbowali nastraszyć taką jarmarczną sztuczką?!

Drewno w kościanych dłoniach zafalowało, nagle zmieniając się w coś, z czym nikt nigdy Śmierci nie widział, mianowicie w wibrokosę wyposażoną w dwa rzędy poruszanych niewielkim silniczkiem zębów. Kin niejednokrotnie używała tego narzędzia do karczowania wyjątkowo opornych krzaków na nowych planetach. Śmierć zbliżył się i gdyby pchnął, Kin by nie przeżyła; ponieważ jednak stare nawyki bywają silniejsze od rozsądku, ciął. Kin znurkowała pod ostrzami, które z łoskotem trafiły w podłogę, i też zadziałała odruchowo - rąbnęła go kolaniem w krocze, ale poczuła tylko dotkliwy ból rzepki kolanowej po jej zderzeniu z kością.

Palce kościotrupa zacisnęły się na jej szyi, toteż uderzyła na odlew wierzchem dłoni prosto w twarz szkieletu i uzyskała efekt zbliżony do wybuchu w fabryce domina.

Nagle została sama. Po Śmierci pozostała jedynie czarna szata i parę odłamków kości. Kolejno zresztą zniknęły przy wtórze mikrogromów. W miarę normalny huk towarzyszył zniknięciu Silver i Marca.

Potem zniknęła także Kin.

Minutę później para sześciennych robotów wmaszerowała na miejsce zajścia i zajęła się sprzątaniem.

Teraz była w...

- Nie! Żadnych takich, mam dość! - oświadczyła Kin. - Wiesz, kiedy ostatnio mogłam się czegoś napić?

Przed nią, w powietrzu, zmaterializowała się szklanka wody, co Kin niespecjalnie zaskoczyło. Złapała ją delikatnie i wypila zawartość duszkiem. Kiedy jednak spróbowała odstawić ją na miejsce, w którym się pojawiła, naczynie spadło na posadzkę i roztrzaskało się. Teraz mogła spokojnie się rozejrzeć.

Znajdowała się w pomieszczeniu kontrolno-sterującym. I to sterującym dyskiem.

Było zaskakująco małe - z powodzeniem mogłoby być sterówką średniego statku, tyle że statek miałby więcej ekranów i przełączników. Tu był jeden ekran i jedna konsola umieszczona przed głębokim czarnym fotelem, nad którym zwiślał kask komputerowego sprzęgu.

- Mowy nie ma! - oznajmiła stanowczo. - Nie włożę tego!

Na ekranie coś zamigotało i pojawił się napis:

ZAŁOŻYMY SIĘ?

Kin podeszła bliżej, by lepiej obejrzeć fotel. Miał dziwnie skomplikowany i niepokojący kształt - wyglądał, jakby był żywy.

Siedzący w nim mężczyzna był martwy. Nie nachalnie martwy- powietrze doskonale go z mumifikowało, ale niezaprzeczalnie martwy. Gdyby wierzył w reinkarnację, odrodziłby się jako zwłoki. Na ręce widać było starą ranę - nie wyglądała groźnie, ale na podłodze widniały zaschnięte plamy krwi. Mógł się wykrwawić na

śmierć, co nie wydawało się stosownym końcem dla władcy dysku.

Jeśli to naprawdę był władca dysku... Kin jakoś nigdy nie dojrzała do tego, by o władcach dysku myśleć jak o ludziach, a nieboszczyk bez dwóch zdań był człowiekiem. Gdyby go ogolić i dać świeżą skórę, mogłby jej mówić „ciociu”.

Ekran znów zamrugał i wyświetlił jedno słowo, które pulsowało jakoś żałośnie:

POMOCY

Przykucając w półmroku, Marco nagle usłyszał głos. Po dłuższej chwili dźwięk ten wybił się z szалу bitewnego na tyle, że kung uświadomił sobie, że głos mówi do niego, na dodatek jest dziwnie znajomy. Czyżby to była ta pochodząca od małp baba?!

- Kin Arad? - chrypnął podejrzliwie.

- Marco, gdzie jest Silver?

Miliony czerwonych światełek dawały wystarczające oświetlenie, toteż bez trudu dostrzegł skulony na podłodze kształt.

- Tu. Oddycha.

- Marco, nie wiem, jak dobra w tym jestem - oświadczyło powietrze. - Będziesz musiał mi pomóc. Nie ruszaj się.

Powietrze przed kungiem zafalowało i zmaterializował się tam nóż, a raczej sztylet. Marco złapał go trójrącz, nim zdążył upaść na podłogę, i zaskoczony obejrzał wysadzaną klejnotami rękojeść.

- Nie trać czasu - ponagliło go powietrze. - Chcę, żebyś odciął kawałek Silver, tylko nie bądź nadgorliwy. Może być futro, ale lepszy byłby kawałek ciała.

Wspomnienia napłynęły falą... popatrzył na ostrze, potem na Silver i oznajmił rzeczowo:

- Ani mi się śni!

- Radzę ci, zrób, co mówię, i to szybko, bo następny nóż utkwi w tobie. Możesz mi wierzyć.

Marco ryknął wściekle, skoczył, ciął Silver w ramię i natychmiast odskoczył. Leżące na podłodze ciało mogło lekko drgnąć.

- Może być - ocenił głos. - Krew na ostrzu powinna wystarczyć. Puść nóż, Marco. Słyszysz?... Puść nóż...

PUŚĆ NÓŻ!

Marco był głodny i spragniony, a całe ciało go swędziało od ciepłego, suchego powietrza. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było oddanie broni. Jeśli w ogóle zdolny był do tak skomplikowanych operacji myślowych, bo z równym powodzeniem mogły działać odruchy.

- Dobra. Zrobimy to po twojemu. - W głosie zabrzmiało coś takiego, że Marco zwolnił chwyt.

Dzięki temu, gdy sztylet znikł, zdarł mu jedynie skórę z palców, zamiast urwać dłoni.

Marco złapał oburącz za nadgarstek, by zatamować upływ krwi, i pozwolił bólowi otrzeźwić się do reszty. Wciąż wpatrywał się w gojącą się ranę, gdy w pobliżu coś zaszumiało i łupnęło. Obok Silver na podłodze leżało coś długiego i krwawego. Ręka Silver poruszyła się sennie, wymacała ów kawał mięsa i przysunęła do ust.

A potem Silver zaczęła żuć.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Marco.

- Nie jestem całkiem pewna - przyznała Kin. - Jak się czujesz?

- Napiłbym się. I zjadł coś. Chciałaś, żebym ją ciachnął, bo potrzebowałaś próbki protein.

- Tak. Nie ruszaj się.

Coś przypominającego elastyczną butelkę wody pojawiło się obok niego i opadło, słabo się odbijając, na podłogę. Marco złapał ją pospiesznie i mało elegancko rozgryzł.

- Teraz jedzenie - ostrzegła Kin.

Inny pojemnik pełen czerwonej mazi wylądował, podskakując na podłodze. Marco spróbował go w ten sam sposób. Smakowało niczym półpłynna nuda.

- Na razie to wszystko, co potrafię - poinformowała go Kin. - Jedyne, co naprawdę zepsułeś, to garkotłuk szefa dysku. Dopóki roboty go nie naprawią, jadłospis będzie zdecydowanie nieciekawym.

- Z Silver udało ci się lepiej.

- Mówiłam, że nie mam czasu na subtelności: je shanda wyhodowanego z jej własnych komórek. Nie pytaj mnie, jak to zostało zrobione w tak krótkim czasie, bo nie mam pojęcia. Ja tu tylko wydaję polecenia. Aha, byłoby miłe, gdybyś jej nie informował, co zjadła.

- Jasne. Czyli zajmujesz raczej wpływową pozycję?

- Można to tak nazwać.

- Dobrze. To wyciągnij mnie stąd!!! Zapadła cisza.

- Sporo się nad tym zastanawiałam - przyznała w końcu Kin.

- Co robiłaś?!

- Myślałam o tym. Jesteście w pomieszczeniu przeznaczonym do badań. Dostać się tam i wydostać można tylko za pomocą teleportacji, a gdybyś wiedział to, co ja o tym wiem, wolałbyś zostać i umrzeć z głodu. Nie chcę ryzykować przebicia się przez ścianę, bo możecie przy okazji oberwać. Biorąc to wszystko

pod uwagę...

O metr od kunga powietrze eksplodowało długim kształtem, który z hukiem opadł na podłogę. Marco przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Wygląda jak przemysłowy dezintegrator molekularny - ocenił.

- Bo jest. Sugeruję, żebyś używał go naprawdę delikatnie.

Marco uśmiechnął się upiornie i sięgnął po dezintegrator... Spory fragment ściany zmienił się w mgłę. Marco wyłączył urządzenie i obejrzał się: Silver klęczała, trzymając się za głowę.

- Jak się czujesz? - Marco trzymał dezintegrator nie całkiem wycelowany w Silver. Przyjrzała mu się z wysiłkiem.

- Dziwne rzeczy się działy... - wymamrotała. Marco pomógł jej wstać, co było wyłącznie uprzejmością, jako że ważyła dobre dziesięć razy tyle co on, a po-

za tym potrzebował jednej ręki, by trzymać dezintegrator nie całkiem wycelowany w Silver.

- Możesz iść? - spytał.

Mogła głównie się zataczać, ale mniej więcej w tym samym kierunku, toteż ruch do przodu był możliwy.

Gdy dotarli do dziury w ścianie, Marco wyjrzał ostrożnie, ale oprócz pary półkolistych robotów obwążujących kupkę pyłu, w którą zmieniała się ściana, w tunelu nie było nikogo. Marco przyjrzał się Silver i wycelował dezintegrator w bliższego robota.

- Odłóż to! - polecił robot, cofając się pospieszenie.

- KinArad?

- Marco, możesz zatrzymać dezintegrator, bo cię to uspokoi, ale jeśli go użyjesz, powyrywam ci wszystkie ręce. Po kolei. Mogę i zrobić to, lepiej mi uwierz!

Marco rozważał to przez dłuższą chwilę, podczas gdy Silver gramoliła się na korytarz. Potem wzruszył wszystkimi czterema ramionami i puścił dezintegrator, który z hukiem wylądował na podłodze.

- Małpia logika - ocenił. - Nigdy jej nie zrozumiem.

- A podobno byłeś prawie człowiekiem? - zdziwił się robot głosem Kin. - Przynajmniej tak myślałeś.

- I co z tego? Całe myślenie wszechświata nie zmienia pewnych spraw.

- Cogito ergo kung - mruknął robot. - Chodźcie za mną. No, to poszli w ślad za toczącym się robotem.

Godzinę później ciągle za nim szli.

Pokonali szerokie metalowe przepaście, przechodząc po ażurowych mostkach, i przeczekali w niszach przejazd ogromnych maszyn zajmujących całą szerokość tunelu. Skorzystali z windy mającej postać nie osłoniętej barierkami platformy, dzieląc ją z tuzinem pomrukujących i rozsiewających woń ozonu złotych cylindrów. Wędrowali wąskimi przejściami między huczącymi, zdającymi się nie mieć szczytów machinami.

- Krelle - powiedziała w pewnym momencie Silver.

- Co?

- Nigdy nie oglądałeś Zakazanej planety? To taki ludzki film, nakręcili chyba z sześć coraz to nowszych wersji. Zanim zaczęłam studiować, statystowałam w ostatniej.

- Nic sobie nie przypominam.

- Musiałam walić w drzwi i ryczeć. I dzielić garderobę z robotem. Był człowiekiem.

- Robot człowiekiem? Co ty bredzisz?

- Aktorzy byli robotami, ale w filmie występował jeden prymitywny zresztą robot i reżyser nie mógł znaleźć robota, który potrafiłby się tak głupio zachowywać. No, to wynajął człowieka. W tym filmie jest scena wewnątrz olbrzymich maszyn zbudowanych przez wymarłą rasę, która niegdyś zamieszkiwała planetę. Nazywali się krelle, jeśli dobrze pamiętam... To wszystko było wymyślone tylko na potrzeby filmu.

- Urwała, widząc jego minę.

Marco westchnął.

- Za długo przebywamy wśród ludzi - uznał. - Oboje jesteśmy skażeni ich szaleństwem.

- Przecież wychowałeś się na Ziemi i prawnie jesteś człowiekiem.

- Papiery były na statku, więc można to uznać za czas przeszły dokonany.

- To uważaj się za kosmopolitę - poradziła Silver.

- A co to naprawdę znaczy?

- Dobrowolne podporządkowanie świadomości rasowej podstawowej jedności wszystkich istot rozumnych.

- To wcale tego nie oznacza - warknął Marco. - To oznacza nauczenie się języków, którymi mogą mówić małpy, żeby dało się z nimi dogadać, i dostosowanie się do ich zachowań. Widziałas kiedyś człowieka zachowującego się jak shand albo kung?

- Nie, ale z drugiej strony to Kin była wolna, nie my. Ludzie zawsze obejmują przywództwo i osiągają to, co chcą. Lubię ludzi, moja rasa też lubi ludzi. Może gdybyśmy nie lubili, już bylibyśmy martwi. A to co?

Przed nimi, może z pół mili nad maszyną, górowała wieża wyglądająca jak gigantyczne kule poukładane jedna na drugiej i świecące głęboką czerwienią. Na otaczających ją podestach pełno było robotów, które widziała Silver, a których nie miał szans dostrzec Marco.

- Przerośnięty ekspres do kawy? - zaryzykował. Silver głośnym okrzykiem przywołała robota-przewodnika.

- Co to jest? - spytała, wskazując rząd kuł znikających w sklepieniu jaskini.

- W zasadzie to nieskomplikowane urządzenie służące do podgrzewania skał do stanu płynnego i wyrzucania ich w górę pod ciśnieniem.

- Po co? - zdziwił się Marco.

- Wulkan - odparł zwięźle robot.

- To wszystko po to, żeby na dysku działał wulkan?! - Marco był pod wrażeniem. - Szaleństwo!

- Tak? - Robot ruszył w dalszą drogę. - Poczekaj, aż zobaczysz maszynę do trzęsień ziemi...

Podróż we wnętrznościach dysku zajęła dwa dni, a przynajmniej tak wynikało z obliczeń Silver i Marco. Czasami jechali na lorach poruszających się z denerwującą powolnością, ale znacznie częściej szli, wspinali się czy czołgali po kratownicach. Zdarzały się też sprinty przez rozjazdy pełne samobieżnych maszyn zajętych własnymi zadaniami. Od czasu do czasu trafiali na garkotłuki wyróżniające się z otoczenia nowością. Otoczenie bowiem było zużyte. Zadbane i pieczołowicie naprawiane, ale zużyte.

Marco poruszył ten temat, gdy odpoczywali oparci o obudowę garkotłuka, spożywając kolejny posiłek.

- Gdyby mieszkańcy jakimś cudem zrobili tu rewolucję techniczną i obejrzeliby sobie to, co my widzimy, byłiby przerażeni - ocenił.

Silver przeżuła kawałek pieczonego shanda, przynajmniej tak to oceniał Marco.

- Zdziwiałam, że budowniczowie dysku pozwolili na takie uwstecznienie - zgodziła się po namyśle.
- Zauważyłam zaskakującą liczbę uszkodzonych i nie naprawionych urządzeń. Przecież można je naprawić, więc dlaczego tego nie zrobiono?

- A kto naprawi maszynę, która wykonuje naprawy? - spytał w odpowiedzi Marco. - Takie urządzenie jak dysk musiało przez sto lat zużyć od cholery albo i więcej bezpieczników. A co zrobisz, jeśli nawali robot naprawiający maszynę produkującą części do fabryki wytwarzającej roboty obsługujące linię robującą bezpieczniki? Jeżeli nie ma okresowej naprawy wykonywanej przez ekipę z zewnątrz, dysk jako całość stopniowo się niszczy i będzie się niszczył i zużywał.

- Możemy spytać robota - zasugerowała Silver.

Był to płaski dowcip, bowiem robot mógł odpowiedzieć na każde bezpośrednie pytanie związane z otaczającą ich maszyną - wysłuchali na przykład dziesięciominutowego wykładu o urządzeniu regulującym przypływ, za to zbywał kompletnie jakiegokolwiek inne pytania. Marco miał ochotę otworzyć go i wtedy zacząć pytać, ale tym razem ostrożność wzięła górę.

- To miejsce z czerwonymi światełkami musi znajdować się w pobliżu krawędzi - odezwała się Silver. - Mam wrażenie, jakbyśmy ponownie zbliżali się do środka dysku.

Robot czekający dotąd spokojnie parę metrów od nich podjechał i spytał radośnie:

- Wypoczęliśmy? To ruszamy. Oboje wstali sztywno i poszli za nim.

Metalowa ścieżka z barierkami prowadziła do dużego, okrągłego i jasno oświetlonego pomieszczenia. Większość światła pochodziła ze świecącej mgły pod sufitem, ale sporo wypromieniowywało niewielkie sztuczne słońce unoszące się około stu metrów nad szczegółowym modelem powierzchni dysku. Model liczył kilkaset metrów średnicy i wyposażony był w miniaturowe chmurki rzucające cień na ziemię. I w aktywne wulkaniki. Otaczająca go galeria nie miała poręczy, a powierzchnia aż nazbyt realistycznie wyglądającego morza znajdowała się ledwie o metr poniżej.

Marco długą chwilę przyglądał się modelowi, w końcu stwierdził:

- Poddaję się. Ładne, fakt, ale po co to jest?

- Projekt architektoniczny nasuwa się jako pierwsza odpowiedź - zadudniła Silver. - Ale przeczy temu pewna rzecz... widzisz, o tam, za wewnętrznym morzem.

Marco wytrzeszczył oczy, potem je zmrużył:

- Nie widzę. Ci budowniczowie albo mieli cholernie dobry wzrok, albo to jest tylko na pokaz.

Miał zamiar spytać o to robota, ale ten gdzieś sobie pojechał.

- Chcielibyśmy z bliska obejrzeć mapę dysku - oświadczyła niespodziewanie Silver, kierując te słowa do pustego powietrza.

Z przeciwnej strony mapy nadleciało w odpowiedzi coś, co wyglądało jak latająca tafla szkła, i znieruchomiała tuż przed nią. Silver ostrożnie weszła na to, ale nawet nie drgnęło pod jej ciężarem.

- Widzę i nie wierzę - sapnął Marco. - Jak to zrobiłaś?

- Normalnie, chyba zaczynam rozumieć, jak to wszystko tu działa. Lecisz czy zostajesz?

Marco naturalnie wsiadł za nią, a szklany dywan posłusznie wykonał polecenie Silver, przelatując o centymetry ponad chmurami. Marco miał nieodpartą ochotę sięgnąć i wywołać tam coś w rodzaju cyklonu. Mapa była tak realistyczna, że zaczął się zastanawiać, czy gdyby dotknął powierzchni na prawdziwym dysku, pojawiłaby się gigantyczna ręka. Z marzeń wyrwał go głos Silver, toteż posłusznie spojrzął w dół - pod nimi była spalona i zniszczona ziemia, a w samym centrum zniszczeń ziała okrągła dziura.

Metodą prób i błędów Silver odkryła, że podnosząc nieco platformę, powoduje powiększenie obrazu terenu znajdującego się bezpośrednio pod nią. Powiększenie na dobrą sprawę wydawało się nieograniczone, gdyż zobaczyć można było nawet mikroskopijne sylwetki ludzkie, prawie nieruchome. Prawie, gdyż mniej więcej co sekundę obraz migał i postaci zajmowały nieco inne pozycje. Marco skoncentrował się w pewnym momencie na homunkulusie rąbiącym drewno. Sekwencja wyglądała tak: siekiera w powietrzu - mig - wbita w pień - mig - znów w powietrzu, i z pnia zniknął kawałek drewna.

- To wykonalne - mruknął na wpół do samego siebie. - Trzeba tylko spójnego napływu danych i ciągłej reprojekcji jako hologram.

- Do tego potrzeba mnóstwa danych - wtrąciła Silver.

- Albo jeszcze więcej. Praktycznie wymagane są informacje o każdym żywym stworzeniu.

- Zauważyłeś puste obszary?

- Może akurat nie było pod ręką wolnego ptaka? Silver przytaknęła ponuro i rozejrzała się po mapie--modelu.

- Ta mapa powinna także zawierać miniaturę mapy dysku - powiedziała powoli i uśmiechnęła się.

Zgodnie z jej poleceniem platforma zawisła nad środkiem makiety - żadne z nich nie wątpiło, że pomieszczenie, w którym byli, znajduje się w centrum dysku. Pod nimi ukazała się kopuła i Silver po serii prób, które niczego nie dały, w końcu obniżyła platformę. W dole zobaczyli znikający metal i rozstępującą się ziemię, z której wyszły maszyny, by następnie zniknąć po bokach i ukazać mały okrągły dysk. W jego centrum widać było dwa punkty - szary i biały, które powiększyły się w dwie postaci, jedna była duża i kudłata, druga chuda i wieloręka. Obie wpatrywały się z natężeniem w coś pod stopami...

Mig... Chuda spoglądała teraz w górę ku miniaturowej galerii otaczającej mapę mapy... Mig... na galerii stała nowa postać... Mig... postać uniosła rękę... Mig...

- Cześć - powiedziała Kin.

Silver nie była specjalistką od ludzkich zachowań i wyrazów twarzy, ale była pewna, że Kin od dawna nie spała. Prawdę mówiąc, chwiała się lekko na nogach.

- Cieszę się, że tu dotarliście. Nie mogłam komputerom kazać was teleportować, gdyż istnieje trzydziestoprocentowy margines błędu energetycznego, zwłaszcza w fazie synchronizacji. Chodźcie, nie zostało nam zbyt wiele czasu.

- My... - zaczął Marco.

- Robimy, co mówię - przerwała mu Kin. - Chodźcie!

Marco już miał ponownie zacząć protestować, ale Silver złapała go za dwa ramiona i poprowadziła w ślad za znikającą już w tunelu Kin. Tunel nie był długi i prowadził do stalowej jaskini mniej więcej o połowę mniejszej od tej, którą opuścili. W jej wnętrzu, na podłodze, stał statek kosmiczny. A przynajmniej tak to wyglądało na pierwszy rzut oka.

Przede wszystkim nie miał silników poza odrzutowymi, służącymi jedynie do lotów w atmosferze. Poza tym składał się głównie z kabiny, i to tak przeszklonej, że można by w niej hodować winogrona. A na dodatek wciąż kręciły się wokół niego przypominające kości do gry roboty różnych wielkości. Jeden właśnie kończył malować wspornik podwozia, a dwa inne montowały coś na krótkim skrzydle.

Kin podczas tych obserwacji zdążyła znaleźć się na pokładzie, toteż Marco, nie mając wyjścia, wszedł po krótkiej drabince i wpadł do kabiny. Kin siedziała przy konsolce w kształcie podkowy, z której pęki różnokolorowych kabli biegły do najwyraźniej przypadkowo rozmieszczonych we wnętrzu metalowych skrzynek.

Na samym środku podłogi grupa minirobotów gorączkowo miotła się wśród pęku przewodów i jakichś metalowych kształtów. Jeden tak długo trącał go w stopę, aż Marco go przesunął.

- Silver, zamknij drzwi! - poleciła Kin. - I módl się do jakiegoś boga.

Po czym odwróciła się i oznajmiła takim tonem, że jasne było, iż nie zwraca się do pozostałej dwójki:

- Jesteśmy gotowi. Odpowiedź napłynęła zewsząd: UMOWA STOI?

- Stoi - potwierdziła Kin.

Przez chwilę nic się nie działo, potem statkiem lekko zatrzęsło. Marco wyjrzał: ściany jaskini przesunęły się w dół.

- Nie mówcie nic bez zastanowienia - ostrzegła Kin. - Najlepiej nic nie mówcie. I nie myślcie, jeśli chcecie wrócić do domu. Po prostu mi zaufajcie, dobrze?

Kabinę nagle zalało światło słoneczne. Marco zadarł głowę i dostrzegł złociste niebo w rozsuwającym się fragmencie dachu. Statek wraz z kawałkiem podłogi unosił się wprost ku temu otworowi. W kabinie mały robot ciągnął uparcie kawał rurki z pęku wystającego w podłodze. W pewnym momencie przystanął, zawahał się i złapał rurkę innym manipulatorem, przecinając ją natychmiast.

Silver nerwowo potrząsnęła głową, bo coś ją połaskotało w ucho. Gdy się ostrożnie obejrzała, znalazła się oko w receptor z małą metalową kostką zwisającą z sufitu dzięki trzem manipulatorom. Kostka co prawda nie miała twarzy, ale wyglądała na zawstydzoną. W czwartym manipulatorze robot trzymał

suwmiarkę.

Marco syknął i stracił innego, próbującego wdrapać się na jego nogę. Robot wylądował na pokładzie na plecach, gorączkowo usiłując wstać za pomocą sześciu ramion.

Kin zaczęła się histerycznie śmiać.

- Nie bądźcie dziecinni - zaproponowała, łapiąc oddech. - Podczas skoku w nadprzestrzeń chcielibyście być w fotelach kompensacyjnych, i to jeszcze odpowiedniego kształtu, tak? To nie przeszkadzajcie im brać miary.

Marco już miał zaprotestować, gdy coś dotknęło jego twarzy. Spoglądając w dół, dostrzegł metalową taśmę sięgającą pokładu. Spoglądając w górę, dostrzegł zwisającego z sufitu robota, który ją właśnie rozwinął. Westchnął i nie odezwał się słowem.

Wokół statku był dzień - wynurzyli się na powierzchnię na plaży, spory kawał od miedzianej kopuły. O parę metrów od burty pluskało leniwie morze, a roboty kończyły rozpylać pianę na trzech konstrukcjach z dziwnie powyginanych rur przytwierdzonych do podłogi. Piana zastygła w kształty generalnie odpowiadające kształtom człowieka, kunga i shanda.

- Mamy chwilę czasu do startu. - Kin wstała. - Ma ktoś jakieś pytania?... tak też sądziłam, niestety. Dobra, ale najpierw przypnijcie się do foteli.

- Nie chcesz chyba skakać w nadprzestrzeń z powierzchni dysku? - odezwał się Marco. - To się nie może udać!

- Zrobiłeś tak na twojej planecie - przypomniała Kin, siadając w fotelu.

- Kung nie jest otoczony przezroczystą kopułą!

- Nie chcę skakać już teraz i stąd. Fotele będą jednak niezbędne do pierwotnego startu.

- A kto będzie za sterami? Nie sięgnę do nich z fotela!

- Nikogo nie będzie za sterami, zresztą nawet nie ma startowych. Zaufajcie mi.

- Nie ma sterów i chcesz, żeby ci zaufać?!

- Tak, chcę, żebyście mi zaufali. Marco zaniemówił. Po chwili położył się i zapiął pasy, co Silver bez gadania zrobiła już jakiś czas temu. Po chwili ciszy odezwała się Kin:

- Marco, widzisz okrągły ekran?

- Widzę.

- To radar. Jak zobaczysz coś na nim, daj znać. A teraz jestem wam chyba winna wyjaśnienia...

Starając się nie myśleć, Kin usunęła trupa z fotela i siadła przed proszącym o pomoc ekranem. Nie spuszczaając wzroku z kasku, położyła dłoń na oparciu. Nic się nie stało poza tym, że na ekranie wyświetlił się inny napis:

JESTEŚ KIN ARAD.

- To...- Głos Kin zabrzmiał jakoś słabo w niewielkim pomieszczeniu, więc odchrząknęła i powiedziała głośniejsz: - To się zgadza. A kim ty jesteś?

SĄDZIMY, ŻE MÓWIŁAŚ O NAS, UŻYWAJĄC NAZWY WŁADCY DYSKU, CHOĆ MY NAZYWAMY SIEBIE KOMITETEM.

- Ładnie, demokratycznie brzmi. Chciałabym was zobaczyć.

TO ŻYCZENIE CZY POLECENIE?

- Posłuchajcie. Przebyłam naprawdę długą drogę, by was spotkać, a to nie jest najsympatyczniejsza pogawędka, jaką w życiu toczyłam - warknęła rozglądając się w poszukiwaniu ukrytych drzwi lub kamer, ale niczego takiego nie dostrzegła.

NIE ZROZUMIAŁAŚ NAS: JESTEŚMY MASZYNAMI. JAGO JALO NAZWAŁ NAS KOMPUTERAMI. NIE ROZUMIEMY TWOJEGO ZASKOCZENIA.

- Nie jestem zaskoczona! - zełgała. W TAKIM RAZIE PROponujemy, ŻEBYŚ ZASKARŻYŁA SWOJĄ TWARZ O OSZCZERSTWO.

- Dlaczego potrzebujecie pomocy? To ja potrzebuję pomocy! Co się stało z moimi przyjaciółmi?

SĄ BEZPIECZNI W ARESZCIE PREWENCYJNYM. ZACHOWYWALI SIĘ ZBYT GWAŁTOWNIE, BY MOŻNA IM BYŁO POZWOLIĆ SWOBODNIE SIĘ PORUSZAĆ. CHCESZ, ŻEBYŚMY ICH

UWOLNILI I DOSTARCZYLI WAM ŚRODEK TRANSPORTU NA OJCZyste PLANETY? JEŚLI TAK ROZKAŻESZ, ZOSTANIE TO ZROBIONE.

- Jak ja mogę wam rozkazywać?!

ZAJMUJESZ FOTEL, DO KTÓREGO NIE MA INNEGO KANDYDATA, WIĘC JESTEŚ PRZEWODNICZĄCĄ. DLATEGO MOŻESZ WYDAWAĆ ROZKAZY. NALEGAMY, ŻEBYŚ TO ROBIŁA.

- Możecie mi zbudować statek kosmiczny?

ZBUDOWALIŚMY TAKI JAGOWI JAŁOWI. POMOGLIŚMY MU POMIMO WSZYSTKO. W TAKICH SPRAWACH MASZYNY NIE MAJĄ WYBORU. JALO WOLAŁ UCIEC Z DYSKU, NIŻ DOWIEDZIEĆ SIĘ O NIM WIĘCEJ.

Kin zastanowiła się długo, a gdy się odezwała, mówiła powoli:

- Dacie mi statek, ale jeśli zdecyduję się odlecieć, nie powiecie mi nic o dysku, tak? TAK.

- A przedtem mówiliście, że mogę wam wydawać polecenia?

TAK. JEDNAKŻE JESTEŚMY PRZEKONANI, ŻE WKRÓTCE NASTĄPI DROBNE USZKODZENIE OBWODÓW AUDIO, CO MOŻE UNIEMOŻLIWIĆ NAM USŁYSZENIE JAKICHKOLWIEK POLECEŃ.

Kin uśmiechnęła się.

- Wygląda mi to na zwykły szantaż - oceniła. - Dobrze, opowiedzcie mi o dysku.

- Na radarze pojawił się jakiś obiekt - odezwał się Marco.
- Najwyższy czas - odetchnęła Kin. - Nie martw się.
- Tak, wiem, mam ci jeszcze zaufać. To duży obiekt. Co to takiego?
- Nasz pojazd startowy.

Kin odchyliła się wygodnie w fotelu i w zamyśleniu spoglądała na pusty ekran.

- Zużywasz się jako całość - powiedziała w końcu. - Dlatego morza wariują, a klimat zmienia się bez sensu. Dysk to jeden wielki mechanizm, a każda maszyna ma ograniczoną żywotność. Dlatego Kompania buduje planety.

PLANETY TAKŻE MAJĄ OGRANICZONĄ ŻYWOTNOŚĆ.

- Ale dłuższą. Pierwsze usterki wychodzą po pięciuset tysiącach lat. CHWALISZ SIĘ?
- Nie, myślę o kilkuset milionach ludzi zamieszkujących statek kosmiczny mający postać płaskiego świata. I jak sobie pomyślę, co może się popsuć w takim statku, to mnie trzęsie. Strach i cholera.

Wstała i przeszła się wzdłuż ścian, by rozprostować kości i mięśnie, w których zaczynały dawać o sobie znać kurcze. To była długa sesja i długie zwiedzanie podziemnej części. Utkwiły jej w pamięci urządzenia do wywoływania trzęsień ziemi - tyle pomysłowości, by osiągnąć coś, co byle jaka planeta robiła samoczynnie. No i demony: z tym chociaż już udało się jej skończyć.

Marco rozpiął pasy i skoczył ku konsolocie. Wpierw przyjrzał się oskarżycielsko ekranowi radaru, potem wyrztał przez okna kabiny.

- Gdzie on się podział? Zniknął z ekranu, a był większy niż...

Whump!

Z nieba spadły szpony wystarczająco wielkie, by pochwycić statek. Były to ptasie szpony. Marco pisnął coś i dał czym prędzej nura na swój fotel.

Whump... Whump... Whumpwhump... Whumpwhump.

Statek zatrzeszczał, gdy ptak go ujął, choć zrobił to delikatnie. A potem zaczął się wznosić w serii gwałtownych, wytrząsających kości szarpnięć. Powierzchnia dysku zostawała coraz bardziej w dole, ale bujała się strasznie, więc lepiej było spoglądać w górę, gdzie niebo i morze postępowały podobnie, lecz przynajmniej były podobnej barwy.

Szpony prawie zakrywały okno w dachu, toteż Kin skoncentrowała wzrok na nich, od czasu do czasu dostrzegając jeszcze wyżej fragmenty olbrzymich, białych skrzydeł bijących powietrze powoli niczym fala przyływu.

Kabinę wypełnił nowy dźwięk, zaczynający się wśród niesłyszalnych ultradźwięków i potem przechodzący w skalę słyszalną. Był równie miły co odgłos wydawany przez mokre palce na tafli szkła:

unoszący ich rok zaśpiewał.

Kin doskonale rozumiała, skąd się wzięły demony. Wiedziała, że są potrzebne, ale miała ich dość, toteż zdecydowała, iż nadszedł kres ery demonów. Te, które spotkała, były prawie ludzkie w porównaniu z większością wyhodowanych w laboratoriach pod kopułą. Służyły jako policja dysku, strasząc w prowadzących na dół przewodach wentylacyjnych i innych zejściach, odganiając zbyt awanturnicze jednostki znad krawędzi i od czasu do czasu porywając nowego przewodniczącego dla komitetu.

Odruchowo spojrzała na wiszący nad fotelem kask sprzęgu komputerowego - nie miała ochoty sprawdzać, czy pasuje, a komputery też jakoś jej nie naciskały, ale pokazały jej dokładnie, jak działa całość. Dyskiem kierowały komputery: regulowały przypyły, zajmowały się hodowlą lilii i innymi polami uprawnymi, ale konstruktorzy dysku opracowali je jako mechanizmy służebne, by planeta nie stała się zbyt mechaniczna. Do długotrwałego rytmicznego działania potrzebowały poleceń człowieka.

W liczącej siedemdziesiąt tysięcy lat historii dysku przewodniczących było dwustu osiemdziesięciu. Każdego przemocą umieszczano w fotelu, wsuwano mu na łeb kask i uczono nowych informacji i obowiązków.

- Nie da się z neolitycznego prymitywa zrobić planetarnego zarządcy! - oburzyła się Kin.

DA SIĘ. ROBILIŚMY TO WIELOKROTNIE. BUDOWNICZOWIE DYSKU MĄDRZE NAS ZAPROGRAMOWALI.

- Opowiedzcie mi o nich. Ekran zgasł.

Whump.

Rok nie tyle leciał, ile przepychał się przez powietrze, roztrącając z pogardą górne warstwy atmosfery. Powodowało to duże przeciążenia w niespodziewane strony i skutecznie zniechęcało do rozmowy. Jak się okazało, najmniej zniechęcało Silver.

- Rozumiem, po co takiemu urządzeniu jak dysk potrzebny jest inteligentny nadzorca - stwierdziła, robiąc przerwy na „whumpy”. - Maszyny nie mogą poradzić sobie ze wszystkimi problemami... jakie mogą wyniknąć. Ale nie rozumiem tego co ty: jeśli taka istota nie była technicznie zaawansowana, nim zostanie nadzorcą... to po prostu by zwariowała.

Kim przygotowała się na kolejne machnięcie skrzydeł, które nie nastąpiło - przez okna widać było szeroko rozpostarte skrzydła o drgających końcówkach piór. Rok zaczynał lot szybowy. Kabina była lekko przekrzywiona dziobem w dół, dzięki czemu przez przednie okna doskonale widać było połowę dysku wyglądającą niczym czarna klejnotów ciśnięta w niebo. Przed nimi zaś znajdował się wodospad na skraju ozdobiony słońcem pyszniącym się niczym największy klejnot.

Rok zaczynał nurkowanie, kierując się ku słońcu i od czasu do czasu poruszając olbrzymimi mięśniami, by pozbyć się lodu tworzącego się na upierzeniu. Lód połyskiwał w promieniach słońca, lecąc w dół, co trwało naprawdę długo.

Kin przykleknęła na antygrawitacyjnej platformie, obserwując małe postaci Silver i Marca przedzierające się przez tunele pełne wybitnie aktywnych maszyn spieszących na miejsce katastrofy sprzed kilku dni. Zastanawiała się przelotnie, czy gdyby jakiś średniowieczny chłop został przewodniczącym, zdołałby pomóc komputerom w naprawie dysku. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło...

Wstała, poleciła platformie wrócić do otaczającej mapę galeryjki i udała się do sterowni.

WITAJ.

- Nie potrzebujecie mnie już, powiedziałam wszystko, co wiedziałam, żeby wam pomóc się naprawić. Zajmie to trochę czasu, ale zdołacie to zrobić, nie niszcząc zbytnio przy okazji biohemisfery. Ale to nie będzie trwać w nieskończoność, chyba że otrzymacie pomoc z zewnątrz.

WIEMY. ENTROPIA JEST PRZECIWKO NAM.

- Używanie części jednych maszyn, by naprawić inne, nie jest metodą na dłuższą metę. Może wystarczyć jeszcze najwyżej na sto lat.

WIEMY.

- A obchodzi was los ludzi zamieszkujących powierzchnię?

TO NASZE DZIECI.

Kin przyjrzała się napisowi na ekranie i zaproponowała cicho:

- Opowiedzcie mi o Jagu Jalu. Musiał się wam wydawać wysłannikiem bogów.

JUŻ WCZEŚNIEJ ZDAWALIŚMY SOBIE SPRAWĘ, ŻE DYSK JEST SKAZANY NA ZAGŁADĘ. W TYM CZASIE MIELIŚMY JESZCZE EKRAN ANTYMETEORYTOWY, STOSUNKOWO ŁATWO WIĘC SPOWODOWALIŚMY, ŻE JEGO STATEK WYTRACIŁ SZYBKOŚĆ. OBSERWOWALIŚMY, JAK MNIEJSZYM STATKIEM PODLECIAŁ DO SKLEPIENIA NIEBIOS, ALE NIESTETY NIE MOGLIŚMY SIĘ Z NIM SKONTAKTOWAĆ, GDYŻ MOGŁOBY TO WZBUDZIĆ JEGO PODEJRZENIA LUB - CO GORSZA - PRZESTRASZYĆ.

- Więc pozwoliliście mu wylądować? NIESTETY PODCZAS OBNIŻANIA LOTU ROK ZAINTERESOWAŁ SIĘ JEGO STATKIEM.

- Rok?

TO TAKI DUŻY PTAK.

- Nie wierzę - odezwał się Marco. - Widzę i wciąż nie wierzę. On nas zanieś do domu czy jak?

Pod sobą widzieli zakurzoną smugę, a potem niewyraźną wodę, gdy znaleźli się nad morzem.

- Nie widziałeś tego wielkiego jaja w zoo? - spytała słabo Kin. - Tam, gdzie was w klatce trzymali, gdybyś zapomniał co to zoo... Nie zastanowiło cię, czyje to jajko? Naturalnie, że nie zanieś nas do domu, to tylko olbrzymi ptak. Widziałam jego plany i parametry.

- Wiem, że to głupio brzmi w takich warunkach, ale takie stworzenie nie może istnieć - powiedziała Silver. - Zwaliliby się pod własnym ciężarem.

- On waży tylko pięć ton - wyjaśniła Kin. - To zresztą jedna z najlepszych konstrukcji budowniczych dysku. Żyje, ale ścięgnięta ma podobne do naszych Lin, a kości są pneumatyczne: to rury wypełnione gazem

pod ciśnieniem. Doskonały pomysł i świetne wykonanie.

- To dlaczego traci wysokość? - zainteresował się Marco. - Będziemy wodować, jak tak dalej pójdzie...

- Będziemy, dlatego proponuję, żebyś wrócił na fotel - doradziła Kin.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę będziemy wodować?!

Marco spojrzał w dół: fale były tak blisko, że mimo prędkości wyraźnie było widać każdą z nich. Potem spojrzał przed siebie na czerwone słońce, do połowy ukryte za linią wody.

- Nie! - jęknął. - Powiedz mi, że się mylę! Powiedz mi, że nie planujesz tego, co myślę, że planujesz...

- Nie wiem, czy wam to pomoże, ale Jago Jalo był szalony według wszelkich możliwych standardów. Nawet norm swojej zwariowanej epoki - dodała Kin.

TO STAŁO SIĘ OCZYWISTE, ALE ZBYT PÓŹNO. NIE WZIĘLIŚMY POD UWAGĘ, ŻE JAKAKOLWIEK RASA BĘDZIE WYSYŁAŁA W KOSMOS WARIATÓW.

- W czymś takim tylko wariat mógł polecić.

ZJAWIŁ SIĘ TU ZE ZDEMONTOWANYM Z ŁADOWNIKA LASEREM GEOLOGICZNYM. ZABIŁ ÓWCZESNEGO PRZEWODNICZĄCEGO.

- Nie próbowaliście go powstrzymać?!

NIE OTRZYMALIŚMY TAKICH POLECEŃ. W DODATKU POCHODZIŁ Z CYWILIZACJI TECHNICZNEJ I MUSIELIŚMY BRAĆ POD UWAGĘ PRZYSZŁOŚĆ DYSKU. KAZAŁ NAM ZBUDOWAĆ SOBIE STATEK KOSMICZNY. NIE BYŁO TO TRUDNE, A OBLICZYLIŚMY, ŻE JEŚLI POMOŻEMU MU WRÓCIĆ NA OJCZYSTĄ PLANETĘ, NIEDŁUGO ZJAWIĄ SIĘ NASTĘPNI GOŚCIE. DLATEGO WYSŁALIŚMY Z NIM JEDNEGO Z NASZYCH PTAKÓW-SZPIEGÓW ZWANYCH OCZAMI BOGA ALBO PO PROSTU KRUKAMI.

- To dlaczego się z nami nie skontaktowaliście, gdy tylko przylecieliśmy?! Cholera, żarły mnie wszy, omal nie zostałam śniadaniem dla przerośniętego żółwia i wylądowałam w haremie, że nie wspomnę o...

POSTANOWILIŚMY NAJPIERW WAS OBSERWOWAĆ. NIE MOGLIŚMY MIEĆ PEWNOŚCI, ŻE JALO JEST WYJĄTKIEM. A CZTERORĘKIE STWORZENIE TYLKO POTWIERDZAŁO NASZE SPOSTRZEŻENIA.

- Wiecie, że potrafimy budować światy, właściwe światy, czyli planety. Możemy zbudować taką dla mieszkańców dysku. Wiecie, że to kopia mojej rodzinnej planety?

TAK.

- Wiecie, dlaczego tak jest? TAK.

- Powiecie mi?

Przez kilkanaście sekund ekran pozostawał pusty, za to potem pojawiło się na nim tyle, że komputery musiały zmniejszyć wielkość liter, a Kin wstać, by je odczytać.

CHCESZ WIEDZIEĆ O BUDOWNICZYCH DYSKU, CHCESZ SIĘ DOWIEDZIEĆ, DLACZEGO ZBUDOWANO COŚ TAKIEGO. MOŻEMY CI TO WSZYSTKO POWIEDZIEĆ, ALE TO NASZA JEDYNA KARTA PRZETARGOWA. MOŻLIWE, ŻE ZAMIERZASZ WRÓCIĆ, BY SPLĄDROWAĆ DYSK, JAK PLANOWAŁ JALO. NIE

ZDOŁAMY CI PRZESZKODZIĆ, ALE ROZUMIEMY, ŻE NAJBARDZIEJ CENISZ WIEDZĘ. DAMY CI WIEDZĘ, A TY ZBUDUJESZ NOWY DOM DLA NASZYCH DZIECI.

Kin już się nad tym zastanawiała i uznała, że to wykonalne, choć trudne. Należało zacząć od zbudowania gwiazdy typu G w odległości kilku minut świetlnych od dysku, chyba że w okolicy była jakaś nadająca się do wykorzystania...

- Będziemy potrzebowali waszej wiedzy technicznej dotyczącej teleportacji, inżynierii genetycznej i paru innych kwestii - uprzedziła.

OTRZYMACIE JĄ NATURALNIE.

- W takim razie zbudujemy taką planetę. Jeśli nie zrobi tego Kompania, to założę własną firmę z pomocą kilku mniejszych i zbuduję co trzeba.

W TAKIM RAZIE UMOWA STOI.

- Oł, tak? Nie potrzebujecie... faktycznie, chyba nie mogę dać wam żadnych zabezpieczeń - przyznała.

OBSERWOWALIŚMY CIĘ. OBLICZYLIŚMY, ŻE SZANSA DOTRZYMANIA PRZEZ CIEBIE UMOWY WYNOŚI 99,87 PROCENT. WŁÓŻ KASK.

Kin spojrzała w górę i nie poruszyła się.

UFAMY CI, WIĘC I TY ZAUFAJ NAM. KASK PODŁĄCZY CIĘ BEZPOŚREDNIO DO OBWODÓW ZAPROGRAMOWANYCH NA PODOBNE SYTUACJE. DAMY CI NIE INFORMACJE, LECZ WIEDZĘ, KTÓREJ NIE UZYSKASZ NIGDZIE WE WSZECHŚWIECIE.

- Podobno człowiek całe życie się uczy - mruknęła Kin.

PRAWDA. KTO NIE CHCIAŁBY BYĆ MĄDRZEJSZY? Kin westchnęła i sięgnęła po kask.

Na środku pokładu kłębiły się miniroboty. Jeden podjechał do konsoli sterowniczej, ciągnąc za sobą kabel, inne skupiły się koło dziwnie wygiętego lustrzanego pręta. Kiedy Kin mu się przyjrzała, zaćmiło ją w oczach - pręt wydawał się niemożliwie wygięty, co oznaczało, że wszystko jest w porządku. Był bowiem sercem matrycy niezbędnej do lotów pozaukładowych. O tym, co by się stało, gdyby się nie udało jej zbudować, wołała nawet nie myśleć.

Roboty zbudowały też normalny fotel dla pilota przed konsolą. Zajmował go klnący na czym świat stoi Marco.

- To będzie zupełnie jak szukanie przerębli we mgle - oświadczył, gdy skończył. - Mam tylko nadzieję, że choć silniki odrzutowe są uczciwe.

- Otwór będzie widoczny na ekranie - odpowiedziała Silver.

- Tak, tylko że będziemy szybko lecieć. Kin, jesteś pewna, że wszystko uwzględniono przy obliczeniach? Łącznie z szybkością obrotu dysku i jego położeniem w stosunku do kopuły? Nie sądzisz, że maszyny zdolne sterować przez siedemdziesiąt tysięcy lat tak skomplikowanym urządzeniem jak dysk są zdolne do...

- ...nawleczenia igły odległej o dziesięć tysięcy mil przez spuszczenie nici z wodospadu? Nie sądzę.

Chcę spróbować, jak działają silniki.

- Będiesz miał okazję.

Potężne uderzenia skrzydeł rozległy się ponownie, gdy rok wypuścił statek i gorączkowo zaczął nabierać wysokości, prawie muskając piórami fale. Przez chwilę lecieli prawie w stanie nieważkości, a potem zaskakująco łagodnie zetknęli się z falami. Statek zakołysał się i powoli okręcił wokół własnej osi.

Rok przesłonił gwiazdy, zawracając szerokim łukiem ku swej ukrytej dolinie.

Kin odprężyła się, mimo że - pierwszy raz od dawna - usłyszeli cichy jeszcze, choć rosnący z każdą chwilą ryk wodospadu na krawędzi świata.

Czekała, czując ciężar wybitego miękkim tworzywem kasku na głowie, ale nic się nie wydarzyło.

W końcu przypomniała sobie. Najpierw był to szok, potem stopniowo malał, w miarę jak przejmowała kontrolę nad ciałem. Zastanowiło ją, jak mogła o tym zapomnieć, lecz potem to także jej się przypomniało: nie można się uczyć, nie zapominając.

Gdzieś w umyśle czuła Kin Arad niewielki kłębek zmysłów, upodobań i doświadczeń, lecz wokół był dysk - czuła go, doświadczała tak intensywnie, iż bez trudu mogła się zatracić w tym nowym przeżyciu sprawiającym czystą żywą przyjemność. Z wysiłkiem wróciła do komputerów i pochwaliła je. A potem powoli zaczęła zwracać Kin Arad sobie, bo w końcu były jednością. Gdy się obudzi, będzie wiedziała coś o tym i zrozumie wszystko, co dotyczy dysku.

Poprawiła pewne rzeczy w umyśle będącym w niej i zadowolona pozwoliła sobie na zapomnienie...

Kin pamiętała.

Wspomnienia były twarde i realne niczym odłamki lodu.

- Dysk - powiedziała rzeczowo, zaskoczona własnym tonem - to but w pokładzie węgla i plomby u dinozaura. To znak identyfikujący twórcę. Nie mogli się powstrzymać: zbudowali idealny wszechświat zgodnie z wykazem i nie mogli nie dodać do niego tej anomalii. Umieścili ją tak, by trudno ją było znaleźć, ale pomyśleli tak, by stanowiła dowód... Skąd ja to wszystko wiem?!

W odpowiedzi na krzyk ekran nawet nie mignął.

- Wiem - stwierdziła po chwili. - Oni zbudowali nie tylko dysk... oni zbudowali wszystko: Ziemię, Kung, gwiazdy, nasze wykopaliska paleontologiczne i całą resztę. A spindle i cała reszta nigdy nie istniały, wszystko to stanowiło część sfałszowanej prehistorii wszechświata. Zastanawialiśmy się, czy spindle nie pomogły nam w ewolucji... Myśmy nie mieli żadnej ewolucji: jesteśmy gotowym produktem podobnie jak sami produkujemy słonie czy wieloryby dla nowych planet! Jesteśmy wszechświatem-koloniją. Budowniczy przybyli, wybudowali i dali nam historię, ponieważ każdy potrzebuje historii. My tak samo postępujemy w stosunku do nowych planet. Pomyśleli o wszystkim: o skamieniałościach, potworach, spindlach i wheelerach. I nigdy się nie zorientowaliśmy! Sami tak postępowaliśmy i nigdy tego nie podejrzewaliśmy. Jeden z nich wybudował dysk, może jako żart, bo na pewno nie z jakichkolwiek poważnych powodów. To musiało być na samym końcu, pod wpływem pomysłów nie zrealizowanych przy głównych planetach czy układach... siedemdziesiąt tysięcy lat!

Przecież ten świat jeszcze śmierdzi świeżym lakierem! Sądziliśmy, że liczy sobie ze cztery miliardy lat, bo na to wskazywały dowody, a jak dumnie uwierzyliśmy dowodom.

Siadła wygodniej w fotelu; teraz pamiętała różne dziwne, zapomniane fakty. Przypominała je sobie ostrożnie niczym masochista sprawdzający językiem bolący ząb.

- Starzy, inteligentni i niezależni od materii, tak ich pamiętam. Każdy większy, niż możemy sobie wyobrazić, albo mniejszy, gdyż zmierzyć ich można, jedynie biorąc pod uwagę ego. Zresztą nawet ich wiek jest niezmierzalny, gdyż dopóki nie zbudowali wszechświata, nie istniał czas... Mam rację?

NIE MOŻEMY ODPOWIEDZIEĆ ZWIĘŹLE NA TO PYTANIE. WIEMY O NICH TYLKO TYLE, CO SAMI NAM POWIEDZIELI.

- To co w takim razie o nich wiecie?

PRZED NIMI ISTNIAŁO JEDYNNIE PRAWDOPODOBIENSTWO. ONI WYMUSILI NA TYM PRAWDOPODOBIENSTWIE WZÓR RZECZYWISTOŚCI.

- Dlaczego?

TWOJA KOMPANIA BUDUJE PLANETY, MIMO ŻE NIE ISTNIEJE REALNA KONIECZNOŚĆ TAKIEGO POSTĘPOWANIA. A TWOJA MACIERZYSTA PLANETA NIE JEST PRZECIEŻ PRZELUDNIONA, WIĘC DLACZEGO?

- Kiedyś Ziemia była bardzo przeludniona, a jej mieszkańcy byli tacy sami. Psychicznie, ma się rozumieć. Ludzie zawsze marzyli o zjednoczonym świecie, sądzili, że to jedyny sposób przetrwania, że będzie to lepszy i bogatszy świat. Nie był. To, że Eskimos nauczył się prowadzić rozliczenia bankowe, nie znaczyło, że niemiecki bankier nauczył się polować harpunem na fokki. Wszyscy nauczyli się, jak przyciskać guziki, a nikt nie pamiętał, jak nurkować po perły. A potem zaczęły się trzęsawki, jak nazywano te ataki szaleńcze, na które umarły miliardy. Ich umysły po prostu zamknęły się i zapadły w siebie... Było to parę lat po starcie sond Terminus. Prawie musieliśmy później zaczynać od początku, ale przynajmniej mieliśmy urządzenia spindli i mogliśmy

rozśrodkować się na inne planety. Trzeba było, bo zrobiło nam się psychicznie za ciasno: musieliśmy znaleźć nowe światy i nauczyć się tego, co zapomnieliśmy. Musieliśmy część z tej wiedzy powierzyć robotom, żeby pamiętały za nas dla przyszłych pokoleń. Ale sądziliśmy, że to naturalna kolej rzeczy, mieliśmy przykład spindli. Uważaliśmy, że w pewnym momencie każda inteligentna rasa osiąga etap, na którym albo zacznie podbój kosmosu, albo zginie, gdyż na ojczystej planecie wybije ją ciśnienie umysłowe. Jakkolwiek racjonalnie to uzasadniać, podstawą kolonizacji nowych światów była chęć ucieczki od innych. A ponieważ planet nadających się do zamieszkania wbrew pozorom nie ma aż tak wiele, musieliśmy nauczyć się inżynierii planetarnej. Och, wszystko sobie wyliczyliśmy: każda rasa pojawiająca się w galaktyce tworzyła nowe światy, przed wymarciem ustępując miejsca nowej i stwarzając jednocześnie warunki do jej rozwoju. Napisałam o tym nawet książkę, nosi tytuł Ciągłe tworzenie... śmiechu warte. TERAZ MOŻESZ PRZYGOTOWAĆ DRUGIE WYDANIE.

- Trochę krótkie, nie uważacie? W zasadzie można by napisać jedno zdanie: „Światła na niebie to tylko sceneria”.

A DLACZEGO NIE?

Nie powiedzieliście mi, dlaczego budownicзовie budowali?

Odpowiedź pojawiła się na ekranie natychmiast, zupełnie jakby komputery już dawno ją przygotowały:

LUDZIE SĄ DOCIEKLIWI, TAKA JUŻ ICH NATURA. ISTOTY, KTÓRE ZBUDOWAŁY WSZECHŚWIAT, ZROBIŁY TO, GDYŻ NIE DO POMYŚLENIA DLA NICH BYŁO NIE ZROBIĆ TEGO. TWORZENIE NIE JEST DOMENĄ BOGÓW, TWORZENIE TO ICH ISTOTA.

- A potem? Co zrobili później?

Wokół statku szalała biała kipiela. Kin kątem oka dostrzegła przemykającą z boku wysepkę porośniętą drzewami, a potem niebo stanęło dęba i podłoga została ścianą. Przez moment widać było jedynie pianę, a w końcu widoczność wróciła i Kin spojrzała przed siebie. Czyli w dół.

Wodospad wyglądał jak świecąca, biała droga, na jej tle wyraźnie widoczny był Marco siedzący w fotelu pilota i dokładnie było widać, że odruchowo próbuje się zaprzecić, tyle że jego stopy nie znajdują punktu zaczepienia. Przed nimi, daleko w dole, znajdowała się kula ognia - dysk pogrążony był w mroku nocy, ale słońce oświetlało wodospad i jego spodnią stronę. Szybko zresztą znalazło się na ich wysokości, po czym zostało wyżej. Przez chwilę lecieli ku chmurze, po czym z leciutkim wstrząsem przelecieli obok niej, zostawiając za sobą wodę, molekularne sito i wszystkie pozostałe urządzenia. Przed nimi była ciemność usiana gwiazdami.

Marco syknął przeciągle, co mogło być westchnieniem ulgi.

- Przyznaję, że byłabym szczęśliwsza, gdyby start był nieco bardziej konwencjonalny - odezwała się Silver. - Ale nie da się ukryć, że ten ma klasę!

- Z punktu widzenia komputerów dysku taki start jest najskuteczniejszy - wyjaśniła Kin.

Niebo znów fiknęło kozła, gdy Marco przejął stery, ustalając dół w tradycyjnym miejscu, czyli pod nogami. Silver rozpięła pasy i spojrzała na Kin.

- To my zbudowaliśmy wszechświat - powiedziała. - To znaczy nie my fizycznie, ale to coś w nas, co powoduje, że jesteśmy tym, kim jesteśmy. To, co śni, gdy reszta nas po prostu śpi.

- Komputery nie powiedziały mi tego, ale masz rację. - Kin uśmiechnęła się. - Wydaje mi się, że komputery mają dodatkową funkcję: potrafią wytłumić cały ten psychiczny szum... no nic, nie uda mi się uniknąć tego słowa... dzięki czemu bóg może przejąć kontrolę, a każdy z nas ma takiego boga wewnątrz. Dlatego prawie każdy musi zostać władcą dysku. Gdyby Jago włożył kask, zostałby nim i byłby tam nadal.

- Nikt ci nie uwierzy. - Marco nawet nie odwrócił głowy.

- Nie sądzę, żeby to była tragedia. Dysk to albo żart, albo ślad, nikt nie musi w niego wierzyć, każdy może zobaczyć. Zbudujemy jego mieszkańcom nową, normalną planetę, na którą ich przeniesiemy. I to jest to najważniejsze, co trzeba zrobić - odparła Kin, czując, jak rozgrzewają wyzwanie.

Bo to było wyzwanie - trzeba było zbudować nową Ziemię, i to tak podobną do dysku, by jego mieszkańców dało się przenieść na nową planetę bez ich wiedzy. Naturalnie trzeba będzie ich do tego celu uśpić i hibernować na czas potrzebny do stworzenia wystarczającej ich liczby. No, bo na planecie będzie

więcej kontynentów, a nie mogą stać puste. To zajmie jakieś tysiąc lat, ale nie będą to lata zmarnowane - trzeba będzie skonstruować cały układ planetarny. Albo zbudować, albo przyholować planety w odpowiednie miejsca. I podobnie postąpić z najbliższymi, najbardziej charakterystycznymi planetami, choćby były odległe o lata świetlne.

A potem trzeba będzie zająć się szczegółami. Jak na przykład zaprojektowanie bizonów.

Życie przestało wyglądać nudnie.

To, czego dowiedzą się od komputerów, jeszcze je uatrakcyjni.

Przespali się i zjedli posiłek, podczas gdy statek opadał pod olbrzymim cieniem, aż wreszcie przeciwnieległa krawędź wodospadu zaczęła rosnąć. Marco wrócił na fotel pilota i po krótkiej konferencji z niewielkim komputerem pokładowym oznajmił:

- Zaraz włączę silniki, więc lepiej wróćcie na miejsca i przypnijcie się. Komitet obliczył wszystko, zaczynamy.

Po dziesięciu minutach niewygodny ryk silników ucichł i dało się słyszeć westchnienie z fotela pilota.

- No, to byłoby na tyle - oświadczył Marco. - Albo trafimy w dziurę, albo nie. Nigdy nie myślałem, że będę się martwił, żeby się nie rozbić o ścianę wszechświata.

Wodospad przemknął o parę tysięcy mil, fosforyzujący w blasku księżyca w pełni, i wszyscy zgodnie wstrzymali oddech, gdy statek uniósł się ponad krawędź dysku i wystrzelił w niebo. Dysk wyglądał jak czarno-biała fotografia monety ze srebra i hebanu unosząca się pod rozgwieżdżonym niebem. Choć była znacznie większa niż ich statek, nie mieli przez nie przelecieć prostopadle, ale pod niewielkim kątem, co znacznie zmniejszało margines bezpieczeństwa. Komputery obliczyły, że powinni przelecieć, tak też dowiedział się Marco. Kin wiedziała za to, ile zostanie im miejsca do brzegu. Nie odważyła mu się tego powiedzieć, gdy okazało się, że będzie to mniej niż metr.

Podobnie jak pozostali wpatrywała się w przestrzeń ponad dziobem, szukając zarysów otworu wśród dryfujących gwiazd, które nagle z powolnie poruszających się punkcików zmieniły się w gnające jak na wyścigach punkty.

Potem coś się rozmasało, wokół przemknęło wrażenie czegoś solidnego, co zniknęło szybciej, niż się pojawiło, a zniknięciu towarzyszył lekki wstrząs. Oznaczał on koniec kariery jednego z silników, który został oderwany przez krawędź nieba.

Ponownie pojawiły się gwiazdy, oszukańczo znajome. Marco głośno oddychał, Silver nuciła coś sznapsbarytonem, a statek opadał ku gwiazdom. Kin wiedziała, że liczą one zaledwie siedemdziesiąt tysięcy lat i są jedynie troszkę starsze od swych mikrokozynów wewnątrz wszechświata dysku. W końcu gwiazdy były jedynie światłami na niebie - większe niebo wymagało większych gwiazd.

Pomyślała o drugim wydaniu. Uzupełnionym i poprawionym. A statek pogrążył się w znajomych dekoracjach.

KONIEC